



Anne O'Brien



Pani na zamku

Prolog

Styczeń 1158 r. Chłodna, mokra zima w czwartym roku panowania króla Henryka II

Zamek Clifford, twierdza na walijskim pograniczu

- Stój! Cóż robisz, na Boga?

- To co widzisz.

Rycerzowi, który dowodził sporym oddziałem, na widok damy nie drgnęła nawet powieka. Zdawał się jej nie dostrzegać, choć stała na szczycie schodów prowadzących z zamkniętego dziedzińca do kamiennej wieży, drżąc z zimna na lodowatym wietrze i kipiąc złością. U jej ramienia stała druga kobieta, również otulona płaszczem i welonem aż po czubek nosa.

Rycerz wydał kilka krótkich komend. Jego ludzie zsiadli z koni i otoczyli fortecę. Dama otworzyła usta, po czym znów je zamknęła. Miała zielone oczy, przejrzyste jak szkło w oknach katedry, i ciemne, pięknie wygięte brwi, w tej chwili uniesione wysoko w wyrazie grozy. Przykryte welonem rudobrazowe włosy, połyskujące złotem i miedzią niczym lisia kita, splątane były przez wiatr, dama jednak nie zwracała na to uwagi. Po raz pierwszy w życiu nie potrafiła znaleźć słów, by wyrazić swoje oburzenie i wściekłość. Jej milczenie nie trwało jednak długo.

- Co tu robicie? Kim jesteście? Kto wam otworzył bramę?

Rycerz przelotnie zerknął w jej kierunku.

- Nazywam się Fitz Osbern.

Dama przymrużyła oczy i przyjrzała się chorągwiom powiewającym na lancach żołnierzy. Od czarnego tła odcinała się srebrzysta mityczna bestia, podobna do smoka, z wściekłym grymasem na pysku. Nie знаła tego symbolu. Fitz Osbern... Skąd się tu wziął? Kim był? Czy rozbójnikiem, jednym z tych lordów rabusiów? Było takich wielu na pograniczu. Nie przestrzegali żadnego prawa i nikomu się nie opowiadali, nawet królowi.

Ten z pewnością sprawiał wrażenie, jakby należał do wyrzutków szlacheckiego stanu. Zsiadł z konia i z ręką opartą na biodrze stanął pośrodku dziedzińca. Jej dziedzińca. Przy nim stał starszy rycerz, a między nimi biegał chart, smukły i sprężysty jak jego pan.

- Nie rozumiem, co tu robisz! - zawołała, przekrzykując zgiełk żołnierzy.

- Nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia, pani - odrzekł Fitz Osbern i rzucił giermkowi wodze czarnego ogiera. - Bryn! - Pstryknął palcami, przywołując psa, i poszedł w stronę stajni, po drodze wydając rozkazy swoim ludziom.

To pobudziło ją do działania. Kimkolwiek był ten człowiek, czy też kim nie był, nie miało najmniejszego znaczenia. Zbiegła ze schodków, przemknęła przez dziedziniec i pochwyciła intruza za fałdy płaszcza, przemoczonego na wylot i pokrytego grubą warstwą błota.

- Nikt nie będzie rządził w moim domu! Nie masz żadnego prawa wydawać tu rozkazów.

- Mam do tego wszelkie prawa. - Strząsnął ją z siebie jak kłopotliwego szczeniaka, po czym bezczelnie znów odwrócił się do niej plecami.

- Ten zamek jest moim domem. To moja własność, moje dziedzictwo! - Znów wyciągnęła rękę w stronę jego płaszcza. - Jakim prawem ośmielasz się wjeżdżać tutaj i...

Zatrzymał się tak nagle, że musiała odsunąć się na bok. Zwrócił się w jej stronę, ściągając ciemne brwi, i obrzucił ją taksującym spojrzeniem od zabłoconych butów aż po gęste loki wymykające się spod welonu.

- Twoje dziedzictwo, powiadasz? Kim jesteś?

Wysoko uniosła głowę.

- Nazywam się Rosamund de Longspey.

Mocniej ściągnął brwi, jego spojrzenie się wyostriżyło.

- De Longspey? Przecież dziedziczka de Longspey jest jeszcze dzieckiem.

Rosamund prychnęła niezbyt elegancko.

- Nie jestem dzieckiem.

Popatrzył na nią z zastanowieniem, ale zaraz znów lekceważąco wzruszył ramionami.

- Widzę, ale to nie ma znaczenia.

- To ma znaczenie! - wykrzyknęła. - Ten zamek należy do mnie!

- Nie, pani. Nie należy do ciebie. - Niecierpliwie podniósł rękę i zatoczył krąg ogarniający strażników, którzy właśnie zajmowali pozycje przy bramie, palisadę i konie w walącej się stajni. - Jak sama widzisz, zamek Clifford należy teraz do mnie.

- Na mocy czyjej decyzji? - Na jej twarzy zmieszanie walczyło z oburzeniem i lękiem. Zaciśnęła palce na futrzanym podbiciu płaszcza, by rycerz nie zauważył budzącej się w niej paniki.

Sięgała mu zaledwie do ramienia. Spojrzał na nią z góry, przesywając na wylot spojrzeniem zimnych, szarych oczu. Arystokratyczny nos z niewielkim garbkiem nadawał mu wygląd drapieżnika.

- Mojej. - Uniósł miecz i zatrzymał czubek na wysokości jej piersi. Na ciemnej, nieogolonej twarzy błysnął uśmiech, ale z oczu nie zniknął chłód. - Siła stanowi prawo, pani, a to ja mam miecz w rękę i ja sprawuję tu władzę, nie ty.

Zastygła w miejscu. Krew w jej żyłach zmieniła się w lód. Groźba była zbyt namacalna.

Miecz opadł nagle, lecz ulga Rosamund nie trwała długo. Rycerz zbliżył się do niej jednym krokiem i nim zdążyła się cofnąć, objął ją mocno w pasie i przyciągnął do siebie. Siła emanująca z jego ciała sprawiła, że wszystkie myśli uleciały jej z głowy. Po raz pierwszy w życiu doświadczyła fizycznej męskiej władzy. Serce dudniło jej mocno, nie mogła złapać tchu. Podniosła wzrok na twarz uzurpatora i poczuła lęk. W szarych, upstrzonych złotymi plamkami oczach błyszczała nienawiść.

Czego mogła oczekiwać od takiego mężczyzny? Po raz pierwszy w życiu Rosamund de Longspey zaczęła się obawiać o swoje bezpieczeństwo i honor.

Rozdział pierwszy

Styczeń 1158, dwa tygodnie wcześniej

Oddział szybko posuwał się od strony Gloucester na północny zachód. Padał deszcz i wiał zimny wiatr. Do przodu ciągnęła ich tylko perspektywa ciepłego powitania w zamku w Monmouth, gdzie czekał na nich gorący posiłek i piwo bez ograniczeń, a także miękki dotyk kobiecych dłoni i gorąca woda. Od tak dawna byli już w drodze. Wracali z wyprawy do Anjou po drugiej stronie kanału La Manche, gdzie Gervase Fitz Osbern posiadał kilka strategicznie położonych zamków.

Narzucił ostre tempo. Przeprowa przez kanał nie była przyjemna. Wzdrygnął się na samo wspomnienie. Sztorm rzucał statkiem, wszyscy byli przemoczeni na wylot, on sam przez całą drogę chorował. Nie był stworzony do morskich podróży. Teraz jednak znajdował się na suchym lądzie. Podniósł głowę, węsząc w powietrzu niczym chart. Dom był niedaleko. Poprzez mgłę dostrzegał zarysy czarnych górskich grzbietów.

Musiał jednak zmienić plany, gdy napotkana grupa podróżnych, jadących w przeciwnym kierunku, przekazała im nowiny.

- Po pograniczu krążą pogłoski, że earl Salisbury, William de Longspey, umiera.

Osbern poczuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek. Nie zważając na padający deszcz, siedział nieruchomo na koniu pośrodku drogi ze ściągniętymi brwiami i wzrokiem błędzącym w przestrzeni.

- Czy jedziemy dalej, panie? - Dowódca oddziału, Watkins, musiał go szturchnąć, by zwrócić na siebie uwagę.

Fitz Osbern podniósł głowę, ściągnął wodze i skinął na swych ludzi.

- Zatrzymamy się na noc w Hereford. - Autorytet władcy w połączeniu z magnetyczną siłą przyciągania dziewczek w Hereford wystarczyły, by uciszyć pomruki niezadowolenia. - A tam - dodał cicho, a jego twarz ściągnęła się surowo - postaram się dowiedzieć, w jakim stanie zdrowia jest naprawdę William de Longspey.

Tymczasem w kwitnącym mieście Salisbury Rosamund de Longspey dręczył niepokój, czemu jednak trudno było się dziwić. Dobiegała dwudziestego czwartego roku życia, nie była z nikim zaręczona ani nie miała na widoku żadnego kandydata do małżeństwa, i po raz drugi w życiu straciła ojca. Choć mogła się poszczycić szlachebnym pochodzeniem i atrakcyjną twarzą, jej przyszłość w żadnym razie nie wydawała się zabezpieczona.

Toteż gdy dołączyła do domowników, którzy spotkali się z okazji śmierci Williama de Longspeya, jej irytacja była usprawiedliwiona. Earl Salisbury zmarł po długiej i wyczerpującej chorobie. Rosamund nie łączyły z nim więzy krwi, co mogło wyjaśniać, dlaczego nie odczuwała prawdziwej rozpacz. Był jej ojczymem, ale niezbyt się nią interesował i nie okazywał jej uczucia, gdy z dziecka stawała się atrakcyjną, młodą kobietą. Rosamund była córką żony earla, hrabiny Petronilli, z jej pierwszego małżeństwa z Johnem de Bredwardinem. Gdy matka powtórnie wyszła za mąż, przyjęła nazwisko ojczyma, więc testament earla Williama interesował ją bardzo żywo. W ciągu najbliższej godziny w tej komnacie miała się rozstrzygnąć cała jej przyszłość.

Testament, odczytany przez ojca Benedicta, kapelana Longspeyów, nie zawierał niespodzianek. Earl William obdarzył wszystkich hojnie i sprawiedliwie. Większa część spadku przypadła dzieciom, które miał z pierwszą żoną. Niezmiernie zadowolony Gilbert odziedziczył tytuł earla de Longspeya, główną siedzibę rodu w Salisbury oraz większość posiadłości rozproszonych po całym kraju. Nieżyjący earl nie zapomniał również o Walterze i Elisabeth. Hrabina Petronilla miała zachować ziemię i dochody, które pierwotnie stanowiły jej posag. Gdyby taka była jej wola, mogła do końca życia pozostać w zamku Salisbury jako gość honorowy lub zamieszkać w zamku Lower Broadheath, który teraz należał do niej. Była to spora posiadłość w ładnej okolicy.

- Mój pan sądził, że być może zechcesz, pani, znów wyjść za mąż. - Ojciec Benedict uśmiechnął się dobrotliwie do wdowy, która na wiadomość o śmierci męża nie uroniła ani jednej łzy.

Lady Petronilla w milczeniu skłoniła głowę, Rosamund jednak nie dała się zwieść. Jeśli nie myliła się w ocenie, matka nie miała zamiaru starać się o kolejnego męża, nawet gdyby miał być bogaty czy atrakcyjny. Wreszcie mogła robić, co chciała. Przeżyła już dwóch mężów i żaden z nich jej nie zadowolił. Twierdziła, że jak na jedną kobietę to wystarczy.

A Ja chciałabym mieć szansę przynajmniej na jednego, pomyślała Rosamund, rozprostowując zaciśniętą pięść.

Była jeszcze jedna sprawa, o której dotychczas w ogóle nie wspomniano.

- Ojciec Benedykcie. - Utkwiła spojrzenie w kleryku. - A co ja dostanę? Potrzebuję jakichś ziem, które nadawałyby się na posag.

Ojciec Benedict odchrząknął.

- Ach tak, lady Rosamund. Earl uznał za stosowne przyznać ci trzy zamki. - Skinął głową i rzucił jej zachęcający uśmiech, który jednak wydał się jej z gruntu fałszywy. - Trzy fortece - powtórzył. - A także dochód z przynależących do nich ziem i dworów. Dla ciebie samej, lady Rosamund, oraz jako twój posag.

Szczęśliwa dziedziczka uniosła brwi.

- A gdzie leżą te trzy fortece, ojciec? - zapytała niskim, nieco ochrypłym głosem. Zwykle ten głos miał wielki urok, w tej jednak chwili brzmiała w nim głęboka podejrzliwość.

- Na pograniczu, pani.

- Na granicy z Walią? Czy możesz powiedzieć mi o nich coś bliższego, ojciec?

Kapelan znów odchrząknął i rzucił szybkie spojrzenie na nowego earla, który skinął głową.

- Zostałaś, pani, właścicielką zamków i posiadłości Clifford, Ewyas Harold oraz Wigmore na walijskim pograniczu.

- Czyli przy samej granicy z Walią. - Dłonie Rosamund, spoczywające na kolanach, znów zwinęły się w pięści. Twarz miała nieprzeniknioną, ale w myślach czuła zamęt. - Czy te trzy fortece przyciągną do mnie męża?

Earl Gilbert wybuchnął cichym śmiechem, zaraz jednak stłumionym. Walter nawet nie próbował ukrywać uśmiešku.

- Nie martw się, Rose - rzekł Gilbert serdecznie. - Nie pozwolimy ci zostać samotną starą panną. - Rosamund zauważyła chytry wyraz na szerokiej twarzy przyrodniego brata. Podniósł się ciężko, podszedł do niej i pocieszająco poklepał po dłoni. - Nie obawiaj się, mój ojciec zadbał o wszystko. Właśnie prowadzę pertraktacje w twoim imieniu. Trzy tak cenne fortece z pewnością przyciągną do ciebie uwagę odpowiedniego męża. - Zachichotał irytująco. - Nikt nie będzie mógł twierdzić, że ktokolwiek z rodziny de Longspeyów został pozbawiony środków do życia.

Uśmiechnęła się wdzięcznie, ale w jej duszy wrzał gniew, który przerwał tamy, gdy znalazła się sam na sam z matką w bawialni. Jej zielone oczy ciskały pioruny.

- A więc zostałam dziedziczką. Posiadam trzy zamki na walijskim pograniczu i mogę zamieszkać, w którym zechcę - perorowała podniesionym tonem. - To już lepiej chyba pogrzebać się żywcem. Podjęłam decyzję. Nic mnie nie przekona do wyjazdu w tę dzicz!

Jednak determinacja Rosamund nie przetrwała nawet dnia. Zaraz po południowym posiłku wezwano ją do prywatnej komnaty nowego earla. Przyjrzała mu się nieufnie. Gilbert był jeszcze bardziej zadowolony z siebie niż zwykle. Ledwie stanęła w progu, zwrócił się do niej:

- Rose, zdaje się, że dzisiaj jest dzień dobrych wiadomości. Tak jak obiecałem, mam dla ciebie doskonale nowiny. Mówiłem przecież, żebyś zdała się we wszystkim na mnie. Właśnie przybył posłaniec. - Pomachał w jej stronę przybrudzonym pergaminem. - Chodzi o twoje małżeństwo. Znalazłem rycerza, który weźmie cię za żonę w zamian za zamki, które posiadasz. To niezmiernie korzystny mariaż. - Pewien siły swoich argumentów, pochwycił w końcu jej spojrzenie. - Stanowczo zbyt długo pozostawałaś w niezamężnym stanie.

Ogarnęło ją niedobre przeczucie. A więc o to chodziło. Tak jak podejrzewała, Gilbert zastawił na walijskiej granicy pułapkę, w której ona miała być przynętą. Teraz już wiedziała, dlaczego earl William zapisał jej Clifford, Ewyas Harold i Wigmore.

Odetchnęła głęboko i spytała:

- Kto to taki?

- Ralph de Morgan z Builth. Posiada spore dobra w tej okolicy.

- Ralph de Morgan? - Ręce jej zwilgotniały, a na sercu zaległ nieznośny ciężar. - Przecież on jest starszy od lorda Williama! - wykrzyknęła z oburzeniem. Jeśli nawet przesadziła, to w każdym razie niewiele.

Wciąż uśmiechnięty Gilbert pochylił się w jej stronę.

- Rosamund, to człowiek o znacznej pozycji. Niedawno owdowiał. Szuka żony, która przysporzyłaby mu posiadłości na terenie Anglii, a ja będę miał z tego taką korzyść, że pomoże w zabezpieczeniu pogranicza. W dodatku proponuje znaczącą kwotę za zawarcie ugody. Wątpię, czy znajdziesz kogoś lepszego.

- Mogę sobie to wyobrazić! - sarknęła gniewnie. Któż nie chciałby wzmocnić więzów z potężnymi de Longspeyami?

- Nie masz nic do powiedzenia w tej sprawie, droga siostrze - stwierdził earl, jakby czytał w jej myślach. - Wszystko już ustalone. Ralph wyraził zgodę. Warunki, które stawia, są do przyjęcia. Zjawi się tu w przyszłym tygodniu jako oficjalny konkurent do twojej ręki.

Rosamund jakimś cudem udało się opanować emocje.

- Doskonale, Gilbercie.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Posłuchaj, Rosamund, nie wolno ci zrażać do siebie de Morgana.

- Ależ nie, Gilbercie. Skąd ci to przyszło do głowy? - Uśmiechnęła się łagodnie, marząc tylko o tym, by uciec do Clifford.

Jedno spotkanie z Ralphem de Morganem wystarczyło, by potwierdzić wszelkie jej obawy i doprowadzić do otwartego buntu. Przepełniona niechęcią, wpadła do sypialni owdowiałej hrabiny, zajętej nadzorowaniem pokojówki Edith, która pakowała kufry przed podróżą do Lower Broadheath.

- Nie mogę tego zrobić. To wykluczone!

Lady Petronilla odrzuciła na bok ciemnozieloną jedwabną suknię i popatrzyła na

córkę z bolesną mieszanką współczucia i rezygnacji.

- Też tak myślałam, gdy po raz pierwszy chciano wydać mnie za mąż, ale czasami, drogie dziecko, po prostu nie ma innego wyboru. - Przyglądała ciemną spódnicę i podeszła do komody, na której stał dzban z piwem i kubki. Niezbyt wysoka, miała ładną figurę, bystre szarozielone oczy i nietknięte siwizną jasne włosy splecione w koronę dokoła głowy. Jej ruchy były zręczne i energiczne. Nalała piwa do kubka i podała córce.

Rosamund nie przebierała w słowach.

- Nie mam wyboru? Jak to nie mam wyboru? Ralph de Morgan jest obrzydliwy i łysieje, a jego szaty śmierdzą Bóg jeden wie czym. Widziałaś, jak wytarł w suknię palce pobrudzone sosem? Te ręce pewnie nigdy nie widziały ciepłej wody! A jego oddech, gdy całował mnie w policzek... - Obróciła się na pięcie, aż przytrzymane wstążkami włosy zawirowały, i uderzyła pięścią w kolumnę łóżka. - On jest wstrętny!

- Zgadzam się, że perspektywa małżeństwa z Ralphem nie jest przyjemna, ale twoi bracia już podjęli decyzję.

- Bracia? Oni nie są z mojej krwi! Mam już dość przekonanych o własnej nieomyślności mężczyzn, którzy mówią mi, co mam robić, a czego nie, co dla mnie dobre, a co nierozsądne. Nie wyjdę za niego!

- To prawda, że Ralph nie jest atrakcyjnym mężczyzną - przyznała lady Petronilla. - Jest zbyt duży.

- Duży? On jest po prostu tłusty! Wolałabym już wyjść za tego brudnego żebraka w łachmanach, który codziennie siedzi przed katedrą i prosi o datki.

- Nie, nie wolałabyś, i nie sądzę, żeby ten żebrak cię chciał. - Zadumała się na moment, podobnie jak jej córka. - Kłopot w tym, Rose, że potrzebujesz męża - stwierdziła wreszcie Petronilla. - Powinnaś wyjść za mąż już kilka lat temu.

- Zdaję sobie sprawę, że małżeństwo niesie z sobą pewne korzyści, ale chcę... - Wspomniała dziecięce marzenia o małżeńskim szczęściu. - Mężczyzna, za którego wyjdę, musi być młody, oczywiście przystojny, jasnowłosy, łagodny i dwornego obejścia. Musi mnie traktować z szacunkiem i troską. Chcę cywilizowanego,

kulturalnego rycerza, który umie czytać i pisać, który nie będzie zmuszał mnie do niczego, czego sama nie zechcę, i który będzie żywił do mnie uczucia - dodała stanowczo. - Nie wymagam miłości, ale nie mam ochoty stać się bezradnym pionkiem w walce o władzę.

Lady Petronilla uniosła brwi i wróciła do składania sukni.

- Hm... to całkiem pokaźna lista wymagań, pytanie jednak, czy taki ideał w ogóle istnieje? Mężczyzna, który pozwalałby ci robić, co zechcesz? Sama nie wiem. I czy byłabyś wówczas szczęśliwa?

Już się nad tym zastanowiła, i to wiele razy. Jej matce oba małżeństwa nie przyniosły zadowolenia, dlatego więc miałyby doświadczyć czegoś innego? Oczywiście był jeden mężczyzna, który... To wspomnienie wciąż poruszało ją do głębi duszy. Odwróciła twarz, by matka nie dostrzegła tęsknoty, która nagle pochwyciła ją w kleszcze.

Jej dziki sokół, ognisty lord Gervase Fitz Osbern. Ten jedyny mężczyzna... Od tego czasu minęły już cztery lata, ale wspomnienie o nim wracało do niej regularnie.

Przybył do Salisbury w paskudnym nastroju i przeprowadził ryzykowną rozmowę z earlem. Nigdy nie dowiedziała się, o co dokładnie chodziło, ale od samego początku było jasne, że stosunki między Fitzem Osbernem a earlem Williamem są bardzo napięte i pełne wzajemnych animozji. Gdy rozmawiali, niemal słychać było szcęk mieczy. Earl chciał załagodzić sytuację i nakłonić swojego wroga do sojuszu, toteż zaoferował mu Rosamund za żonę.

Pamiętała wszystko, jakby to było wczoraj. Została wezwana do komnaty, żeby gość mógł ją zobaczyć. Nawet jednak na nią nie spojrzął i nie okazał choćby tyle uprzejmości, by zdobyć się na konwencjonalny komplement. Matka ubrała ją starannie, wplotła we włosy szmaragdowe wstążki, rycerz zaś rzucił jej tylko jedno spojrzenie, które zdawało się przenikać przez suknię, i zaraz odwrócił się w inną stronę.

Nawet teraz na wspomnienie tej chwili Rosamund poczuła, że policzki nabiegają jej czerwienią, a gniew wypełnia duszę. Wtedy też tak się czuła, ale rycerz, zajęty

sporem z Williamem, w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

- Chcesz mnie kupić za kobietę z rodu Longspeyów? Nic z tego, panie. Na twoich rękach jest krew i nie zmyjesz jej ofiarą z bezbronnej dziewczicy!

W jego głosie brzmiała powstrzymana furia. Rosamund poczuła się upokorzona, jakby to była jej wina, że ją odrzucił, ale dziki sokół, jak nazwała go w myślach, pozostał w jej snach. Patrzyła na niego z fascynacją, wychwyciła wszystkie szczegóły. Jego widok wprost radował oczy. Był wysoki i szczupły, o dobrze umięśnionym ciele, jak przystało na żołnierza zaprawionego w walce i konnej jeździe. Na tę okazję przywdział bogaty strój, szatę haftowaną na dole i przy rękawach oraz złożony i wysadzany klejnotami pas. Zapewne chciał wywrzeć wrażenie na earlu. Rosamund wciąż pamiętała jego ciemne włosy i szare oczy ze złotymi plamkami, a także sokole rysy twarzy, w których przebijała stalowa wola.

Nie starając się o uprzejmość, oznajmił bez ogródek

- Nie chcę małżeństwa z kobietą z twego rodu. Wszystko, czego się od ciebie domagam, panie, to zwrotu ziem mojego ojca i rekompensaty za przedwczesną śmierć mojej żony.

Rosamund zastanowiła się teraz, jak wyglądałoby jej życie, gdyby została żoną tego mężczyzny. Z całą pewnością dziki sokół nie pozwoliłby jej postępować według własnej woli. Rozkazy, wymagania, nieustępliwość, tego by od niego zaznała. Była to równie odrażająca perspektywa jak małżeństwo z Ralphem de Morganem.

Dotknął jej tylko raz, wyraźnie wbrew własnej woli. Idąc do drzwi, wściekle rozczarowany, musiał przejść obok niej.

Zatrzymał się nagle i władczym gestem wyciągnął dłoń. Posłusznie włożyła w nią swoją.

- Pani... - Przelotnie ucałował jej palce.

Jego usta były zimne, ona jednak odniosła wrażenie, że ich dotyk przepala ją na wylot. Często przywoływała to wrażenie, w chwilach rozpaczy wyobrażała sobie dotyk tych ust na swoich, dotyk tych dłoni na swoich piersiach. W jej sercu pojawiała się pragnienie, by zaznać tego, czego dotychczas nie znała.

Zamrugnęła, odpędzając od siebie te myśli. No cóż, jak nietrudno było przewidzieć, spór między mężczyznami o tak silnej woli zniszczył wszelką nadzieję na to, by kiedykolwiek mogła trafić do jego łóżka. Dziki sokół nie dostał ziemi ani rekompensaty za swoje krzywdy earl William nie zawarł sojuszu, a ona została bez męża. Jej niedoszły konkurent zeszywniał z pochyloną głową i jego kędzierzawe czarne włosy, przypominające czarny jedwab, opadły na przegub jej ręki. Puścił ją zaraz, jakby ten dotyk go parzył, i nie patrząc na nią, wyszedł z komnaty. Wtedy słyszała o nim po raz ostatni.

Mimo wszystko ta wyrazista twarz wciąż nawiedzała jej myśli. Zbyt ostra i niesymetryczna, by nazwać ją przystojną, miała jednak w sobie coś przykuwającego uwagę. Fitz Osbern emanował siłą i mrocznym magnetyzmem. Było jasne, że jest to człowiek, który nie pozwoli, by cokolwiek stanęło mu na drodze do zdobycia tego, czego pragnął.

Co by było, gdyby go wówczas poślubiła, gdyby należała tylko do niego i gdyby oddała mu swoje cenne dziewictwo? Cztery lata później wciąż była posiadaczką tego dziewictwa i nikt go nie cenił oprócz odrażającego Ralpha. Pomyślała, że zapewne zabierze je z sobą do grobu. Jakaż więc była jego wartość?

- Rose!

Zamrugnęła powiekami i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wpatruje się w matkę, przeszywając ją wzrokiem, od którego wystraszona rodzicielka zaczęła poruszać się niespokojnie.

Cóż, myślała dalej Rosamund. Minęły lata i jej sokół zapewne jest teraz równie tłusty i nieapetyczny jak Ralph de Morgan. Żyje sobie w jakimś zamku na odludziu wraz z żoną i gromadką dzieci. Bez wątpienia traktowałby ją równie bezwzględnie jak Longspeyowie.

- Rose, skoro Gilbert podjął taką decyzję, to cóż możemy uczynić? - rzekła Petronilla załamującym się głosem.

W oczach Rosamund pojawił się dziwny błysk.

- Doskonale wiem, co mogę zrobić. Zamierzam objąć swoje dziedzictwo we

władanie.

- Chcesz pojechać do Clifford?

- Tak. Zamek należy do mnie i mogę tam zamieszkać, jeśli chcę. A ty możesz pojechać ze mną albo wybrać się do Lower Broadheath. Jedziesz ze mną? - Patrzyła na jej wahanie z uśmiechem, dobrze wiedząc, jaką decyzję podejmie.

Oczywiście pojedzie razem z nią.

Hrabina wiedziała, że wszelkie próby nakłonienia córki do zmiany decyzji byłyby zwykłą stratą czasu. Równie dobrze można by próbować zmienić kierunek wiatru siłą woli. Nie zamierzała więc tracić słów na próżno, ale z drugiej strony była troskliwą matką i nie mogła pozwolić, by jej jedyne dziecko wybrało się na dzikie tereny na zachodzie bez żadnej opieki.

- Oczywiście, że jadę z tobą. Nie musisz pytać. - Zaraz jednak westchnęła i dodała z rezygnacją: - Niestety Gilbert nie pozwoli ci na to.

- Wiem. Mam pewien plan.

- Plan? Rose, to tak daleko...

- No właśnie. Na tyle daleko, że odległość uchroni mnie przed małżeństwem z Ralphem de Morganem. Tam nic mi nie zagrozi i będę mogła żyć tak, jak zechcę. - W jej oczach zabłyśły odwaga i podniecenie. - Jeśli ucieknę do Clifford i zerwę wszystkie więzi z Salisbury, Gilbert, a być może także Ralph, uznają, że sprawa jest stracona, i dadzą mi spokój. Wątpię, by którykolwiek z nich zechciał zawracać sobie głowę wysyłaniem za nami oddziału, by sprowadził mnie z powrotem do Salisbury w łańcuchach, albo zamknąć w wieży, dopóki nie stanę się posłuszna. Uwolnimy się wreszcie od egoistycznych, pewnych siebie mężczyzn. Myślę, że obie będziemy z tego bardzo zadowolone.

Rozdział drugi

Fitz Osbern przybył do Hereford o zimowym zmierzchu i jak zwykle zostawił swoich ludzi w kilku budynkach, z których składała się gospoda Pod Niebieskim Niedźwiedziem. Sam zabawił tam tylko tyle, ile trzeba było, by wypić kufel piwa i zjeść talerz chleba z twardym mięsem wątpliwego pochodzenia. Następnie narzucił na ramiona płaszcz, osłonił głowę kapturem przed padającym deszczem i ruszył na obchód piwiarni i tawern.

Poszukiwania nie zabrały mu dużo czasu, bo dobrze znał zwyczaje człowieka, którego chciał znaleźć. Zastał go w gospodzie Pod Czerwonym Lwem, zaszedł od tyłu i klepnął w plecy. Krępy weteran, który właśnie podnosił do ust wielki kufel, zakrztusił się piwem.

- Do diabła! - Mokry kufel potoczył się po stole.

Hugh de Mortimer obrócił się ze złością, odruchowo sięgając do sztyletu, zaraz jednak uśmiechnął się szeroko i otarł dłoń o mokrą od piwa szatę.

- Ger! Mogłem się domyślić, że to ty. Sądzę jednak, że powinieneś bardziej cenić swoje życie. - Zatoczył złowieszcze kółko ostrzem sztyletu, po czym odłożył go na stół i czubkiem buta pchnął stołek w stronę przyjaciela.

Fitz Osbern usiadł i odrzucił płaszcz.

- Zanim udałoby ci się dźgnąć mnie tą zabawką, dawno leżałbyś na podłodze pod moim butem. Wciąż szukasz rozrywki w takich przybytkach? - Zmarszczył nos. Powietrze w gospodzie gęste było od dymu, przesycone odorem gnijącej cebuli, skwaśniałego piwa, wilgoci i niemytych ciał.

Uścisnęli sobie dłonie. Hugh uśmiechnął się przyjaźnie. Mijające lata nie pozostawiały wyraźnych śladów na jego twarzy i sylwetce. Był o dobrych dwanaście lat starszy od swego towarzysza, ale już od dawna walczyli ramię w ramię, by utrzymać spokój na walijskiej granicy. Krępy, szpakowaty lord wzbudzał ogólny szacunek. Stalowe spojrzenie niebieskich oczu i bezpretensjonalny sposób bycia przydawały mu popularności wśród poddanych.

- Jeśli cię to interesuje, Ger, to szukam tu ciekawych wiadomości - stwierdził dobrodusznie. Hereford było jego główną bazą. Jako wierny sługa króla, Mortimer uważał za stosowne trzymać rękę na pulsie wszelkich wydarzeń w tej niespokojnej okolicy. - Byłem tu umówiony na spotkanie z jednym z moich informatorów. - Przyjrzał się uważnie Gervase'owi i zauważył nieogolony od dawna zarost oraz splątane i wilgotne od deszczu włosy. - Myślałem, że jesteś w Anjou.

- Właśnie stamtąd wróciłem. - Z jękiem wyciągnął przed siebie prawą nogę. Złamał ją niedawno przy upadku z konia i przy zimnej, wilgotnej pogodzie wciąż dawała mu się we znaki. Z niechęcią przesunął dłonią po zarośniętym podbródku. - To była ciężka podróż, nie mieliśmy czasu dbać o wygody. - Wyraz jego twarzy mówił więcej niż słowa. - Zmierałem do Monmouth, a potem, w drodze z Gloucester, usłyszałem ciekawe wiadomości.

W niebieskich oczach Mortimera pojawił się błysk.

- Salisbury?

- Salisbury. Dlatego zjawiłem się tu. Pomyślałem, że jeśli jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć, to z pewnością dowiem się od ciebie. Zawsze masz doskonałe informacje. Powiedz mi, co się dzieje.

- Salisbury nie żyje - potwierdził Hugh, przechodząc od razu do rzeczy. - Zapewne to chciałeś usłyszeć.

- A więc to prawda.

- Zastanawiasz się teraz nad przyszłością Clifford?

- Jakże mogłoby być inaczej?

- Czy sądzisz, że to jest twoja szansa, by odzyskać zamek?

- Wątpię. Nowy earl ma równie żelazną rękę jak jego ojciec. Te zamki będą dobrze zabezpieczone. Wątpię, by zmiana właściciela zrobiła wielką różnicę, a zbyt jestem zajęty przy posiadłościach w Anjou, by angażować się w poważniejszy konflikt. Choć bardzo bym chciał odzyskać ten zamek.

Hugh zacisnął dłoń na przegubie przyjaciela i przyciągnął go bliżej.

- Posłuchaj, Ger. Chodzą pogłoski, że pogranicze walijskie nie będzie głównym

obiektem zainteresowań nowego earla. Podobno to nie on odziedziczył Clifford i pozostałe dwa zamki w tej okolicy. Jego brat Walter też nie.

Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach Gervase'a. Ogarnięty nagłą nadzieją, zatrzymał kufel w połowie drogi do ust.

- Jeśli nie Gilbert, to kto?

- Córka earla z drugiego małżeństwa. Ożenił się z Petronillą de Clare przed dwunastu laty, więc to musi być jeszcze dziecko.

- Dziecko? - powtórzył Gervase z ożywieniem, postukując palcem w kufel.

- Tak twierdzą moi informatorzy. Dobrze byłoby rozejrzeć się tam trochę. - Na twarz Mortimera wypłynął chytry uśmieszek, dziwnie nieprzystający do jego otwartego spojrzenia.

- Być może. Coś takiego, Clifford w rękach dziewczynki - powtórzył zadumany Fitz Osbern, patrząc gdzieś niewidzącym wzrokiem.

Clifford. Ciężka ręka ojca wryła tę nazwę w jego pamięć już w dzieciństwie. Zgodnie z prawem twierdza na pograniczu należała do niego jako część dziedzictwa Fitzów Osbernów. Gervase mieszkał tam kiedyś przez krótki czas podczas swego małżeństwa z Matildą de Vaughan.

Szybko odsunął od siebie te wspomnienia i skupił się na twierdzy. Była to ziemno-drewniana konstrukcja, jedynie wieżę, w której znajdowały się pomieszczenia mieszkalne, zbudowano z kamienia. Nie miało to jednak znaczenia. Ważne było to, że twierdza była strategicznie położona tuż przy brodzie na rzece Wye i należała do tych posiadłości, które jeden z jego przodków otrzymał od króla Wilhelma w dowód wdzięczności po podboju normańskim.

Clifford zostało jednak podstępem odebrane Osbernom przez earla Salisbury, gdy Henry prowadził kampanię w Anjou, a Gervase w imieniu ojca przewodził sądowi w Monmouth. Nim zdążył zebrać siły i dotrzeć do zamku, było już po wszystkim. Salisbury złośliwie szczyrzył do nich zęby zza murów.

Ta świadomość była niczym cierń wbity w ciało Fitz Osberna. Poczucie straty i upokorzenia złamało jego ojca, który i tak nie cieszył się najlepszym zdrowiem.

Zaledwie rok później rana od miecza wysłała go do grobu. Gervase wiedział, że przy każdej próbie odebrania zamków Salisbury natarłby na niego całą swoją siłą. Miał za sobą bogactwo i wpływy Longspeyów oraz posłuch u króla Stefana.

Jednak Stefan i Salisbury już nie żyli, a właścicielem Clifford było dziecko.

Hugh uważnie obserwował przyjaciela.

- Czy ten zamek tak wiele dla ciebie znaczy? Jest mały i potrzebuje gruntownej przebudowy, jeśli ma wytrzymać oblężenie. Od czasu, gdy stanęła tam pierwsza drewniana wieża i ziemne umocnienia, niewiele zrobiono, jak słyszałem.

W oczach Gervase'a zabłysło światelko.

- Tak, ten zamek wiele dla mnie znaczy.

- Ze względu na twojego ojca?

- Ze względu na ojca i honor rodziny. - Urwał na chwilę. - I z powodu Matildy.

- Wybacz... zapomniałem.

- A ja nie. - Zacisnął dłonie na kubku. - Nigdy nie zapomnę. Zginęła, a mnie tam nie było i nie mogłem jej ocalić.

Hugh wolał nie drażnić tematu. Odchrząknął.

- Co teraz zrobisz?

- Jutro jadę do Clifford. Nie mogę przepuścić tak doskonałej okazji.

- No tak. Chcesz mieć towarzystwo?

Gervase nie mógłby sobie wymarzyć lepszego wsparcia w tej wyprawie. Hugh był doświadczonym rycerzem, słynnym z niezłomnego ducha i dobrych rad. W tym zresztą był najlepszy, szczwany lis, znawca ludzkich charakterów, do tego mistrz w przenikaniu sekretów.

W ostatnich latach Gervase przywykł działać na własną rękę i odpowiedzialność. Jego matka w chwili bezlitosnej szczerości zarzuciła mu, że izoluje się od ludzi, pomyślał więc, że przyda mu się przyjazna twarz u boku.

- No więc? - zapytał Hugh. - Chcesz, żebym z tobą jechał czy nie?

- Chcę, jeśli masz ochotę mi towarzyszyć i być świadkiem mojego zwycięstwa.

- Wypijmy za to.

Następnego ranka połączone siły obydwu rycerzy wyruszyły na zachód w stronę Clifford. Ostry wiatr rozganiał chmury. Na horyzoncie wyraźnie rysowały się czarne górskie szczyty. Cel podróży znajdował się na południowym brzegu rzeki Wye, na północ od głównego łańcucha.

Znawali się na znajomym terytorium, jechali więc swobodnie. Hugh wyprostował ramiona i rozluźnił mięśnie. Lubił miejskie życie, łatwe życie - jak nazywał je Gervase - ale dobrze było znów znaleźć się na końskim grzbiecie w tak zacnej kompanii. Mówili o różnych rzeczach, stopniowo jednak rozmowa zesłała na sprawy bardziej osobiste. Wykorzystując fakt, że ich rodziny od dawna były z sobą związane, Hugh odważył się dotknąć wrażliwego tematu, który zrecznie ominął poprzedniego wieczoru. Wiedział, że Gervase będzie stawiał opór, ale w jasnym świetle dnia postanowił zaryzykować.

- Potrzebujesz żony, Ger.

- Wiem - odrzekł Fitz Osbern spokojnie. - Mogę powiedzieć to samo o tobie.

Ach, pomyślał Hugh, wet za wet.

- Ja nie. Byłem żonaty ponad dwadzieścia lat. Mam dwóch dorosłych synów, którzy założyli własne rodziny, przejmą więc kiedyś moje nazwisko i posiadłości Mortimerów. Bardzo kochałem Joannę i w tym wieku nie chcę już następnej żony. Za bardzo lubię swój styl życia i nie zamierzam przystosowywać się do żądań jakiejś kobiety.

- Naprawdę nie chcesz, żeby ktoś ogrzewał ci łóżko w zimne noce? - Gervase zatrzymał wzrok na przyjacielu. Owszem, posiwiał, wokół oczu pojawiły się zmarszczki, ale wciąż emanował młodzieńczą energią.

- Są na to inne sposoby, na przykład wdowy po kupcach w Hereford. Wiele z nich marzy tylko o tym, by znaleźć się w moim łóżku. Wystarczy, żebym skinął palcem i uśmiechnął się do którejś. Nie, nie zamierzam znów składać ślubów małżeńskich. Jednak nie o tym chciałem mówić, jak dobrze wiesz. - Spojrzał na Gervase'a. - Nie masz dziedzica, a bardzo go potrzebujesz. Możesz zginać choćby dziś czy jutro, wystarczy zbłąkana strzała lub dobrze wymierzony cios miecza. Nie możesz wiecznie

palić świece na ołtarzu pięknej Matildy de Vaughan. Ile to już lat minęło od jej śmierci... pięć? Pogódź się w końcu z tym, że ona nie żyje, i zwróć myśli ku komuś innemu.

W spokojnym dotychczas głosie Gervase'a pojawił się ostry, nieprzyjemny ton:

- Owszem, zapewne zwrócę, wiedz jednak, że w tym wszystkim wcale nie chodzi o Matildę. Po prostu wątpię, by jakakolwiek kobieta potrafiła rozniecić we mnie płomień. - Uśmiechnął się ironicznie. - To zbyt poetyczne jak na mój gust. Gdy cię słucham, mam wrażenie, jakbym słuchał któregoś z tych przeklętych trubadurów.

Hugh wybuchnął śmiechem.

- Więc kiedy znajdziesz sobie żonę?

- Gdy znajdę na to czas.

- Uważaj, bo ci go zabraknie. Zaczynaj się rozglądać, radzę ci. Pewnie masz jakieś oczekiwania, jeśli chodzi o kobietę, którą mógłbyś poślubić?

- Oczywiście, że tak. - Gervase chciał jak najszybciej zakończyć tę słowną potyczkę, dlatego wyrecytował szybko: - Ma być dobrze urodzona i ułożona jak należy, w miarę atrakcyjna, posłuszna, sprawna w zarządzaniu zamkiem i posiadłością... i tak dalej.

Hugh skrył uśmiech. Gervase opisywał szarą myszkę, pracowitą mrówkę, istotę łagodną i bezwolną, która nie sprawiałaby mu żadnych trudności ani nie była dla niego żadnym wyzwaniem, nie kwestionowała jego poczynań, niczego nie komentowała ani nie stawiała oporu, lecz byłaby mu nieskończenie posłuszna, miękka i wygodna jak poduszka z pierza. I równie nudna.

- Miałeś ostatnio jakieś propozycje? - zapytał niewinnie.

- Ostatnia była córka de Longspeya.

- Hm... córka de Longspeya? A to niespodzianka!

- Salisbury zaproponował mi dziewczynę ze swojej rodziny, by zmusić mnie do zawarcia sojuszu.

Hugh szybko grzebał w pamięci informacje o kobietach z rodziny Longspeyów.

- A o którą chodziło?

- Nie pamiętam - przyznał Gervase z irytacją. - Chyba nawet nie przedstawiono nas sobie. Nie byłem zainteresowany, więc odmówiłem.

- To znaczy, że zachowałeś się niegrzecznie i brutalnie.

- Byłem szczery. Zresztą opłakiwałem wówczas śmierć ojca i nie miałem ochoty dać się kupić. - Sapnął gniewnie. - Jeśli chcesz znać prawdę, to nie, nie zachowałem się uprzejmie. Żałuję tego do tej pory.

- Czy ta dama była w miarę atrakcyjna i posłuszna?

- Nie mam pojęcia. Jak już mówiłem, nawet nie chciało mi się jej obejrzeć.

- Doprowadzasz mnie do rozpacz, Ger, ale proszę, nie zwlekaj zbyt długo.

- Gdy tylko załatwię tę sprawę z Clifford, zajmę się tym.

Przejeżdżali właśnie przez wyjątkowo bagnisty odcinek drogi. Kopyta koni zapadały się głęboko w błoto. Słońce skryło się za chmurami i znów zaczął padać deszcz.

- A co zrobisz, jeśli to dziecko już przybyło do Clifford? - zapytał Hugh.

Gervase uniósł brwi. Jakoś nie pomyślał o tym.

- To raczej niemożliwe. Po co miałyby tam przybywać? Sądzę, że pozostanie w Salisbury, dopóki nie osiągnie wieku odpowiedniego do małżeństwa. Clifford to nie jest właściwe miejsce dla dziecka, tym bardziej dla dziewczynki.

- Pewnie nie, ale możesz się mylić.

- W takim razie spakuję ją do wozu razem z niańką, sukniami, zabawkami i ukochanym kotkiem, po czym odeślę do braci w Salisbury. A co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? Zamurować ją w wieży?

- Nie, Gervase. - Mortimer, stary lis, przez moment ważył w duchu słowa, by nie zabrzmiały zbyt mentorsko. - Sądzę, że powinieneś ją potraktować z pełnym szacunkiem i uprzejmością.

- Bez żadnych wątpliwości tak właśnie uczynię, jak na rycerza przystało.

Słowa przyjaciela zasiały w głowie Gervase'a ziarno wątpliwości. Wciąż wracał myślami do katastrofalnej rozmowy z Salisburyem. Niewiele z niej pamiętał, był wściekły i stracił panowanie nad sobą. Teraz na to wspomnienie czuł się nieswojo.

W rozpaczy po śmierci ojca próbował odzyskać swoją własność, odwołując się do królewskiej sprawiedliwości, choć od samego początku sprawa wyglądała na beznadziejną. Earl William odmówił jego prośbie, ale potem próbował kupić go, proponując żonę z rodu Longspeyów. Należało zachować się wówczas z większym umiarem, Gervase nie mógł jednak poślubić kobiety z rodu morderców. Wypadł z luksusowej rezydencji Williama, nie poświęcając ani jednej myśli nieszczęsnej dziewczynie, którą podstawiano mu pod nos. Fatalne posunięcie, a najgorsze było to, że w ten sposób pozostawił Clifford w rękach Salisbury'ego.

Jednak Fitz Osbern nie mógł zgodzić się na to, by żyć w kieszeni Salisbury'ego jako zależny od niego lord. Ze straceńczą satysfakcją odrzucił ofertę, ciskając ją earlowi prosto w twarz. Przynajmniej tyle mógł zrobić, bo wiedział już, że poniósł totalną porażkę.

A co do dziewczyny... Ledwie ją zauważył, w ogóle nie pamiętał jej twarzy, wiedział tylko, że wydawała się opanowana, miała wyraźnie zarysowane usta i bladą cerę. Gdy popatrzył na nią lekceważąco, ta blada twarz zarumieniła się nieco i młoda dama śmiało oddała mu spojrzenie, które bardziej przypominało wzrok przeciwnika w walce niż łagodny wzrok dobrze wychowanej młodej panny. Tak, właśnie tak. To spojrzenie było bezpośrednie i wyzywające, jakby zupełnie nie dorastał do jej oczekiwań wobec kandydata na męża, jakby był zwykłym rabusiem z walijskich gór. Miała zielone oczy i z pewnością była atrakcyjna, ale czy również posłuszna? Dałby sobie rękę uciąć, że nie. Zupełnie nie przypominała Matildy. Bez względu na swoje wychowanie i koneksje nie była kobietą, jakiej Gervase mógłby pragnąć za żonę.

Wychodząc z komnaty, znalazł się tuż obok panny. Musiała myć włosy lawendą, zapach bowiem był oszałamiający. W ostatniej chwili przypomniał sobie o dobrych manierach. Z trudem hamując wściekłość, skłonił się i na pożegnanie ucałował jej dłoń. Zimny dotyk palców na krótką chwilę przedał się przez jego złość. Były gładkie i chłodne, miękkie w dotyku jak jedwab. Dlaczego wspomnienie tej chwili wracało do niego teraz tak wyraźnie?

Odsunął od siebie te myśli i zacisnął zęby. Nie chciał jej ani wówczas, ani teraz.

Reakcja ciała świadczyła tylko o tym, że w ostatnich miesiącach brakowało mu kobiecego towarzystwa, a akurat temu łatwo zaradzić.

Poza tym ów incydent należał już do przeszłości. Gervase nawet nie pamiętał imienia dziewczyny. Poruszył się niespokojnie w siodle. Właściwie dlaczego w ogóle ją pamiętał?

Rozdział trzeci

Rosamund de Longspey natychmiast wprowadziła swój plan w życie. Wyjazd na jarmark w Salisbury w eskorcie dwóch służących, dwóch zbrojnych strażników, pokojówki matki Edith oraz wozu, który miał przywieźć do domu zakupione towary, zmienił się w wyprawę do Clifford. Earl Gilbert dowiedział się o wszystkim, gdy już było za późno.

Pierwszą noc w nowym domu spędzili owinięci w płaszcze w jednej z nieumeblowanych komnat w zachodniej wieży. Izba lorda nie nadawała się do zamieszkania. Nie mieli ochoty używać brudnych kołder, które znaleźli w zamku, toteż w nocy zmarzli i nie zaznali wiele snu. Na śniadanie mieli tylko twardy, niemal niejadalny chleb, toteż Rosamund była w kiepskim nastroju, gdy usłyszała zamieszanie na dziedzińcu i wyszła na zewnątrz. Ujrzała otwarte bramy i grupę żołnierzy, która pod przewodnictwem nieznanego rycerza próbowała przejąć kontrolę nad zamkiem.

- Stójcie! Na Boga, co robicie? Nie macie prawa!

- Siła stanowi prawo, pani. - Ostrze miecza celowało prosto w jej pierś. Uśmiech na twarzy rycerza był równie zabójczy jak broń. - A w tej chwili to ja mam miecz w rękę i ja mam tu władzę, a nie ty.

Rosamund zastygła na miejscu. Naraz czubek miecza opadł. Bogu dzięki! Jej ulga nie trwała jednak długo. Rycerz przybliżył się o krok i nim zdążyła się cofnąć, mocno objął ją ramieniem. Zaczęła obawiać się o swoje bezpieczeństwo i honor. Uderzyła pięściami w jego pierś, ale choć wkładała w ciosy całą siłę, rycerz nawet nie

drgnął. Powstrzymując łzy desperacji, podniosła wzrok na jego twarz. Szare, zimne oczy patrzyły na nią z nienawiścią.

Czy zamierzał zasadzić się na jej cześć, pohańbić ją? Wszyscy słyszeli opowieści o napadach, podczas których żadna kobieta, od najniższej służki aż po panią zamku, nie była bezpieczna od gwałtu i brutalnego traktowania. Czy takie właśnie były jego intencje? Czy chciał to uczynić na oczach wszystkich obecnych? Groźba takiego upokorzenia sprawiła, że krew w żyłach Rosamund zastygła na lód.

- Puść mnie! - zażądała, wciąż okładając go pięściami.

- Z największą przyjemnością - prychnął, ale jeszcze wzmocnił ucisk. Rosamund krzyknęła ze strachu, gdy podniósł ją z ziemi. - Nie piszcz mi do ucha, kobieto. Gdyby przejechał cię ten wóz, moje problemy byłyby rozwiązane, ale twój brat pewnie zauważyłby brak twojej osoby. A wcale nie chcę, by armia earla najechała moje włości.

Pośród zamieszania Rosamund dopiero teraz zauważyła skrzypiący wóz, który obracał się niezręcznie tuż obok niej. Sterta skrzyń i beczek, którymi był wyładowany, przechyliła się niebezpiecznie, koło otarło się o jej spódnicę. Gdyby pozostała w miejscu, zginęłaby marnie.

Rycerz zaczekał, aż jego ludzie wypręgą konie i poprowadzą je do stajni, i dopiero wtedy ją puścił.

- Proszę bardzo, pani, możesz dalej protestować, chociaż uprzedzam, że nic ci to nie da.

Ona jednak nie mogła zaakceptować takiego obrotu rzeczy.

- Ten zamek należy do mnie. To mój posag, moje dziedzictwo. Należał do earla Salisbury, a teraz jest mój!

Rycerz przywołał giermka i nakazał mu nadzorować rozładunek wozów, na których przywieziono zapasy i sprzęty codziennego użytku z Hereford, po czym spojrzał na Rosamund:

- Mój przodek dostał Clifford od Wilhelma Zdobywcy za swoje zasługi. Earl William skradł ten zamek mojemu ojcu, ale w świetle prawa należy on do Fitzów

Osbernów i teraz wreszcie wrócił do prawowitego właściciela. Pozostało mi jeszcze tylko odzyskać Ewyas Harold i Wigmore. Wysłałem tam już moich ludzi.

- Odzyskać?! - krzyknęła spanikowana. - Te zamki również należą do mnie!

- Skoro tak, nie powinienem mieć z tym żadnych kłopotów, prawda? Jak widzisz, moi żołnierze już tu są, więc nie ma o czym dyskutować. A teraz możesz, pani, wrócić do swojej izby i tam zaczekać, aż będę miał czas zająć się tobą.

Schował miecz do pochwy i zwrócił się w stronę żołnierzy. Rosamund patrzyła na niego z niedowierzaniem, które powoli przechodziło we wściekłość. Traktował ją, jakby była kimś zupełnie nieistotnym, jakby chciał jej powiedzieć: „Zejdź mi z drogi”. Przyjrzała mu się, mrużąc oczy. Stał pośrodku jej dziedzińca, patrząc na zamek wzrokiem właściciela. Bardzo jej się to nie podobało. W pierwszej chwili uznała go za żadnego krwi rabusia. Wyraźnie nie przywykł, by ktokolwiek kwestionował jego wolę czy próbował stawiać mu opór. Oczy miał zimne, szare i burzliwe, tego samego koloru co fale rzeki płynącej za bramą. Zimny wiatr rozwiewał potargane i przepoczone czarne włosy, które wymykały się spod frygijskiej czapki. Na policzkach miał wielodniowy zarost, a płaszcz i nogawkę były przemoczone i pokryte błotem.

Brudas, pomyślała Rosamund z niechęcią, ignorując swoją wiedzę o stanie dróg. Czego jednak mogła się spodziewać? Kultury i elegancji, dwornych manier? Nie od tego człowieka.

Rycerz poruszył się i dopiero teraz zauważyła, że lekko utyka. Zapewne został ranny podczas bójki w tawernie albo pijackiej sprzeczki przy kościach. To tylko zwykły najemnik, rabuś, pomyślała.

- Jak śmiesz zabierać to, co należy do mnie? Jesteś zwykłym barbarzyńcą i złodziejem!

Te słowa w końcu przyciągnęły jego uwagę. Policzki pokryły mu się rumieńcem, ale spojrzenie pozostało chłodne i nieprzeniknione. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. Rosamund zrozumiała, że nie była to najodpowiedniejsza chwila na atak. W końcu uśmiechnął się i złożył jej ironiczny ukłon, ale ten uśmiech nie był przyjazny, oj nie.

- W tych okolicznościach, pani, powinnaś modlić się o to, by twoja ocena mojej osoby okazała się pomyłką. Gdybym bowiem był barbarzyńcą i złodziejem, to nie zadowolilibym się tylko zamkiem, lecz miałbym również pewne plany co do ciebie, pani.

Podszedł do niej niebezpiecznie blisko.

Rosamund cofnęła się, on postąpił następny krok. Uderzyła go w pierś i znów odniosła wrażenie, że jego dotyk parzy. Poczowała dziwny żar, serce zaczęło bić szybciej. Przeklęła swoją bladą cerę, na której każdy rumieniec był wyraźnie widoczny. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć, patrzyła tylko na niego szeroko otwartymi oczami, czując pod dłonią uderzenia jego serca.

Wreszcie, ku jej uldze, rycerz cofnął się.

- Zapewniam, że nie mam żadnych zakusów na twoją osobę - mruknął, uśmiechając się przy tym drapieżnie jak wilk. - Zważywszy jednak na to, że jesteś zdana na moją łaskę, wykazujesz zadziwiającą dumę i wyniosłość.

Zarumieniła się aż po korzonki włosów i wreszcie odzyskała głos.

- Na twoją łaskę? Nic podobnego!

- Nie? Raczej nie próbuj tego sprawdzać. - Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów, po czym wzruszył ramionami. - Wystarczy już tego. Mam sporo do zrobienia, pani. Porozmawiamy w południe, przy posiłku. Muszę zorganizować eskortę dla ciebie. Bądź tak dobra i zamów u ochmistra coś gorącego do jedzenia dla moich ludzi i dla mnie.

Nie oglądając się, odszedł w stronę stajni. Rosamund ściągnęła brwi i zacisnęła dłonie w pięści. Gdyby nie to, że jej but ugrzązł w błocie, zaczęłaby tupać nogą. Bez słowa wyminęła matkę i z wysoko uniesioną głową wspięła się po schodach. Uświadomiła sobie, że do niczego nie dojdzie, dopóki nie porozmawia z Fitzem Osbernem, ale nie zamierzała biegać za nim, by zwrócić na siebie jego uwagę, toteż zajęła się przygotowaniem posiłku.

Należało przestawić mu dokumenty świadczące o tym, że jest prawowitą właścicielką zamku, a potem zmusić go do wyjazdu, choć nie miała pojęcia, jak uda

jej się tego dokonać. Sądząc po krótkiej rozmowie, którą właśnie odbyli, nie był to człowiek otwarty na argumenty.

Jednak nie było to wszystko, czego się o nim dowiedziała. Inne sprawy również były nie do zaakceptowania. Rosamund otarła dłonie o spódnicę. Dotyk Fitz'a Osberna wciąż przepalał jej skórę.

Lady Petronilla stała na dole schodów, patrząc na tę scenę z fascynacją. Rozgrywające się przed jej oczami zderzenie dwóch upartych charakterów wzbudziło w niej niepokój co do przyszłości. Nie słyszała słów, z jednym wyjątkiem, a mianowicie gdy Rosamund podniosła głos i nazwała rycerza barbarzyńcą i złodziejem, co może nie było najmądrzejsze podczas pierwszego spotkania, ale ogólny ton rozmowy był jasny. Rose za bardzo przypominała swojego ojca, a dla panny nie było to zaletą. Co się teraz z nimi stanie? Ludzie Fitz'a Osberna nieodwołalnie przejęli zamek. Wartownicy przy bramie pilnowali wież, broń została złożona w arsenale, a konie stały w stajniach. Petronilla zerknęła w stronę starszego z dwóch rycerzy, który podczas tej burzliwej rozmowy nie ruszył się z miejsca. Wciąż stał przy swoim koniu z dłonią opartą na rękojeści miecza i z wyraźną aprobatą przyglądał się wszystkiemu, co się działo dokoła.

Wyczuł jej zainteresowanie. Gdy spojrzał na nią, na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech. Z jakiegoś powodu jego spokojna pewność siebie, szczerść na twarzy i błysk w oczach, które napotkały jej spojrzenie przez całą szerokość dziedzińca, wywołały rumieniec na twarzy Petronilli. Czula, że rycerz rozumie, w jak niewygodnej pozycji się znalazła, i jego współczucie niezmiernie ją zirytowało. Chciałaby zetrzeć ten uśmiech z jego twarzy. Zanim głos zdrowego rozsądku zdołał ją powstrzymać, podeszła do rycerza.

- Nie wiem, panie, co cię tak rozbawiło - stwierdziła surowo, unosząc głowę identycznym gestem jak córka. - Powinieneś się wstydić.

- Czego? - Uśmiech zniknął, rycerz ściągnął brwi. - Cóż takiego uczyniłem?

- Nic. Właśnie w tym rzecz, że nic.

Podobnie jak córka, ona również obróciła się na pięcie i odeszła.

Rosamund krążyła po wielkiej sali, pogrążona w zamięcie myśli. Decyzja o tym, by przyjechać do Clifford, choć wymagała niemałej odwagi, okazała się bardzo zła, a teraz ta katastrofa... Od chwili, gdy po raz pierwszy znalazła się w niewielkiej wiosce składającej się z nie więcej niż dwudziestu drewnianych, krytych strzechą domów na brzegu rzeki Wye, gdzie znajdował się dogodny bród, wszystko szło nie tak.

Poprzedniego dnia wjechała na dziedziniec i z przerażeniem popatrzyła na centralną wieżę zamku, niedawno przebudowaną przy użyciu miejscowego kamienia. To było jej dziedzictwo, jej dom. Szary, nieprzyjazny...

- Nie wygląda to zbyt zachęcająco, prawda? - Lady Petronilla rozejrzała się dokoła i mocniej ścisnęła wodze klaczy.

- Na rany Boga! - w desperacji wykrzyknęła Rosamund.

Czy ta piekielna twierdza na krańcach cywilizowanego świata miała być jej domem?

- Nie wzywaj imienia bożego nadaremno - upomniała ją hrabina łagodnie. - Nie może być tu tak źle, jak na to wygląda. - Przed nimi przebiegł szczur większy od przeciętnego kota. - A może i jest tak źle...

Ponieważ mieli na sobie widoczne z daleka, czerwono-czarne barwy de Longspeyów, bez pytania otwarto przed nimi bramy. Thomas de Byton, komendant garnizonu, starszy rycerz o posępnej, pobrużdżonej twarzy, nie skłonił się przed nimi, tylko stał na schodkach prowadzących do wieży, mierząc je wzrokiem, który Rosamund uznała za złośliwy. Z całej jego postaci biła wyraźna dezaprobata. Rosamund czekała, aż do nich podejdzie, ale gdy nie ruszył się z miejsca, podprowadziła konia bliżej i zatrzymała się tuż przed nim, śmiało oddając mu spojrzenie.

- Thomasie de Bytonie - rzekła jasnym, donośnym głosem. - Jestem Rosamund de Longspey.

- Tak, pani. Słyszałem, że earl oddał zamek kobiecie.

Nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

- Zechciej przygotować komnaty dla mojego orszaku, a także dla mnie i dla hrabiny.

- Na jak długo, pani?

Podniosła wyżej głowę, spojrzała na niego z góry.

- Na tak długo, jak uznam za stosowne. Zamierzam tu zamieszkać na stałe.

- Jak sobie życzysz, pani - obojętnie odparł sir Thomas i poszedł na górę.

- Zaczekaj, sir Thomasie. - Gdy zatrzymał się i obejrzał przez ramię, dodała: - Bądź tak dobry i zajmij się moimi końmi i bagażami, a ja w tym czasie sama obejrzę prywatne komnaty.

- Jak sobie życzysz, pani. - Niechętnie zszedł znów na dół i powlókł się przez dziedziniec w stronę drewnianych, krytych strzechą budynków, w których mieściły się kuchnie. Na odchodnym wymruczał nieprzyjaźnie: - Jeśli zmienisz zdanie, pani, i nie będziesz chciała tu pozostać, to daj mi znać.

Ona jednak wiedziała, że musi tu zostać, i szykowała się w duchu na to, co miało nadejść.

- No cóż, mogło być gorzej. Coś tu jednak zrobiono - rzekła Petronilla, patrząc na kamienne mury wznoszące się wokół wewnętrznego dziedzińca.

- Ja nie widzę tu szczególnych zmian. - Rosamund podniosła nogę i obejrzała but pokryty błotem aż do kostki. Wewnętrzny dziedziniec nie miał odprowadzenia wody i wszędzie stały kałuże. Wysokie mury zasłaniały światło, powietrze było wilgotne i zimne. Pewnie tak było również podczas najcieplejszych, letnich dni. - Czuję się tu jak w grobowcu.

- W każdym razie zamek zbudowany jest z kamienia. W drewnianych są okropne przeciągi. - Petronilla próbowała doszukać się jakichś dobrych stron w sytuacji. Popatrzyła na pięć wież i stojący między nimi trypoziomowy budynek. Wszystkie wieże połączone były mocnym murem obronnym z blankami na szczycie. - Tu będziemy bezpieczne, nawet jeśli przedzamcze nie oprze się atakom.

- Tak sądzisz? - Rosamund wskazała na zaprawę wykruszającą się spomiędzy kamieni. - Lepiej obejrzyjmy resztę, zanim wejdziemy do środka.

Ruszyły w ślad za sir Thomasem. Inspekcja nie trwała długo. Z każdym krokiem niechęć Rosamund do nowego domu stawała się coraz większa. Oprócz wartowni

przy bramie i kamiennych, na oko solidnych wież, całą resztę fortyfikacji stanowiła drewniana palisada otoczona wałem ziemnym i fosą. Budynki na zewnątrz zamku - stajnie, kuchnie, magazyny, a także obory dla krów i owczarnie - były drewniane, kryte strzechą. Rosamund ostrożnie wymijała zwierzęta, planując, że postawi tu zagrodę z prawdziwego zdarzenia. Kury siedziały posepnie na szczycie dachu. W kącie obok wieży leżała cuchnąca kupa nawozu. Rosamund zmarszczyła nos i szybko oddaliła się od tego miejsca. Kto pozwolił, by nawóz składano tak blisko domu?

- Mogło być gorzej - powtarzała hrabina jak zakłęcie. - W każdym razie masz świeżą wodę ze studni.

- Owszem, mam. - Uśmiechnęła się do matki sucho. - Przestań się tak cieszyć, wejdźmy do środka. Zauważ, że nasz dowódca garnizonu i mój niewidzialny ochmistrz, o ile takiego mam, starają się nie rzucać nam w oczy. Myślę, że to źle wróży na przyszłość.

Nie pomyliła się. Widok i zapachy, które powitały je w zamku, sprawiły, że odebrało im mowę.

- Och, mój Boże - westchnęła w końcu lady Petronilla.

W wielkiej sali widać było ślady obecności wielu ludzi.

Najwyraźniej spali tu wojowie sir Thomasa. Ciemna nawet w najbardziej słoneczne dni, pełna dymu z otwartego paleniska, który nie znajdował ujścia przez grube mury, oraz odoru zwierzęcego tłuszczu, którym nasycone były łuczywa, sala przypominała scenę z malowidła na kościelnej ścianie przedstawiającego piekło, które miało przestraszyć grzeszników i skłonić ich do poprawy.

- Tego sitowia nie zmieniano chyba od zeszłej zimy! - Przerazona brudem Rosamund starała się omijać sitowie z obawy, by nie przeszły na nią robaki i pchły. Orzeźwiający zapach już dawno zniknął, teraz panował tu smród resztek jedzenia i chartów, które cofnęły się, warcząc, gdy się do nich zbliżyła. Czuć było z daleka, że nikt w tym zamku nie mył się zbyt często.

Umebrowanie było więcej niż skromne i w okropnym stanie. Przy palenisku stało kilka ław i zydl. Jedyne stół na podwyższeniu pamiętał lepsze dni. Kamiennych

ścian, pokrytych wilgocią i sadzą, nie zdobiły gobeliny, zresztą wieszanie na nich cokolwiek byłoby zwykłym marnotrawstwem.

- A jak wyglądają prywatne izby? - Rosamund energicznie ruszyła po schodach na wyższą kondygnację. - Gdzie będziemy dzisiaj spać?

- Nie tutaj. - Lady Petronilla z odrazą uniosła skraj sukni.

Wyglądało na to, że w bawialni, która z założenia miała być pomieszczeniem dla kobiet, również spali żołnierze. Znalazły tu porzucony but, parę części uzbrojenia, dzbany piwa i resztki jedzenia. Przylegająca do bawialni komnata, niegdyś zapewne prywatna sypialnia lorda i jego żony, została przejęta przez Thomasa de Byrona, który zapewne nie miał zamiaru wynieść się stąd.

- Przenajświętsza Panienko! - Rosamund potknęła się o coś dziwnego obok dębowego łoża, które kiedyś musiało być szykownym meblem. Była to sterta talerzy pokrytych grubą warstwą pleśni. Smród, który przywitał ją w drzwiach, pochodził z toalety wbudowanej w gruby mur. Na dole toaleta opróżniała się bezpośrednio do fosy. Krótko mówiąc, było to odrażające miejsce.

Rosamund postanowiła nie oglądać niczego więcej.

- Wątpię, czy choć raz tu sprzątno od czasu, gdy zbudowano ten zamek. Trudno uwierzyć, by Ralph de Morgan mógł skusić się na coś takiego. - Zakryła oczy ciemnymi rzęsami, unikając przenikliwego wzroku matki. - Sądzę, że taki posag nie przyciągnie do mnie godnego męża, prawda? A jednak Ralph de Morgan gotów był mnie wziąć, byle tylko zdobyć Clifford, który umożliwia kontrolę nad przeprawą przez Wye. Obory w Salisbury wyglądają lepiej, ale ojciec uznał, że to będzie dla mnie odpowiednie dziedzictwo. - Nieświadomie podniosła głos, próbując odpędzić od siebie ponure wizje przyszłych dni spędzonych w tym miejscu. - Może rzeczywiście jestem już w tak zaawansowanym wieku, że nie mogę marzyć o nikim lepszym niż Ralph. Z pewnością dla Longspeyów nie mam zbyt wielkiej wartości. Traktują mnie tylko jak przynętę dla lorda z pogranicza.

- Głupia dziewczyno, jak możesz myśleć, że nic nie jesteś warta? Wierz mi, Rose, to miejsce będzie wyglądało o wiele lepiej, gdy się je porządnie doszoruje. -

Petronilla zdobyła się na coś w rodzaju uśmiechu, natomiast pokojówka Edith po cichu modliła się do Matki Boskiej o odwagę, doskonale zdając sobie sprawę, co za stworzenia mogą znajdować się w posłaniu. Pchły i pluskwy były niewidoczne, ale nie sposób było przeoczyć myszy i szcurów, a także olbrzymich pajaków, które szczelnie zasnuły pajęczynami wszystkie kąty.

- Właśnie tak myślę. Zastanów się tylko. Earl William i Gilbert chcieli przyciągnąć do mnie kandydata na męża, dając mi w posagu tę kupę gnoju. Jak to świadczy o mojej wartości? - Dumnie ściągnęła ramiona, postanawiając, że nic nie złamie jej ducha. W każdym razie zamierzała udawać, że nie czuje się upokorzona. - Może w magazynach jest jakaś nadzieja?

Jednak i tam jej nie było. Jedno spojrzenie przekonało Rosamund, że magazyny zawierają wyłącznie wielką ilość beczek z piwem. Ten smutny fakt znalazł potwierdzenie podczas południowego posiłku serwowanego w brudnej, wielkiej sali przez niedomytego chłopca kuchennego. Oprócz piwa podano im tylko tłusty rosół z baraniny, talerz gotowanej cebuli oraz przypalone podpłomyki.

W milczeniu zjadły, co dało się zjeść. Rosamund w końcu miała chwilę, żeby zebrać myśli. Zanurzyła łyżkę w tłuszczu, który zbierał się na powierzchni rosółu, i odsunęła go na bok, a potem odsunęła całą miskę. Miała trzy możliwości. Mogła przyznać się do porażki, wrócić do Salisbury i rzucić się w objęcia Ralpha. Na tę myśl aż się wzdrygnęła. Nie, to było wykluczone.

Druga możliwość: mogła zamieszkać w Lower Broadheath razem z matką i zestarzeć się tam z nudów. Zatrzymała pełne uczucia spojrzenie na hrabinie, która właśnie z wdzięcznym, choć fałszywym uśmiechem podsuwała talerz z cebulą sir Thomasowi.

Albo - powoli odetchnęła i jeszcze raz powiodła wzrokiem po brudnych ścianach sali - mogła pozostać tutaj i objąć swoje dziedzictwo w posiadanie jako lady Clifford.

- Rose, gdybyś wyszła za Ralpha de Morgana, nie musiałabyś tu mieszkać - rzekła Petronilla, odgadując jej myśli.

- A czy ty miałabyś ochotę wpaść w jego spocone łapy?

- Nie...

Rosamund znów ściągnęła ramiona. Choć to wszystko wyglądało przerażająco, zamierzała pozostać w Clifford, ale w zamku należało natychmiast dokonać zmian na wielką skalę. Była panią tego miejsca i zamierzała uczynić je swym domem. Uśmiechnęła się słodko do matki i do podejrzliwego sir Thomasa, układając już plan tych zmian.

Skrzywiła się z niechęcią. Właśnie teraz, gdy już podjęła decyzję, że zostanie i uporządkuje tę ruinę, gdy pogodziła się z niedoskonałościami swojej nowej siedziby, zdobyła się na próbę pokonania oporu sir Thomasa, zaakceptowała myśl, że czeka ją ciężka praca, pojawił się ten łajdak, ten godny pogardy rabuś, i próbował odebrać jej dziedzictwo, jedyną ochronę przed Ralphem de Morganem. Ten głupi osioł.

- Słyszałaś, co on powiedział? Co za bezczelność! - zawołała na widok matki wchodzącej do wielkiej sali.

- Tak, słyszałam wszystko. - Petronilla w zamyśleniu spojrzała przez ramię na mężczyzn stojących po drugiej stronie dziedzińca.

- Zamek należy do niego, a ja powinnam dopilnować przygotowań do posiłku! - Rosamund ze wzburzeniem klasnęła w ręce. - Mam przecież dokumenty z pieczęcią. On nie może tego zrobić!

- Niestety już to zrobił.

Przygryzła usta i ponuro spojrzała na matkę.

- Dziwnie spokojnie do tego podchodzisz. - Od jakiegoś czasu hrabina przyjmowała wszelkie zawirowania życiowe ze stoicyzmem i bez woli walki. Martwiło to Rosamund, ale pora nie była stosowna na poruszenie tego tematu. - Nie będę jadła w jego towarzystwie.

- Rose, nie możemy zagłodzić się na śmierć. Poza tym głód źle wpływa na nastrój. Musisz zachować spokój, nim zdecydujesz, co robić dalej. - Milady zatrzymała wzrok na zarumienionej twarzy córki. - A jakie są twoje zamiary?

W zielonych oczach pojawiły się groźne błyski.

- Nie mam pojęcia.

- W takim razie przyjmijmy rycerzy posiłkiem, okażemy im uprzejmość, jak przystało wobec gości, i zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja.

Rada matki nie była pozbawiona sensu. Nie należało obrażać mężczyzny, który przed chwilą trzymał miecz wymierzony w jej pierś, ale nie zamierzała ustępować.

- Dobrze, nakarmię go, ale zapamiętaj moje słowa: nie oddam bez walki domu jakiemuś wyrzutkowi z pogranicza, bez względu na to, jak się nazywa.

- Oczywiście, droga Rose, ale nie byłoby mądrze usposabiać go do siebie wrogo.

Jeśli spotkanie z dziedziczką de Longspeyów wywarło jakieś wrażenie na Fitzu Osbernie, nie pokazał tego po sobie, choć ci, którzy znali go dobrze, zauważyli, że stał się jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Do południa udało mu się rozlokować oddziały i rozejrzeć wokół. Wprawdzie forteca, ze względu na drewnianą palisadę, do najpotężniejszych nie należała, ale nie mógł nic zarzucić nowszym budynkom wzniesionym przez earla Salisbury. Kamienne mury i wieże na naturalnym skalistym urwisku, które wznosiło się nad rzeką, mogły powstrzymać nawet najbardziej zdeterminowanego wroga. Zmarszczył czoło na widok sir Thomasa de Bytona. Komendant Longspeyów nie wzbudził jego sympatii, musiał jednak przyznać, że jest dobrym dowódcą, skutecznym w wykonywaniu poleceń, zwłaszcza gdy pochodziły od mężczyzny, a nie od kobiety. Zastanawiał się nad pozostawieniem go na stanowisku, by dowodził garnizonem w jego imieniu.

Gdy zimowe słońce wzniosło się do najwyższego punktu nieba, Gervase i jego ludzie zgromadzili się w wielkiej sali. Dokoła uwijały się służące sprowadzone z wioski. Po dziedzińcu niosły się zapachy pieczeni i świeżego chleba. Żołnierze tłoczyli się wokół stołów na kozłach. Fitz Osbern i towarzyszący mu Hugh zbliżyli się do podwyższenia, gdzie siedziały już damy.

Gervase nie był tak całkiem odporny na kobiece wdzięki i musiał przyznać, że Rosamund de Longspey była bardzo ładna. Dostrzegł jej zaróżowioną, świeżą twarz, prosty nos i piękne łuki brwi... i zaczął obawiać się kłopotów. To nie była mała

dziewczynka, lecz dorosła kobieta, zanadto przekonana o własnej ważności, pewnie zresztą dlatego, że wyrosła w domu earla Salisbury, gdzie nikt nie krępował jej woli. Nie mógł jednak pojąć, jak to możliwe, by była dzieckiem z drugiego małżeństwa earla. W niczym też z wyglądu nie przypominała de Longspeyów. Jednak bez względu na to, jakie było jej prawdziwe pochodzenie, panna Rosamund uważała zamek za swoją własność, a przez to stanowiła dla niego przeszkodę w planach, z których oczywiście nie zamierzał rezygnować. Clifford należało do niego, a dwie pozostałe fortece na pograniczu jeszcze przed końcem tygodnia również miały stać się jego własnością.

Zauważył pogardę i potępienie w oczach dam. Uważały go za barbarzyńcę i rabusia. Miał ochotę roześmiać się. Doskonale wiedział, jak wygląda. Cały pokryty błotem, z pewnością sprawiał takie wrażenie. Ta dama widziała w nim tylko awanturnika bez grosza przy duszy, gruboskórnego prostaka bez wykształcenia, człowieka, który nie miał innego domu oprócz tej prymitywnej fortecy zbudowanej z drewna i błota. Ona zaś nosiła wykwintne szaty. Gotów był się założyć, że bardzo starannie dobierała strój przed posiłkiem. Lady Rosamund była chytra jak lisica. Jedwabna suknia, haftowana na dole i przy rękawach, z welonem przytrzymanym przepaską zdobioną podobnym haftem, była całkiem niepraktyczna w twierdzy na rubieżach, jednak ciemnozielony kolor podkreślał przejrzystość cery, intensywną barwę oczu i zaróżowione policzki.

Zmusił się do skupienia uwagi na czym innym. Ta kobieta była dla niego tylko problemem do rozwiązania, lisicą, którą należało wykurzyć z nory. Wystroiła się, by okazać mu swoją przewagę. Stojąc na podwyższeniu, zdawała się górować nad nim wzrostem, ale zaraz to zmieni. Wszedł na podwyższenie i zatrzymał się tuż przed nią. Teraz Rosamund de Longspey sięgała mu ledwie do ramienia.

Szybko umknął wzrokiem, skrywając pod gęstymi rzęsami dziwny błysk w oczach. Stojąc przed nią, nieoczekiwanie poczuł chęć, by ją chronić, ale choć była tak piękna i wydawała się krucha, nie zamierzał postępować w ten sposób. Dla własnego dobra musiał jak najszybciej pozbyć jej się z zamku.

Rosamund przygotowała wszystko bardzo starannie. Zajęła krzesło z wysokim oparciem przynależne panu na tych włościach, jedyne takie w całej sali. Z wielką przyjemnością wyrzuciła Thomasa de Bytona z jego zwykłego miejsca i wskazała mu inne, mniej godne, a teraz zamierzała uczynić to samo z Fitzem Osbernem. Gdy zbliżał się do niej, nie odrywała wzroku od jego twarzy. Jeśli nawet zauważył jej zamiary, nie dał tego po sobie poznać. Obrócił głowę i zamienił kilka słów z rycerzem, który mu towarzyszył. Rosamund miała czas dobrze mu się przyjrzeć. Nie uczesał włosów, ale uporządkował je trochę palcami, oczyścił szatę z największego błota i zrzucił płaszcz. Wciąż miał przy sobie miecz i sztylet, a jego buty wołały o pomstę do nieba. Nadal wyglądał jak zwykły rabuś.

Podniosła się powoli.

Skłonił się i wszedł na podwyższenie, o mały włos nie przydeptując skraju jedwabnej sukni Rosamund brudnymi buciorami. Przysunął sobie zydel i usiadł bez słowa, nie czekając, aż damy usiądą pierwsze.

- Pozwólcie, panie, że się przedstawię. - Spojrzał na nie obojętnie. - Nazywam się Gervase Fitz Osbern, a to jest Hugh de Mortimer.

Rosamund usiała i skłoniła głowę gestem wielkiej damy. Jej lęki były uzasadnione. To byli zwykli szlachetkowie z pogranicza, niewiele więcej warki niż rabusie z gościńców. Nie sposób było ich porównać ze szlachetnie urodzonymi panami z rodu Longspeyów czy z dworzanami króla Henryka, którzy odwiedzali Salisbury, toteż odpowiedziała mu chłodno i z pewną dozą arogancji:

- Jestem Rosamund de Longspey. Pozwól, że przestawię cię mojej matce, lady Petronilli de Longspey, hrabinie Salisbury.

- Dziękujemy ci za gościnność, pani. Miło usiąść do tak smacznego posiłku po pracy - odezwał się de Mortimer, zacierając ręce. Pierwsze słowa skierował do Rosamund, zaraz jednak jego uwaga skupiła się na hrabinie. - Znałem twojego męża, pani. Po raz ostatni widziałem go podczas koronacji króla Henryka cztery lata temu. Słyszałem o twojej stracie. Zapewne bardzo zasmuciła cię jego przedwczesna śmierć.

- Tak, dziękuję. To było zupełnie nieoczekiwane - odrzekła hrabina z

wdziękiem.

W oczach Mortimera pojawił się wyraźny błysk.

- Sądziłem, że twoja córka jest młodsza. Twoje małżeństwo z Salisburyem nie trwało chyba zbyt długo. Nie wyglądasz, pani, na damę, która może mieć już córkę w wieku stosownym do małżeństwa.

Rosamund ze zdziwieniem zauważyła, że twarz matki poróżowiała.

Petronilla odwróciła wzrok wyraźnie speszona, ale odpowiedziała gładko:

- Rosamund nie pochodzi z rodu Salisbury, panie. Jest moją córką z pierwszego małżeństwa z Johnem de Bredwardinem. Wydano mnie za mąż w bardzo młodym wieku. Gdy powtórnie wyszłam za mąż, ja i córka przyjęłyśmy nazwisko lorda Salisbury. Earl William, cóż... nalegał na to.

- Rozumiem. Zechciejcie, panie, przyjąć moje wyrazy współczucia. O ile wiem, earl był człowiekiem, który zawsze przeprowadzał swoją wolę.

Petronilla uśmiechnęła się niepewnie.

- To prawda, panie.

Rosamund nie mogła czekać już dłużej. Pragnęła jak najszybciej doprowadzić do tego, by uznali jej pozycję w zamku. Rzuciła surowe spojrzenie matce, która zarumieniła się i umilkła, a następnie dała ochmistrzowi Pennardowi sygnał do rozpoczęcia posiłku. Przyniesiono dzbany z piwem i wielkie talerze pełne jedzenia. Pennard ceremonialnie wniósł do sali puchar pana tych ziem, zrobiony z kiepskiej gliny i o wyszczerbionych brzegach. Rosamund patrzyła na niego spod przymrużonych powiek, ciekawa, kogo nim obdarzy. Ochmistrz zawahał się nerwowo, w końcu jednak wykazał się zdumiewającym taktem i z lekkim ukłonem postawił puchar przed nią. W milczeniu skłoniła głowę, zadowolona z tego drobnego zwycięstwa, po czym przeniosła spojrzenie na siedzącego obok Fitzę Osberna, który obserwował ją czujnie.

- Mamy wiele do omówienia, panie - zwróciła się do niego.

Podniósł na nią wzrok znad bochenka chleba.

- Jeśli o mnie chodzi, pani, nie ma o czym mówić, chyba że chcesz ustalić

szczegóły swojego wyjazdu. Twoje konie i wóz będą gotowe jutro rano o pierwszym brzasku. Dziś jest już za późno, za dwie godziny zacznie się ściemniać, ale jeśli wyjedziesz jutro o świcie, to bez kłopotu dotrzesz do Hereford jeszcze tego samego dnia, a stamtąd dobrą drogą dojedziesz do Salisbury.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Sądzę, panie, że czegoś nie rozumiesz. Ten zamek to mój spadek po earlu Williamie i mój posag. Mam do niego wszelkie tytuły prawne.

- Już ci wyjaśniłem, że ten zamek został skradziony mojemu ojcu przez Salisbury'ego, toteż jeśli mówimy o aspektach prawnych, należy do mnie.

- I naprawdę zamierzasz mnie stąd wyrzucić?

Nie mogła usiedzieć spokojnie. Wstała, zmuszając Fitz Osberna do podniesienia głowy. Ich oczy spotkały się, wrocie, obce.

Wzruszył ramionami, wyciągnął sztylet zza pasa i odkroił sobie kawał mięsa.

- Tak, pani. Tu jest za mało komnat i tylko jedna prywatna sypialnia. To, że ją zajmujesz, stanowi dla mnie pewną niewygodę.

- Dokoła dziedzińca stoi pięć wież. We wszystkich są komnaty i w każdej z nich można spać. Wiem o tym, bo sama spędziłam tam ostatnią noc. - Twarz Rosamund pobladła, a serce zaczęło bić mocniej i z gniewu, i z lęku, że Fitz Osbern naprawdę ją stąd wyrzuci.

- To nie jest miejsce dla ciebie, pani.

- Nigdzie nie wyjadę.

Z hałasem odłożył sztylet na stół, nawet nie próbując skrywać zniecierpliwienia.

- Nie daję ci żadnego wyboru, pani. Dostaniesz eskortę do Hereford, jeśli obawiasz się podróżować sama, choć przyjechałaś tu bez niczyjej pomocy. A potem już dasz sobie radę. Sądzę, że zostaniesz dobrze przyjęta w Salisbury. - Wzruszył ramionami, jakby zupełnie go to nie interesowało.

- Nie mogę tam wrócić - szepnęła Rosamund.

- Dlaczego nie? Twój brat cię nie przyjmie? Nie wierzę.

- Nie w tym rzecz. - Przed oczami zamajaczył jej Ralph de Morgan.

Gdyby znów znalazła się we władzy Gilberta... Przymknęła oczy, tłumiąc dreszcz obrzydzenia. Cała jej wiedza o małżeństwie pochodziła ze smutnych doświadczeń matki, która zawsze była dyskretna, ale nie potrafiła ukryć wszystkich swych cierpień. Jej pierwszy mąż, ojciec Rosamund, prostacki rycerz bez żadnej ogłady, traktował Petronillę niewiele lepiej niż służące w swoim zamku. Drugi miał ogładę i styl, ale był zimny jak ryba i nie potrafił kochać. Petronilla nie zaznała więc szczęścia w obu tych związkach, a Rosamund nie chciała tak żyć. Skrywane łzy, skrywane emocje, bolesne poczucie osamotnienia, a z de Morganem czekał ją taki właśnie, o ile nie gorszy nawet los. Nie mogła się na to zgodzić, ale nie mogła też bez uszczerbku na dumie wyjaśnić Osbernowi, dlaczego musi pozostać w Clifford. Powtórzyła więc tylko:

- Nie wyjadę. - Zgarnęła suknię, by odejść od stołu.

Fitz Osbern pochwycił ją za rękę.

- Pani, chciałbym, byś mnie dobrze zrozumiała. Wyjedziesz jutro, nawet jeśli będę musiał osobiście wsadzić cię na wóz wraz ze wszystkimi kuframi. Bądź gotowa o świcie.

Bezskutecznie próbowała uwolnić dłoń. Wstręt do nieobecnego Ralpha walczył z nienawiścią do bardzo realnego Fitz Osberna. Z impulsywnością, którą jej matka знаła aż nazbyt dobrze, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, oznajmiła spontanicznie:

- Jeśli to uczynisz, panie, będę koczować za bramą, aż znów mnie wpuścisz albo umrę od deszczu i zimna.

Osbern wybuchnął śmiechem.

- Ha! Cóż za głupi pomysł! Zwykła groźba rozpuszczonego dziecka, które za wszelką cenę usiłuje postawić na swoim. Skąd ci taki pomysł przyszedł do głowy? Nie przekonają mnie twoje puste groźby. Ostrzegałem cię przecież, żebyś nie próbowała stawiać mi oporu.

- Rosamund - mruknęła pod nosem hrabina, jakby mówiła: „Nie drażnij bestii”.

- Nie, matko. - Nawet na nią nie spojrzała, skupiona na Osbernie. - Nie pozwolę

się wydziedziczyć temu człowiekowi. Nie pozwolę, by wyrzucił mnie z mojego domu.

- Oczywiście, że pozwolisz - powtórzył twardo. - Gdybyś choć przez chwilę zastanowiła się nad tym wszystkim, sama byś uznała, że to najmądrzejsze rozwiązanie. Twierdza na pograniczu nie jest odpowiednią rezydencją dla samotnej kobiety, okażesz więc rozsądek i wrócisz do Salisbury, a za miesiąc podziękujesz mi, że uchroniłem cię przed popełnieniem błędu, do jakiego popychała cię duma. - Na jego usta wypląnął pobłażliwy uśmiech.

- Nic z tego! - Ach, ten jego uśmieszek... - Będę siedziała pod bramą aż do skutku, a jeśli zginę z zimna, moja śmierć obciąży twoje sumienie. Czy chcesz tego, panie?

Fitz Osbern wzmocnił uścisk na jej dłoni.

- Pani, nie próbuj kwestionować mojej władzy.

- W takim razie nie zmuszaj mnie do tego, panie!

Wyszarpnęła rękę, zeskoczyła z podwyższenia i z wysoko uniesioną głową poszła po schodach do bawialni, nie oglądając się za siebie.

Po chwili hrabina podniosła się z przepaszającym uśmiechem.

- Sądzę, panie, że powinnam cię ostrzec - rzekła spokojnie, zatrzymując spojrzenie na twarzy Fitz Osberna. - Radzę ci nie lekceważyć mojej córki. Nie byłoby to mądre. Ona nie rzuca słów na wiatr.

- Ze mną nie wygra.

- Nie byłabym tego taka pewna. Nie może sobie pozwolić na porażkę. - Poszła w ślad za córką.

- Sądzę, że lady Petronilla ma rację, Ger. Ta panna może postawić na swoim. Jest twarda i waleczna - stwierdził z podziwem Hugh. - Czy rzeczywiście chcesz zaryzykować i sam się przekonać?

- Bzdura. Cóż takiego ryzykuję? - Wrócił do zapomnianego posiłku i znów wbił sztylet w baraninę. - Mogę się założyć, że jutro będzie padać. Porządny deszcz wyśle ją w drogę do domu szybciej niż moje słowa. I Bogu dzięki. Sądzę, że miałbym z nią więcej kłopotów niż z całym robactwem w tym zamku.

Hugh de Mortimer zgadzał się z nim w pełni. Wiedział z doświadczenia, że kobiety gustują w podstępnych grach, a ta panna wyglądała na nadzwyczaj przebiegłą. A co do jej matki... Podczas spotkania na dziedzińcu wyglądało na to, że ma o nim gorsze zdanie niż o szczurach, które przemykały pod ścianami. Sposób, w jaki stawiała mu wówczas czoło, był godny podziwu. Hugh miał wielką ochotę dowiedzieć się, skąd pochodził głęboki smutek w jej spojrzeniu, choć, oczywiście, nie była to jego sprawa.

Nikt w zamku nie spędził tej nocy spokojnie.

Rozważania Mortimera o wdowie przeszły w przyjemne marzenia. Owinął się płaszczem i w końcu zasnął w jednej z pustych komnat w wieży.

Fitz Osbern, którego żołnierska dola nauczyła spać w każdych warunkach, spędził bezsenną noc, prześladowany przez uporczywe myśli. Od czasu, gdy dorósł i przejął kontrolę nad Monmouth, nikomu nie pozwalał ignorować swoich życzeń. Jego matka, lady Maude, przekonała się o tym szybko, gdy próbowała wtrącać się w jego sprawy, tak jak zawsze wtrącała się w sprawy męża, ale ta przeklęta pannica chyba o tym nie wiedziała. Do ostatniej chwili stawała okoniem, choć jej nadgarstek był tak kruchy, że można by go złamać mocniejszym uściskiem. A potem, gdy nakazał jej wrócić do domu earla Gilberta, zauważył na jej twarzy wyraźny lęk, zaraz zastąpiony przez wściekłość. Z jakiej przyczyny nie uważała Salisbury za spokojny, wygodny raj?

Te rozważania były bardziej męczące niż ból zęba. W końcu, zirytowany na siebie, naciągnął płaszcz na głowę i zmusił się do zaśnięcia.

Petronilla, choć w ciągu lat spędzonych z mężczyznami, którzy nie zwracali uwagi na jej uczucia, nauczyła się zachowywać spokój w każdej sytuacji, była równie poirytowana. Po cóż, na litość boską, opowiadała o sobie temu Mortimerowi, rumieniąc się przy tym jak młoda dziewczyna? Czyż nie miała już dosyć mężczyzn? Zamierzała prowadzić spokojne życie, z wdowim uposażeniem i własnym domem. A poza tym i tak jutro stąd wyjadą, więc nigdy już nie zobaczy tego człowieka.

Mimo wszystko wciąż nie potrafiła zasnąć.

Obok niej, w izbie lorda, wciąż zbyt brudnej jak na jej gust, córka przewracała się z boku na bok, aż w końcu całkiem zrezygnowała ze snu. Wiedziała, że swoim zachowaniem dołala oliwy do ognia i musiała być gotowa na konsekwencje swych impulsywnych deklaracji. Wykorzystała godziny dzielące ją od świtu, by starannie zaplanować każdy krok, który będzie musiała uczynić, jeśli zostanie wyrzucona za bramę zamku. Nie mogła pozwolić, by ten uzurpator ją pokonał, wiedziała bowiem dobrze, kto on zacz. Jej dziki sokół, rzecz jasna.

To właśnie on przed czterema laty wzgardził jej ręką, nie obdarzając nawet jednym spojrzeniem. Pod warstwą błota i zarostu na policzkach był tym samym człowiekiem, którego twarzy nie potrafiła zapomnieć, choć przy bliższym poznaniu stwierdziła, że pamięć musiała ją zwieść. Fitz Osbern, którego ujrzała w Clifford, zupełnie nie przypominał atrakcyjnego mężczyzny, z którym William pragnął zawrzeć sojusz. Jednak earl Salisbury na pewno nie zaproponowałby sojuszu zwykłemu bandycie. Może Fitz Osberna spotkało jakieś nieszczęście i musiał teraz żyć z rabunków?

Westchnęła. Ponieważ nie okazał jej żadnego zainteresowania ani w Salisbury, ani teraz, nie dziwiła się, że w Clifford jej nie poznał.

Rozdział czwarty

Bagaż de Longspeyów były już spakowane. Rosamund nie wierzyła, by Fitz Osbern miał nie dotrzymać słowa. Wymyśliła niebezpieczny i ryzykowny plan, ale jej prawdziwy ojciec również był ryzykantem, aż w końcu zginął od strzały, gdy napadł na posiadłość sąsiada w celu uprowadzenia krów. Rosamund nie groziły strzały, najwyżej zimny wiatr i ulewa. Gdyby jednak plan się powiódł, nagroda byłaby cenniejsza od złota, a jej wolność warta więcej niż jakikolwiek klejnot.

Zamierzała pokazać lordowi Fitzowi Osbernowi, że nie jest kobietą, którą można lekceważyć.

- Ubierzcie się ciepło - poradziła swoim towarzyszom. - Włóżcie jak najwięcej warstw i zostawcie kołdry na wierzchu wozu. - Zatrzymała surowe spojrzenie na matce i na Edith. - I żadnych narzekań.

Fitz Osbern i de Mortimer patrzyli z wieży przy bramie na wyjazd wielkiego orszaku w eskorcie czterech ich ludzi, którzy, zgodnie z obietnicą, mieli bezpiecznie doprowadzić Rosamund do Hereford. Lord Monmouth nie zszedł na śniadanie, by uniknąć pożegnania z damami. Nie miał im niczego do powiedzenia. Wyraził już swoje zamiary wystarczająco jasno i nie potrzebował kolejnej utarczki z zadziorną panną. Widząc, że naprawdę wyjeżdża, poczuł ulgę.

Zszedł po schodach, oglądając się przez ramię na Mortimera.

- Wygląda to na koniec moich problemów. Czy ty też chcesz wyjechać, Hugh? Nie mogę na razie zaoferować ci tu wygodnych warunków, ale chętnie podzielę się z tobą wszystkim, co mam.

- Sądzę, że wyjadę jutro. - Mortimer odprowadził orszak wzrokiem i ruszył za przyjacielem.

- Powiniennem zacząć przebudowę. - Fitz Osbern popatrzył na błotnisty dziedziniec. - A potem...

- Panie, panie! - zawołał wartownik ponad ich głowami. - Sądzę, że powinieneś tu przyjść i popatrzeć.

Znów wspięli się na blanki wieży i spojrzeli w dół. Wóz zatrzymał się nie dalej niż dwieście jardów od bramy na płaskim terenie za murami zamku. Wojowie zsiadli z koni, wypakowali kołdry i część bagaży. Żołnierze z eskorty zwrócili się do jednej z dam, która potraktowała ich machnięciem ręki, po czym zawrócili konie w stronę zamku.

- Na rany Boga!

- Ostrzegałem cię - zauważył Hugh. - Ta panna jest nadzwyczaj wojownicza. Wygląda na to, że zamierza tu zostać. Właśnie rozbiła obóz.

Ignorując rozbawienie w głosie Mortimera, Fitz Osbern patrzył z niedowierzaniem, jak damy rozkładają kołdry na ziemi, owijają się w płaszcze, nasuwają kaptury na głowy i siadają w wyczekiwaniu.

- To tylko kaprys - mruknął. - Wkrótce jej się znudzi. Mogę się założyć o swój miecz, że nie wytrzymają tu dłużej niż do południa. - Obrócił się na pięcie i odszedł.

- Ja tam bym się nie zakładał! - zawołał za nim Hugh ze śmiechem.

Zaczął padać deszcz. Na początku to była tylko lekka mżawka, ale krople szybko stawały się coraz większe.

- Ten deszcz je wykończy, Hugh.

Obozowiczki siedziały w tym samym miejscu co kilka godzin wcześniej, naciągnęły jednak kołdry na głowy i zbiły się w ciasną grupę, próbując się wzajemnie ogrzać. Ledwie było je widać pomiędzy strugami deszczu.

- Trzeba im jednak oddać sprawiedliwość.

- Za co? - Fitz Osbern uderzył pięścią o kamienną ścianę, ale poczuł lekkie ukłucie niepokoju i wstydu. - Że jest uparta i nic do niej nie dociera? Jeśli sądzi, że uda jej się przekonać mnie, bym otworzył bramę i wpuścił ją z powrotem, to bardzo się myli.

Deszcz wciąż przybierał na sile.

- Co my robimy, Rosamund? - zapytała Petronilla buntowniczo, kuląc się pod kołdrą. - Przecież pomrzemy tutaj. Już widzę, że zbiera mi się na dolegliwości. Czuję

wilgoć w kościach. Nie chcę umrzeć w tym błocie! - Już nie mówiła, tylko jęczała. - Wolałabym być w Lower Broadheath.

- Będziesz tam - Rosamund objęła matkę ramieniem. - Oczywiście, że nie pomrzemy. Żaden rycerz, nawet Fitz Osbern, nie pozwoli na coś takiego. Poczekaj jeszcze chwilę. - Poglądziła po dłoni Edith, która zaczęła szlochać.

- Naprawdę uważasz go za człowieka honoru? - Petronilla pociągnęła nosem. - Bo ja nie. Lord de Mortimer zapewne tak, ale nie Fitz Osbern.

- Nawet jeśli nim nie jest, to Mortimer go przekona. Nie pozwoli nam tu zamarznąć choćby dlatego, żeby ci oszczędzić niewygody. Zrobiłaś na nim spore wrażenie. - Gdy hrabina tylko prychnęła lekceważąco, dodała:- Nie poddam się, jeszcze nie teraz. Odwagi, matko. Mamy wiele do zyskania. Obiecuję, że nie pozwolę, by spotkała cię krzywda. - Narzuciła matce na ramiona jeszcze jedną kołdrę i stłumiła niepokój na myśl, że rzeczywiście może narażać jej zdrowie.

Właściwie nie miała żadnych gwarancji, że Fitz Osbern ustąpi, ale było za późno, by się wycofać. Odrzucił ją już raz i mógł to zrobić znowu. Nawet jej nie pamiętał. Kipiała w niej urażona duma.

Deszcz dudnił coraz mocniej o przemoczone kołdry.

- Czy ona nadal tam jest?

- Tak.

- Na rany Boga!

- Ger, musisz coś zrobić. To nie jest przyzwoite ani honorowe.

Fitz Osbern głośno odetchnął.

- Gdyby tylko z córką było równie łatwo rozmawiać jak z matką! No cóż, nie mogę ich tak zostawić. Muszę spróbować perswazji zamiast siły. Wyślę de Byrona, żeby je tu sprowadził. Mogą zaczekać w zamku, dopóki pogoda się nie poprawi, ale więcej się nie ugnę. Nie zostaną tu na zawsze.

Na dźwięk kopyt Rosamund uniosła kołdrę i wyjrzała. Zobaczyła przed sobą de

Bytona. Wyczuła zwycięstwo, ale zachowała powagę.

Dowódca otarł twarz rękawem.

- Mój pan mówi, że możecie wejść do zamku, pani.

- Nie, nie wybieramy się tam. Powiedz swojemu panu, bo jak widzę, złamałeś przysięgę lojalności wobec de Longspeyów - rzuciła cierpko, obraźliwie - że chcę usłyszeć od niego, iż zaprasza mnie do zamku i pozwala mi zostać tam tak długo, jak zechcę. I że nie zmusi mnie do wyjazdu wbrew mojej woli. - Zastanowiła się przez chwilę. - I że będę miała bawialnię i prywatną sypialnię do własnego użytku. Twój pan musi tu przybyć i sam mi to powiedzieć. Rozumiesz?

Odpowiedziało jej krótkie chrząknięcie. De Byton zawrócił konia i popędził z powrotem.

- Co takiego?!

- To co powiedziałem, panie. - De Byton wprost emanował niechęcią do całego rodzaju żeńskiego, którą to niechęć jego nowy pan w pełni podzielał. - Ona nie chce się ugiąć, panie. Zgodzi się tylko wówczas, jeśli usłyszy to od ciebie osobiście.

- O, doprawdy? - Błysk lodowatego gniewu nie wróżył dobrze. Osbern oparł się o blanki, spojrzął na de Mortimera. - Widzę proste rozwiązanie. Ty po nie pojedziesz, Hugh. Potrafisz zdobyć się na uprzejmiejsze słowa niż ja. Masz dar przemawiania do miękkich, kobiecych serc.

- Nie, nie pojedę. Musisz sam się na to zdobyć, Ger. Ona chce ciebie i twojego słowa. Nie masz wyboru.

Ocierając rękawem twarz z deszczu, Gervase musiał przyznać, że przyjaciel ma rację. Nie miał wyboru. Rosamund wygrała tę bitwę, a on nie wiedział, jakie wynikną z tego konsekwencje dla niego. Wzruszył ramionami. Wolał się nad tym nie zastanawiać. Czyżby miał pogodzić się z myślą, że panią jego zamku zostanie kobieta?

Powinna nią być Matilda, jego żona, która mieszkała tu zbyt krótko, by uczynić to miejsce swoim domem. Ściągnął brwi na to niechciane wspomnienie. Ładna i łagodna jasnowłosa dziewczyna ledwie w kobietę przemieniona, wspaniała żona,

matka i pani na włościach, gdyby los jej na to pozwolił. Nie pozwolił. A teraz miał na głowie tę pannę z rodu de Longspeyów, która perfekcyjnie umiała postawić na swoim, a każde jego ustępstwo z całą pewnością potraktuje jako zwycięstwo i precedens.

Nie, za nic tego nie chciał.

Popatrzył jednak na żalną grupkę skuloną pod przemoczonymi kołdrami i westchnął głęboko. Nie miał innego wyjścia, musiał je tu zabrać, nawet jeśli oznaczało to, że obecność Rosamund de Longspey przyćmi jego wspomnienia o Matildzie.

- Nie lubię się poddawać - oznajmił gniewnie.

- A kto tu mówi o poddawaniu? - odrzekł de Mortimer radośnie. - Potraktuj to jako zorganizowany odwrót wobec przeważających sił przeciwnika.

- Na rany Boga!

- Cóż, pani, przybyłem, jak sobie tego życzyłaś.

- Nie sądziłam, że tu się pojawisz.

Rosamund wygramoliła się spod kołdry. Deszcz wciąż lał, ale na jej twarzy Gervase dostrzegał jedynie determinację. Patrzyła prosto na niego, modląc się, by nie uznał kropel na jej rzęsach za oznakę kobiecej słabości.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał.

- Jestem pewna, że de Byton przedstawił ci warunki, panie.

Musiała przyznać, że już gotowała się na porażkę. Była pewna, że matka będzie stała przy jej boku do końca, ale nie mogła dłużej narażać jej zdrowia. Niewiele brakowało, a załadowałyby wóz i poszukała schronienia w wiosce albo nawet w Hereford, a stamtąd zawiozła matkę do Lower Broadheath, gdzie czekały na nią wszelkie wygody. Sumienie nakazywało jej tak uczynić. Duma miała jakieś granice, gdy chodziło o dobro tych nielicznych osób, które kochała. Teraz jednak, choć sytuacja wciąż wyglądała beznadziejnie, a jej przeciwnik siedział przed nią na koniu ze zwykłą sobie arogancją, za nic nie mogła się ugiąć. Podniosła wyżej głowę, przygotowując się na odmowę.

- I cóż, mój panie?

Jego spojrzenie było równie zimne jak strugi deszczu, a głos szorstki jak wycie lodowatego wiatru, jednak słowa, które wypowiedział, opromienione były złotym blaskiem triumfu.

- Zwyciężyłaś, pani. Przybyłem, by ci powiedzieć, że zgadzam się na twoje warunki.

Deszcz ściekał jej z czubka nosa i zatrzymywał się na rzęsach. Skóra, przejrzysta jak perła, lśniła od wilgoci. Fitz Osbern nie mógł oderwać od niej wzroku. Wiedział, że musi być doszczętnie przemoczona. Twarz miała bladą, a w szeroko otwartych oczach malowało się napięcie. Było oczywiste, że gdyby tylko pozwoliła sobie na to, zaczęłaby szczekać zębami z zimna, ale zachowała niezłomną odwagę i trzymała głowę wysoko uniesioną, zdeterminowana osiągnąć cel. Szkoda tylko, że musiało się to odbyć jego kosztem. Pod warstewką podziwu czuł na nią złość za to, że wyszła z tej potyczki górą.

- Zgadzasz się na moje warunki? Na wszystkie? - upewniła się.

- Tak. - Gervase pomodlił się o cnotę cierpliwości. - Chcę, byś wróciła ze mną do zamku.

- Na tak długo, jak zechcę?

- Tak.

- I nie wypędzisz mnie znowu?

- Nie. - Zabrzmiało to jak warkniecie wściekłego wilka. - Tak jak obiecałem.

Jeśli stąd wyjedziesz, to tylko z własnej woli.

- I dostanę bawialnię oraz prywatną sypialnię do własnego użytku?

- Przecież już powiedziałem.

W jej oczach pojawił się blask.

- Przysięgniesz na to, panie?

- Czy mam złożyć przysięgę krwi? Daję ci na to słowo, pani. - Przesadnym gestem przyłożył dłoń na swym sercu.

Skinęła głową.

- W takim razie wracamy.

- Amen. Wracajmy pod dach, zanim zatoniemy w tym deszczu.

Oderwał oczy od jej twarzy i pomógł wstać Edith, a potem Petronilli, która sięgnęła po kołdry, by je poskładać.

- Zostaw je, pani. Przyślę po nie kogoś.

- Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna - szepnęła, ściskając jego dłoń.

- Podziękuj, pani, de Mortimerowi, bo to on sprawił, że przyszedłem wam na ratunek. Jeśli o mnie chodzi, zamierzałem zostawić was tu na całą noc. - Jednak ciepły blask w jego oczach zaprzeczał twardym słowom.

Jak się tego spodziewał, na twarzy Rosamund nie ujrzał ani cienia wdzięczności, jedynie triumf. Zauważył jednak, że zaczekała, aż jego ludzie zajmą się hrabiną i pokojówką, wsadzą je na konie i poprowadzą w stronę bramy. Dopiero wówczas zadbała o własną wygodę. Była brudna i ubłocona. Wciąż patrzyła na niego prowokująco, ale w jej wzroku malowała się również prośba, której nigdy nie odważyłaby się wyrazić głośno, oraz głębokie znużenie. Gervase odniósł wrażenie, że ten spór był niezmiernie dla niej ważny. Resztki jego gniewu stopniały, co więcej, zapragnął zdjąć ciężar z jej barków. Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź, pani. Schowaj już miecz. Możemy powalczyć innego dnia. Myślę, że na razie wystarczy.

Zastanawiała się przez chwilę, wciąż najeżona, niechętna.

- Wolę pójść piechotą. To niedaleko. Nie potrzebuję...

Dlaczego nie dziwił go jej upór?

- Przyjmiesz moją ofertę pomocy i nie będziesz się ze mną spierać.

Wskoczył na konia i znów wyciągnął do niej rękę. Rosamund wyczuła jego determinację i bez słowa pozwoliła się posadzić na siodle. Koń ruszył.

Siedziała sztywno, starając się nie dotykać Osberna. Gdyby koń się potknął, z pewnością by spadła.

- Nie ugryzę cię - mruknął niecierpliwie w jej mokry kaptur. - W każdym razie jeszcze nie teraz. I wołałbym nie zatrzymywać się po to, by zbierać cię z drogi.

Nie odpowiedziała, ale z lekkim westchnieniem oparła się o jego pierś. Wysuwające się spod jej kaptura pasma włosów łaskotały go w podbródek, na co Gervase zaczął się zastanawiać, jakie konsekwencje dla niego będzie miało to ustępstwo. Niewiele miał powodów do optymizmu. Ten stan rzeczy nie mógł trwać długo. Bez względu na to, co jej obiecał, Rosamund nie mogła przebywać w Clifford wiecznie. Należało poczynić jakieś ustalenia. Była jednak zbyt samowolna, nie rozumiała, co to rozsądek. Nie widział żadnego sensownego wyjścia z tej sytuacji.

Bryn wyskoczył na środek drogi i ogier rzucił się w bok. Gervase mocniej przyciągnął pannę do siebie. Nie opierała się. Poczł jej palce na swoim ramieniu, rozluźniła się nieco. Musiał przyznać, że trzymanie jej w objęciach jest bardzo przyjemne.

Na dziedzińcu zsiadł z konia, wyciągnął ręce do Rosamund, pochwycił ją wpół i postawił na ziemi. Od wilgoci i zimna cała zeszywniała. Zachwiała się i pochwyciła go za ramię, by odzyskać równowagę.

Jego pierwsze słowa zdumiały ją.

- Czy to ja zrobiłem?

Opuściła wzrok, dostrzegła siniec na swoim przegubie i przypomniała sobie, jak poprzedniego wieczoru pochwycił ją za rękę.

- Tak.

- Nigdy więcej cię nie zranię - rzekł cicho.

Delikatnie dotknął sińca czubkami palców, a potem pochylił głowę i przycisnął usta do bolesnego miejsca.

- Nie...!

- Nie?

- Nie chcę, żebyś mnie tak traktował. - Szybko wyrwała rękę, by nie zdążył poczuć, jak szaleńczo szybko bije jej puls.

Jego oczy pociemniały, nastrój natychmiast się zmienił.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że nie życzysz sobie, by moje usta dotykały twojej skóry, to schodź mi z drogi, pani. Odniosłaś dzisiaj zwycięstwo, ale cena może się

okazać wysoka.

Nie wierzyła własnym uszom. Ze zdumienia rozchyliła usta. Fitz Osbern natychmiast wykorzystał sytuację i pocałował je szybko.

- No cóż, Rose, i co powiesz teraz?

Zaparło jej dech. Nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy.

- Nie pozwoliłam, byś tak się do mnie zwracał - wykrztusiła w końcu i uciekła do swojej komnaty.

Okazało się, że Fitz Osbern okazał jej więcej względów, niż mogłaby przypuszczać, i wydał już instrukcje służbie. W drewnianej wannie czekała na nią gorąca woda. Na ten widok Rosamund poczuła dziwny lęk. Wcześniej obawiała się małżeństwa z Ralphem de Morganem, ale to uczucie było zupełnie inne. Serce waliło jej jak młot, a policzki zbieleły. Bardzo się bała dzikiego sokoła i swoich reakcji na niego. Przycisnęła palce do ust. Wciąż czuła smak pocałunku.

To nie może potrwać długo, pomyślał Fitz Osbern.

Przez cały czas czuł nad sobą zagrożenie. Zamek wstrzymywał oddech przed nadciągającym kataklizmem. Nie można było mieć nadziei, że Fitzowi Osbernowi i panie de Longspey uda się żyć obok siebie w przyjaźni przez dłuższy czas. Bez względu na obietnice, które Gervase złożył pod przymusem, spór dotyczący własności zamku musiał znaleźć jakieś rozstrzygnięcie.

Nim burza wybuchła, pilne sprawy wezwały de Mortimera do Hereford. Wyjeżdżał niechętnie, miał bowiem ochotę kibicować temu zderzeniu dwóch charakterów.

Opuścił zamek po śniadaniu, gdy pierwsze zorze rozjaśniały niebo, zapowiadając pogodny dzień.

- Do zobaczenia, Ger. Myślę, że na razie niczego ci tu nie brakuje.

- Na to wygląda... - odparł zamyślony Fitz Osbern.

De Mortimer przez chwilę milczał, po czym osuszył kufel i podniósł się zza stołu.

- Jak długo może potrwać ten impas między tobą a damą?

- Nie wiem, co ona zamierza, ale to nie może tak trwać.

- O ile sobie przypominam, obiecałeś...

- Obiecałem, że nie będę próbował się jej pozbyć, a jeśli wyjedzie, to z własnej woli. Wiem i dotrzymam tej obietnicy. - Strzepnął okruchy z palców i również podniósł się zza stołu. - Są jednak sposoby, by uprzykrzyć jej życie. Jeśli nic innego nie pomoże, to pierwszy śnieg zapewne skłoni ją do wyjazdu. Życie w twierdzy zasypanej śniegiem na zmniejszonych racjach żywnościowych z pewnością ją utemperuje. - Zadumał się na moment. - Może zresztą uda mi się pozbyć jej wcześniej.

- A więc zamierzasz ją przekonać?

- Tak. - Fitz Osbern uśmiechnął się drapieżnie, widząc jednak niepokój na twarzy przyjaciela, dodał szybko: - Nie skrzywdzę żadnej z nich. Potrafię być niemiłym towarzyszem, barbarzyńskim, prostackim łajdakiem, jak lady Rosamund raczyła mnie nazwać, nie narażając przy tym żadnej z dam na niebezpieczeństwo. Jeśli uznają, że wolałyby zamieszkać w przyjemniejszym otoczeniu, gdzie na co dzień prowadzi się dworne rozmowy - jego uśmiech poszerzył się - tym lepiej dla mnie.

- Sądzę, że to może zadziałać. Wiesz, co robisz, chłopcze. Życzę ci szczęścia.

- Nie potrzebuję szczęścia. Zanim wrócisz, zamek będzie należał wyłącznie do mnie.

De Mortimer pomyślał, że może to nie być takie łatwe, ale bez dalszych komentarzy poszedł pożegnać się z paniami.

Z uśmiechem życzyły mu dobrej drogi i wyrażały nadzieję, że wkrótce znów go zobaczą.

Czy tylko mu się wydawało, czy też lady Petronilla rzeczywiście przytrzymała dłoń w jego dłoni dłużej, niż było to konieczne, gdy ujął ją swoimi zgrubiałymi palcami i podniósł do ust? Czy naprawdę dostrzegł w jej oczach nieśmiałe zaproszenie? Uważaj, ostrzegł się w duchu. Hrabina Salisbury była wysoko urodzoną damą. Mógł mieć nadzieję najwyżej na niezobowiązujący flirt, z pewnością nie na romans czy głębszy związek. Do Petronilli de Longspey należało podchodzić z

szacunkiem i stapać delikatnie, on zaś nie zamierzał znów się żenić. Mimo wszystko pociągała go. Pod nienagannymi manierami kryły się bystry umysł i przenikliwość, a na jej twarzy dostrzegał, że nie czuje się szczęśliwa. Nieoczekiwanie dla samego siebie poczuł chęć, by ją chronić, choć sam nie wiedział przed czym. Była drobna i delikatna, wydawało się, że potrzebuje mężczyzny, który bezpiecznie przeprowadziłby ją przez życiowe burze.

Nie bądź głupi, upominał się w duchu, ale musiał przyznać, że chciałby ją znów spotkać.

Znalazł ją samą; postarali się o to oboje. Spotkali się w połowie schodów prowadzących do bawialni.

- Czy naprawdę zamierzasz tu jeszcze wrócić, panie? - zapytała.

- Sądzę, że muszę to zrobić.

Na tę niejasną odpowiedź dama uniosła brwi.

- A dlaczegoż to, lordzie Hugh?

- By znów cię zobaczyć, pani. - Wbrew rozsądkowi i ku obopólnemu zdumieniu lekko pocałował jej usta, po czym, nim jeszcze Petronilla zdążyła złapać oddech, szybko pomknął w dół.

Gdy Rosamund skomentowała promienny wygląd i zaróżowione policzki matki, hrabina oznajmiła, że zbyt szybko biegła po schodach. To jednak nie zwiodło bystrej córki, która widziała, jak matka wykonuje wiele zbędnych ruchów i z niepotrzebnym zaangażowaniem skupia się na układaniu motków jedwabiu do haftowania.

- Zdaje się, że lord Hugh w końcu wyjechał?

- Tak - odrzekła Petronilla z niezwykłą dla siebie lakonicznością i sięgnęła po haft, ale nie usiadła, by zająć się robótką.

- Żałujesz?

- Nie, dlaczegoż miałabym żałować?

Rosamund zostawiła te słowa bez komentarza, choć pomyślała cynicznie, że są zupełnie nieistotne. Zaledwie przed tygodniem matka twierdziła, że dwóch mężów to

zupełnie dosyć. Łatwo było zadowolić lady Petronillę, skoro pochlebiały jej względy zapuszczonego lorda z pogranicza, jednak córka oceniała ją wyżej.

Zwróciła myśli ku pilniejszym sprawom, a mianowicie ku własnym komnatom. Nigdy nie widziała królewskiego pałacu, ale słyszała legendy o stylu królowej Eleonory. Dziedziczka bogatego rodu, wcześniej wydana za męża za króla Francji Ludwika, doskonale wiedziała, jak wygląda życie w luksusie i od sześciu lat, czyli od ślubu z królem Henrykiem, wywierała znaczny wpływ na jego sposób życia.

- Opowiedz mi o buduarze królowej w Woodstock - poprosiła Rosamund.

Petronilla opisała podłogi wykładane płytami z kamienia i przeszklone okna. Jedwabne kotary i wschodnie dywany osładzały życie Eleonory i jej dam. Komnaty rozświetlały lampy, w których płonęły aromatyczne olejki. W niczym nie przypominało to pełnej przeciągów i dymu wielkiej sali w Clifford, oświetlonej kopącymi pochodniami albo łuczywami z sitowia.

Rosamund słuchała, stojąc w pustej bawialni, która teraz należała do niej. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, jak mogłaby wyglądać ta komnata. Oczywiście byłoby bluźnierstwem równać ją z pokojami królowej. Skrzywiła się z rozbawieniem, wyobrażając sobie stół przykryty pięknym, płóciennym obrusem, godnym królowej Eleonory, pośrodku tutejszej wielkiej sali. Jednak tu był jej dom i bez względu na to, jak wyglądały inne wnętrza i otoczenie, zamierzała stworzyć w swojej bawialni raj dla zmysłów.

Otworzyła oczy. Jej uwagę przyciągnął jakiś ruch przy palenisku. Przy ścianie przemknął cień. Był to szary kot, a właściwie kociak, jeden z wielu zamieszkujących kuchnię i stajnię. Wychudzony, nerwowy i dziki, zignorował damy, z wyraźną niechęcią zatrzymał się przed zimnym paleniskiem, po czym zwinął się w kłębek w kącie i popatrzył na Rosamund zielonymi oczami, takimi jak jej.

- Co za brzydkie zwierzę - zauważyła Petronilla.

- To prawda - odparła córka ze śmiechem - ale nawet jeśli nie mamy tutaj takich luksusów jak Eleonora, to w każdym razie nie będziemy miały również myszy.

Pod wpływem impulsu uścisnęła matkę. Naprawdę zamierzała urządzić swój

dom w tym zamku i Fitz Osbern nie mógł zrobić nic, by ją przed tym powstrzymać.

Rozdział piąty

Wkrótce po wyjeździe de Mortimera do Clifford dotarły wozy z bagażami Fitz Osberna. Rozpakowano je, a zawartość, między innymi pokaźną liczbę kufrów i tobołów, wniesiono do zachodniej wieży, w której się urządził. W końcu ma swoje rzeczy, pomyślała Rosamund. Choć nie rozmawiali o tym wprost, było oczywiste, że panie de Longspey oczekiwały pewnej poprawy wyglądu samozwańczego lorda Clifford - jakiejś zmiany, która odzwierciedlałaby jego status jako władcy posiadłości. Spodziewały się, że przestanie w końcu przypominać najemnika szukającego najmarniejszego żołdu albo żołnierza w trakcie kampanii wojennej. Rosamund w skrytości serca miała nadzieję, że znów ujrzy mężczyznę, który kiedyś przybył na spotkanie z earlem Williamem i odrzucił jego ofertę.

Gdy jednak Fitz Osbern pojawił się w wielkiej sali podczas wieczerzy, na którą podano pozbawioną smaku owsiankę, jej nadzieje prysły, a łyżka zatrzymała się w powietrzu w pół drogi do ust. Wpatrzyła się w niego bez słowa.

- I cóż, pani? - zapytał, podchodząc do podwyższenia.

Zatrzymał się na moment, jakby zamierzał ukłonić się damom, ale nie uczynił tego, tylko usiadł na zydlu, wyciągnął nogi i nalał sobie piwa, rozchlapując je po stole, podniósł kufel do ust i przeszył ją spojrzeniem, wyczekując reakcji.

- Nic, panie. - Nie chciała pokazać po sobie rozczarowania, by nie sprawiać mu satysfakcji, przywołała więc na usta sztuczny uśmiech.

Niestety nadal wyglądał jak niecywilizowany, niechlujny rabuś. Potargane włosy opadały na czoło, policzki szorstkie od zarostu... Owszem, przebrał się, ale nie wyglądał lepiej od swoich ludzi, a od niektórych nawet gorzej. Miał na sobie prostą szatę, znoszoną i przetartą, przypominającą strój zwykłego żołnierza. Nogawice z grubej tkaniny wciąż pokryte były smugami zaschniętego błota, a sądząc po stanie butów, przyszedł do stołu prosto ze stajni. Nie nosił żadnych klejnotów ani ozdób, jak

ktoś bez grosza przy duszy. Jednak, ku swej niezmiernej irytacji, poczuła, że od spojrzenia tych szarych oczu robi jej się gorąco.

- Cóż takiego? - powtórzył, widząc, że panna wciąż mu się przygląda.

Nie mogła mu przecież powiedzieć, że ma wielką ochotę pogłodzić go po policzku, użyła więc pierwszej wymówki, która przyszła jej do głowy:

- Zauważyłam, panie, że utykasz.

- To rana, która już się goi. Nic takiego. Mój przeciwnik odniósł gorsze obrażenia.

- Och!

- Bywam okrutny - parsknął znad kufla. - Zabiłem go. Czy chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Potrząsnęła głową, przejęta zgrozą, i spuściła wzrok. Zdażyła jednak zauważyć lekceważące skrzywienie jego ust.

- Ten rycerz przekonał się, że nie jest mądrze robić sobie ze mnie wroga.

Nie odpowiedziała, on zaś całą swoją uwagę skupił na posiłku. Ponieważ de Mortimera już nie było, przy stole panowało milczenie. Lady Petronilla kilkakrotnie próbowała nawiązać rozmowę, ale Fitz Osbern zbywał ją monosylabami albo tylko chrząkał z ustami pełnymi pieczeni. Rosamund czuła do niego coraz większą niechęć, więc nawet nie próbowała się odzywać. Gdy skończył jeść, skinął głową i wstał.

- Nie radzę wam tu zostawać - rzekł szorstko. - Chyba że gustujecie w pijanych żołnierzach i sprośnych żartach. Ale pewnie nie gustujecie, a ja nie polecam. - Osuszył kufel i odszedł do swoich spraw.

- No i cóż? - zapytała matki, postukując grzebieniem o płócienną narzutę na łóżku. Było już późno. W zamku panowała cisza, tylko z dołu niosły się pijackie śpiewy żołnierzy.

Hrabina podniosła głowę sprzed paleniska, przy którym wygodnie drzemała.

- A o co pytasz, droga Rose?

- O samozwańczego lorda Clifforda. Zdaje się, że grzeczność i dworne maniery

nie dotarły jeszcze na pogranicze. Nie wywarł na mnie dobrego wrażenia. Skoro to jest jego najlepsza szata, to nie mam pojęcia, co było na tych wozach.

- Nie poświęcił nam wiele uwagi, to prawda, ale może lordowie z pogranicza nie czują potrzeby grzeczności. Twój ojciec potrafił zachowywać się równie grubiańsko, gdy coś go zajmowało, to znaczy przez większość czasu.

Ciemne brwi Rosamund ściągnęły się. Zdjęła welon i zaczęła rozluźniać wstążki przytrzymujące włosy.

- Mogę tylko powiedzieć, że Fitz Osbern nie jest lepszy od barbarzyńcy. Zupełnie nie dba o swój wygląd, w rozmowie przypomina chłopców stajennych. A co do jego zachowania... No cóż, wytarł usta rękawem. Może to uchodzi podczas wyprawy wojennej, ale nie przy stole. Przyznał się nawet, że zamordował innego rycerza.

Petronilla zmarszczyła brwi.

- Rzeczywiście, nie miał wiele do powiedzenia. Jest trochę nieokrzesany.

- Rzucił się na tego królika, jakby nie jadł od tygodnia.

- Racja.

- I ciągle dolewał sobie piwa. Nie mam pojęcia, jak udało mu się wyjść z sali na własnych nogach.

Hrabina westchnęła. To wszystko była prawda.

- Sądzę jednak, że ma dobre intencje. Musimy mu podziękować za to, że poprawił warunki w zamku.

- Tylko dlatego, że chce mieć ten zamek dla siebie, więc usprawnienia leżą w jego interesie. Nie daj się zwieść, matko. Jego intencje wobec nas wcale nie są dobre.

- W zamyśleniu przeciągnęła grzebieniem po włosach.

Coś tu się nie zgadzało. Dlaczego earl William chciał zawrzeć sojusz z takim prostakiem jak Fitz Osbern? Przypomniła jej się obraz dzikiego sokoła, którego pamiętała z Salisbury, ale cóż, może nie było trudno wyjaśnić tę zmianę? Los najemników zależał od pieniędzy, które dostawali za swoje wątpliwe moralnie usługi. Widocznie koło fortuny obróciło się i Fitz Osbern stracił protektora, który zapewniał mu piękne szary kryjące prostacką naturę.

Przypomniała sobie, jak mówił, że Clifford był częścią posiadłości przyznanych jego rodzinie przez Wilhelma Zdobywcę. Nie wydawało jej się to prawdopodobne. Zapewne chciał tylko zaimponować. Powinna dziękować niebiosom, że się z nią nie ożenił, uniknęła bowiem straszego losu. Jak wyglądałoby jej życie, gdyby związała się z takim człowiekiem? Równie źle, jeśli nie gorzej, niż życie jej matki przy grubiańskim Johnie de Bredwardinie.

W zamyśleniu rozczesywała włosy na noc. Gervase. Imię było atrakcyjne, w przeciwieństwie do właściciela. Cóż, był prostakiem, jednak nie wolno jej było go lekceważyć. Zachowa czujność, nie straci odwagi. Jeśli sądził, że przestraszy ją i zmusi do wyjazdu, bardzo się pomylił. To nie ona pierwsza stąd wyjedzie. Nie pozwoli też odwieść się od celu. Na jej ustach pojawił się konspiracyjny uśmieszek.

- Zapamiętaj moje słowa - powiedziała do matki, zdejmując narzutę z łóżka. - Choć obiecał, że dobrze nas potraktuje, myślę, że wszystko, czego możemy od niego oczekiwać, to zupełna niewrażliwość i upokarzająca obojętność. Sądzę, że wykorzysta każdą sposobność, by pozbyć się mnie z zamku, jednak nie zamierzam nigdzie się stąd ruszać, nawet gdyby próbował mnie zastraszyć.

Bo co mnie inaczej czeka? - dodała w myślach.

W zachodniej wieży Gervase zrzucił żołnierską szatę i przeciągnął się z satysfakcją. Opinia Rosamund de Longspey na jego temat w żadnym razie nie sprawiła mu przykrości. Panna widziała w nim niecywilizowanego barbarzyńcę. Roześmiał się, aż chart drzemiący przy ogniu podniósł łeb.

- Jak sądzisz, Bryn? Moim zdaniem podejrzewa mnie o złe zamiary i sądzi, że zdolny jestem do każdego łajdactwa. Nie mam pojęcia, jak udało mi się wlać tyle piwa do kufla, a wypić tak niewiele. Przyznałem się nawet, że traktowałem moich wrogów z niepotrzebnym okrucieństwem. - Usiadł przy palenisku. - Rola łajdaka jest bardzo wyczerpująca. Muszę pamiętać, że powinienem się więcej zataczać i krzyczeć. - Chart zamknął ślepią i westchnął. - Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Najwyraźniej ona tak bardzo przewyższa mnie pod względem bogactwa, intelektu i pozycji, że nie

będzie w stanie znieść życia pod moją kontrolą. Jest równie dumna i nietolerancyjna jak wszyscy de Longspeyowie. - Trącił śpiącego Bryna czubkiem buta. - Choć przyznaję, że kusilo mnie, by ucałować te ładne palce. - Przez chwilę wpatrywał się w żar, jakby widział tam obrazy. Rosamund była ładna i wychowała się w bogatym, wygodnym domu de Longspeyów, pamiętał jednak, że jej prawdziwym ojcem był John de Bredwardine, taki jak on lord z pogranicza. A skoro tak, to panna musiała mieć twardy charakter. Nie było tego jednak widać, gdy siedziała przy stole w pięknej sukni z flamandzkiej materii w ciemnobłękitnym kolorze. Wzruszył ramionami. Cecilia, jego młodsza siostra, z głową nabitą przygodami rycerzy króla Artura i myślami o pięknych strojach, oddałaby życie za taką suknię. Określiłaby ten kolor jakąś niedorzeczną nazwą: modry, a może lazurowy. Dla niego był to po prostu niebieski. I choć ta suknia zupełnie nie pasowała do zamku na pograniczu, musiał przyznać, że Rosamund wyglądała w niej bardzo ładnie.

Jej obraz rysował się przed nim coraz wyraźniej. Pierścienie, które miała na palcach, przydałyby jej blasku nawet podczas audiencji na dworze królewskim w Westminsterze. Szmaragdy lśniące w broszy, którą spięta była suknia, a także na pasie, który otaczał szczupłą talię, odzwierciedlały kolor oczu. Suknia doskonale podkreślała kształty. Rudozłote włosy Rosamund przeplecione były błękitnymi wstążkami, a na końcach loków opadających miękko na piersi błyszcząły srebrne ozdoby. Włosy były tak długie, że sięgały bioder, Gervase przypuszczał jednak, że nie są prawdziwe. Gdyby nie sprzeciw lady Maude, Cecilia również przedłużałaby włosy pasmami jedwabiu. W gruncie rzeczy jego nieznośna siostra miała wiele cech wspólnych z Rosamund. Obie były aroganckie i lubiły przeciwstawiać się mężczyznom. Cecilia jednak była jeszcze bardzo młoda i można było mieć nadzieję, że da się ją poskromić. Co do lady Rosamund wszelkie takie nadzieje były płonne.

Uśmiechnął się lekko. Kobiety uciekały się do różnych sztuczek, by poprawić swój wygląd. Panna de Longspey była bardzo ładna, ale uroda nie zdołała zamaskować jej siły woli. Wykazała wielki upór, siedząc pod bramą w deszczu. Musiał pamiętać, że w jej żyłach płynie krew z pogranicza. Kto by pomyślał, że okaże

się do tego zdolna?

Pociągnął psa za ucho, wprawiając go tym w błogostan, i dolał sobie piwa. Właściwie od kiedy stał się koneserem kobiecej urody? Jednak nie mógł zaprzeczyć, że na widok tej panny krew zaczynała szybciej krążyć w jego żyłach. Powinien pozbyć się jej jak najprędzej, wsadzić na konia i wywieźć gdzieś, nie zważając na protesty.

Jednak dał słowo. Nie było to najmądrzejsze posunięcie, ale uczynił to, pozwolił jej zostać w Clifford na jej warunkach. A ponieważ był człowiekiem honoru, nie mógł zmienić zdania.

No cóż, sądził, że Rosamund nie wytrzyma w Clifford dłużej niż tydzień, najwyżej dwa. W końcu znudzi się jej ta deszczowa pogoda i wiatr wyjący wokół zamku. I tak byłoby lepiej dla wszystkich. Udało mu się wzbudzić w niej pogardę i niechęć z powodu braku dobrych manier. I dobrze, teraz mogła rozpocząć się prawdziwa bitwa. Miecz został wyciągnięty, należało tylko zwrócić ostrze we właściwą stronę.

Następnego ranka, w przerwie między jednym deszczem a drugim, nieświadomy tego, że jest obserwowany, Gervase Fitz Osbern zorganizował dla swoich żołnierzy ćwiczenia bitewne na zamkowym dziedzińcu. Choć od powrotu z Anjou nikt ich nie wzywał pod broń, nie można było pozwolić, by umiejętności zardzewiały. Zwabiona hałasem Rosamund wyjrzała przez okno bawialni i zmarszczyła brwi, gdy dostrzegła Fitz Osberna w samym środku zamieszania. Nie przyznałaby się sama przed sobą do tego, że pochłonęło ją obserwowanie męskich rozrywek, niemniej otworzyła szeroko oczy i z ustami ściągniętymi w dzióbek uważnie wpatrywała się w potężnego lorda, który pozorował atak na sierżanta. Uniósł miecz, obrócił się na pięcie i uderzył w tarczę Watkinsa tak mocno, że tamtemu broń wypadła z ręki. W jego ruchach był niesłychany wdzięk. Rosamund zamrugała, patrząc na grę mięśni Gervase'a, gdy odpierał odwetowy atak sierżanta. Złapał go za ramię, pociągnął w dół, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Musiał powiedzieć przy tym jakiś żart, bo cała

grupa wybuchnęła gromkim śmiechem.

Następnie skupił uwagę na swoim giermku Owenie. Nieduży i drobny, był jeszcze prawie dzieckiem niewprawionym w użyciu broni. Miecz i tarcza wydawały się dla niego za duże. Rosamund wychyliła się z okna, by lepiej widzieć. Fitz Osbern z nieskończoną cierpliwością demonstrował chłopcu, jak trzymać tarczę, by osłonić się przed ciosami wroga, i jak parować ciosy mieczem, a potem stanął przed nim i zachęcił, by Owen spróbował zadać mu cios. Na widok wysiłków giermka Rosamund musiała się roześmiać. Nie miał żadnej szansy, by dosięgnąć swego pana. W końcu Fitz Osbern opuścił miecz i pozwolił, by cios trafił w tarczę na wysokości serca, po czym zatoczył się, jęknął i opadł na kolana.

- Trafiłem! Zabiłem! - wykrzyknął Owen triumfalnie.

- Nic z tego, chłopcze - odrzekł Gervase, podnosząc się - ale było nieźle, masz dobre oko. - Potargał mu włosy. - Spróbujmy jeszcze raz. Tym razem uważaj na lewą stronę. Mogłem cię dziesięć razy trafić w brzuch. I co wtedy powiedziałaaby twoja matka?

Owen z uśmiechem znów podniósł miecz.

Rosamund z fascynacją patrzyła na ten wybuch dobrego humoru Osberna. Nie uszło jej uwagi, jak bardzo uważał, ćwicząc z niedoświadczonym chłopcem, a zarazem pilnował, by nie urazić jego godności.

Czy jednak fakt, iż pozostawał w dobrych stosunkach ze swoimi ludźmi, sprawiał, że przestawał być barbarzyńcą? Wzruszyła ramionami i uznała, że dość już tego patrzenia. Właściwie wszystkie te krzyki, jęki i szcęk metalu irytowały ją. Cóż mogło być interesującego w prostackich żołnierzach albo w ich panu, który w niczym się od nich nie różnił?

Z głębokim westchnieniem odwróciła się plecami do okna i pograżyła w myślach. Musiały to być jednak przyjemne myśli, bo na jej ustach pojawił się uśmiech.

Miała plan. Teraz tylko potrzebowała odwagi, by wprowadzić go w życie.

Musiała znaleźć sojusznika.

Znalazła Pennarda i wdała się z nim w dłuższą rozmowę. Nie podobały mu się twarde rządy sir Thomasa de Bytona, dlatego z ochotą sprzymierzył się ze swoją panią przeciwko Fitz Osbernowi. W trakcie rozmowy uśmiech Pennarda z chwili na chwilę stawał się coraz szerszy, a w oczach zabłysło uznanie.

- Jestem do twoich usług, pani. - Skłonił się nisko nad jej dłonią.

- Cieszę się. - Siłą woli powstrzymała się, by nie wyszarpnąć ręki z uścisku suchych palców.

Pennard bardzo przypominał szarego kota, który na stałe zagościł w jej bawialni. Był nieatrakcyjny i bezgranicznie egocentryczny, ale niewątpliwie pożyteczny.

Obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy.

- Wielka sala jest miejscem, gdzie moi żołnierze jedzą, śpią i spędzają wolny czas, pani. Nie pozwolę ich wyrzucić tylko dlatego, że masz ochotę odświeżyć sitowie, oczyścić ściany czy zaspokoić inne kaprysy. Przy obecnej pogodzie nie zgadzam się na to, by spędzili choćby jeden dzień na zewnątrz. - Gervase stał pośrodku sali w pewnej sobie pozie i ciągnął oskarżycielskim tonem: - Watkins mówił mi, że zakazałaś im tu wstępu aż do odwołania.

Miała nad nim tę przewagę, że stojąc na podwyższeniu, mogła patrzeć na niego z góry.

- Ta sala wygląda odrażająco. - Teatralnie pociągnęła nosem. - To mój zamek i nie będę tego dłużej tolerować.

Z rozmysłem podniósł głos i nadał mu agresywny ton:

- W takim razie możesz się wynieść do swojej bawialni, pani. Tak byłoby najlepiej.

Choć przeciwstawianie mu się nie przychodziło jej łatwo, podniosła wyżej głowę.

- Byłabym niezmiernie zadowolona, mogąc w ogóle nie wchodzić do tego chlewu, ale nie pozwolę, by zamek pozostawał w takim pożałowania godnym stanie. To nie zajmie dłużej niż dzień, najwyżej dwa. Powiedz swoim ludziom, że mogą

spędzić ten czas w stajniach albo skorzystać ze wschodniej wieży.

- Wschodnia wieża jest równie brudna jak ta sala. Nie nadaje się do niczego.

Zignorowała go i zwróciła się do ochmistrza, który czekał na jej polecenia.

- Pennard, chcę, by cała służba była tutaj ze szczotkami i wodą za pół godziny.

Do wieczora ta sadza ma zniknąć ze ścian. Chcę też, by wyrzucili całe sitowie.

Gervase oparł dłoń na rękojeści miecza i podszedł o krok bliżej.

- Czy nie słyszałaś, co powiedziałem? Nie daję na to pozwolenia.

- Słyszałam, ale ta sala zostanie posprzątana, z twoim pozwoleniem czy bez niego. Twój ludzie mogą sobie poszukać miejsca gdzie indziej. - Przeszła obok niego, nie zaszczycając go spojrzeniem, zupełnie jakby nie istniał. Jej suknia niemal otarła się o jego buty.

Gervase stał nieruchomo, patrząc za nią. A więc zamierzała mu się przeciwstawiać. Co prawda zgadzał się z nią, jeśli chodziło o stan wielkiej sali, każdy szlachetnie urodzony człowiek by się z tym zgodził, ale nie zamierzał dostosowywać się do jej poleceń ani pozwalać, by to ona decydowała, co potrzebne jest jego ludziom. Postukał palcami o miecz. Musiał przyznać, że w jego taktyce pojawiały się pewne rysy i nie wszystko szło zgodnie z planem. W tym zderzeniu dwóch charakterów na razie to ona była górą. Czekala go ciężka przeprawa.

- Na rany Boga! Czy ona zawsze się tak zachowuje? Mogłaby przynajmniej poczekać, aż deszcz przestanie padać, nim nas stąd wyrzuci!

- Panie.

Obrócił się na pięcie i ze zdziwieniem zauważył hrabinę, schludną i wystrojoną, która obserwowala go z pełnym rozbawieniem zainteresowaniem. Sprawiała wrażenie łagodnej istoty, dopóki nie napotkał spojrzenia jej szarzielonych oczu, identycznego jak spojrzenie tej lisicy, jej córki. Pomyślał, że hrabina wygląda jak drozd, który zamierza pochwycić smacznego robaka.

- Czy rozmowy z twoją córką, pani, zawsze są tak trudne? - zapytał gniewnie.

- Tak... nie... - Usta hrabiny zadrgały. - No cóż... czasami.

- Aha, w takim razie już rozumiem - skwitował.

Hrabina wyprostowała się równie odważnie jak jej córka.

- Może powinnam usprawiedliwić Rosamund, panie. Moja córka bywa bardzo bezpośrednia, gdy w grę wchodzi emocje.

- W takim razie muszę bardziej uważać, by nie poruszać tych jej emocji.

- To byłoby trudne, panie. - Hrabina zawahała się, po czym zdziwiła go, kładąc dłoń na jego rękawie. - Nie powinieneś osądzać jej zbyt pochopnie. Rosamund ma za sobą trudny czas.

- Ja też mam za sobą trudny czas.

- Lecz to ty masz przewagę. Ty masz władzę, a nie ona. Trzeba trochę poczekać, by się o tym przekonała. Może powinieneś okazać jej nieco cierpliwości.

Gervase uświadomił sobie, że cała jego frustracja minęła, gdy hrabina położyła dłoń na jego ramieniu. Wyglądało na to, że pomimo łagodnego obejścia przywykła do wydawania rozkazów i lepiej było o tym pamiętać. Nakrył jej dłoń swoją.

- Milady, przy tobie wraca mi rozsądek. Dlaczego twoja córka nie jest bardziej podobna do ciebie?

- Albowiem jest sobą - odrzekła hrabina. - I za to właśnie ją kocham.

- Jesteś niezwykłą kobietą, milady. Wdzięczny ci jestem za radę. - W ostatniej chwili powstrzymał się, by nie podnieść jej dłoni do ust. Nie byłoby to w stylu prostackiego łotra, który bez skrupulów okradł damę z posagu. - Jesteś, pani, nie tylko piękna, lecz również inteligentna. - Pomyślał, że Hugh Mortimer powinien bardzo uważać.

- Moja córka też - odparowała hrabina, rumieniąc się na ten nieoczekiwany komplement.

- Gdyby była inteligentna, to już dawno wyjechałaby z Clifford. Powinnaś ją ostrzec, pani, by użyła swego rozsądku i trzymała się z dala ode mnie.

Patrzył na nią przez szerokość dziedzińca. Spódnicę miała wysoko uniesioną, by nie pobrudzić jej błotem, dzięki czemu mógł dostrzec smukłe kostki. Uśmiechnął się. Gdyby o tym wiedziała, natychmiast opuściłaby spódnicę, nie zważając na błoto. Patrzył na jej wdzięczną sylwetkę, dopóki nie zniknęła w szopie, którą tutaj nazywano

kuchnią. Poszedł za nią.

Już jej tam nie zastał, ale kucharka, która właśnie mieszała coś w garnku, przejęta odwiedzinami pana w swoim małym królestwie, wskazała mu ruchem głowy na serownię. Porwał płaski chlebek i poszedł dalej. Serownia była wilgotna i chłodna. Nie znalazł tam Rosamund, ale zza drzwi, które otwierały się na nową, prowizoryczną zagrodę dla bydła, dobiegła go rozmowa na temat kręgu sera, toteż postanowił na nią poczekać. Ugryzł kawałek chleba, świadomy, że dwie mlecarki, które z podciągniętymi spódnicami i podwiniętymi rękawami ubijały masło, obserwują go czujnie. Przerwały na chwilę pracę, rzuciły mu nerwowe spojrzenie spod rzęs i dygnęły. Uśmiechnął się do nich, myśląc o czymś innym, a potem znów usłyszał głos Rosamund i skorzystał ze sposobności.

Gdy powtórnie wkroczyła do serowni, ciągnąc za sobą opornego Pennarda, niezmiernie zirytowana jego brakiem zainteresowania jakością sera, zobaczyła chleb porzucony na parapecie okiennym i Fitz Osberna, który otaczał ramieniem talię czerwonej jak burak mlecarki, szepcząc jej coś do ucha.

- Och...! - wyrwało jej się i zatrzymała się w pół kroku.

Pennard wytrzeszczył oczy, a dziewczyny psotnie zachichotały. Lord zaś nie puścił dziewczki, więcej, ucałował jej różany policzek.

- Fitz Osbern! - Rosamund rozpaczliwie szukała słów. Zupełnie traciła przy nim rozum, poza tym nie miała pojęcia, dlaczego ta scenka wytrąciła ją z równowagi. - Wyjdźcie stąd! - wykrzyknęła do chichoczących dziewcząt, które natychmiast uciekły. - Pennard, porozmawiam z tobą później.

Zostali sami w niewielkiej, bielonej izdebce. Fitz Osbern obrzucił szyderczym wzrokiem całą jej postać, od czubka głowy aż do zabłoconych butów. Poczowała, że czerwieni się tak samo jak mlecarka. Jego arogancki wzrok zdawał się przenikać przez jej płaszcz i suknię. Obronnie uniosła głowę.

- Jak śmiesz!

- Jak śmiem co? - zapytał, opierając się nonszalancko o porzuconą maselnicę.

- Jak śmiesz tak na mnie patrzeć, jak... - Przygryzła wargę.

- Jak co?

Czy się z niej wyśmiewał? Jej zmieszanie wyraźnie sprawiało mu przyjemność.

- Jak na ciastko z wiśniami!

Wybuchnął szczerym śmiechem. Zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Z wiśniami? Nie, wiśnie są zbyt kwaśne, moja słodka Rose. Może raczej śliwki lubaszki?

Była wściekła na siebie. Jak do tego doszło, że sama zaczęła tę głupią rozmowę? O wiele rozsądniej byłoby zignorować całą sprawę, ale odpuszczanie nie leżało w jej naturze.

- Może, panie - odrzekła z ironią - znalazłbyś sobie lepsze zajęcie niż narzucanie się moim służącym. Zaslugują na twój szacunek, nawet jeśli ja, twoim zdaniem, na to nie zasłużyłam. Powiedziano mi, że część palisady może się zawalić w każdej chwili.

Zamierzała wyminąć go i oddalić się, ale przesunął się szybko, zastępując jej drogę.

- Zdawało mi się, że ta dziewczyna nie miała nic przeciwko temu, ale jeśli wolisz, pani, to mogę w zamian pocałować ciebie. - Pochwycił ją za warkocz.

- Puść mnie!

- A właściwie to wolę pocałować ciebie. Spróbuję.

- Nie zrobisz tego! - Nim zdążyła się zastanowić nad konsekwencjami, podniosła rękę i zamierzyła się, by go uderzyć w twarz.

- O, nic z tego. - W porę pochwycił ją za ramię. Przyciągnął jej dłoń do ust, po czym pocałował delikatny naskórek po wewnętrznej stronie przegubu, gdzie tętnił puls. - Taki piękny kwiat i takie ostre kolce. Uderzysz mnie, łagodna Rose, kiedy ci na to pozwolę.

Otworzyła usta, by zwymyślać go za tę bezczelność, ale objął ją mocno i jego usta, już bez uśmiechu, znalazły się o cal od jej twarzy. Rosamund zaniemówiła. Czowała jego ciepły oddech na swoim policzku, bicie serca w pobliżu swojego serca. Czowała jego siłę i dominację, miała wrażenie, że tonie w złocistych głębinach jego oczu. Bez ostrzeżenia pochylił głowę i powiódł koniuszkiem języka po jej dolnej

wardze, po czym pochwycił ją zębami. Rosamund nieświadomie rozchyliła usta i nim zdążyła zaczerpnąć tchu, poczuła na nich pocałunek Gervase'a.

Po chwili podniósł głowę, ale nie wypuścił jej z objęć.

- Och, nie sądziłam, że...

- Nie sądziłaś, że co? - Pocałował delikatne miejsce za jej uchem.

Zmieszana Rosamund powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy:

- Nikt jeszcze tak mnie nie całował.

Drapieżny błysk w jego oczach wyostrzył się. Gervase przechylił głowę na bok i powiódł kciukiem po jej dolnej wardze.

- To znaczy, że jestem pierwszy? W takim razie pocałuję cię jeszcze raz.

Jego palce wolno przesunęły się po jej policzku i szyi, zatrzymały na chwilę we wgłębieniu obojczyka, gdzie uderzał puls, a potem znów powędrowały w dół, w stronę piersi. Napięta jak struna Rosamund czekała na kolejny pocałunek.

- Zresztą może nie. Nie jesteś wystarczająco słodka. - Postawił ją na ziemi i odsunął się, chłodno obserwując jej reakcję.

Poczuła się dziwnie osamotniona. Do oczu napłynęły jej łzy. Musiała uciec stąd jak najszybciej, by ocalić resztki godności. Pognała z łopotem spódnic.

A więc nikt jeszcze tak jej nie całował? Oczywiście, że nie. Mógłby to być tylko jakiś sekretny ukochany, trzymany w tajemnicy przed rodziną, albo konkurent do ręki, który jednak nie stał się mężem. Nie była dziewczką z tawerny, którą mógł całować i zaciągnąć do łóżka każdy mężczyzna, któremu wpadła w oko. Zapewne była dziewicą. Fitz Osbern poczuł dreszcz podniecenia. Gdyby był człowiekiem bez honoru, niegodnym swego nazwiska, mógłby poznać to ciało jako pierwszy.

Lecz gdyby nawet się na to zdobył, czy stawiałaby opór? Oddawała mu pocałunki, co niezmiernie go zdziwiło.

Uderzył pięścią o drewniany słupek. Nie, nie mógł tego uczynić, poza tym ta panna nie była w jego typie. Czuł jednak zadowolenie. Zdenerwował ją, a przy okazji odkrył, że te wspaniałe warkocze nie były sztuczne. Łatwo wyobraził sobie, jak je rozplata, a włosy okrywają lśniąca falą nagie ramiona Rosamund.

Zaśmiał się i poszedł w stronę zrujnowanego fragmentu palisady.

- To nie może trwać dłużej, moja pani!

- Co masz na myśli, panie? - zapytała Rosamund ze szczerą troską. - Czy coś cię zdenerwowało?

Fitz Osbern obrzucił ją ponurym spojrzeniem i oparł dłonie zwinięte w pięści na biodrach.

- „Zdenerwowało” to za mało powiedziane. Dobrze wiesz, o czym mówię.

Zebrała się na odwagę. Już od jakiegoś czasu wiedziała, że będzie musiała stawić czoło temu oskarżeniu. Gervase, w wojskowym stroju, zarośnięty i wyraźnie wytracony z równowagi, stał po drugiej stronie stołu, a u jego boku warował równie napięty chart. Atmosfera w wielkiej sali stawała się coraz cięższa.

- Wiem, że ostatnio mieliśmy tu kilka problemów, panie, ale zapewniam cię...

- Problemów? Ja tu widzę rozmyślną próbę czynienia szkody.

Potrząsnęła głową, przybierając niewinny wyraz twarzy.

- To niemożliwe. Wszyscy w zamku bardzo cię szanują, panie. Nie sądzę, by Pennard albo sir Thomas próbowali podkopać twój autorytet.

- Ja też nie sądzę. Z pewnością nie uczyniliby tego bez niczyich podszeptów. - Patrzyli sobie w oczy. W jego oczach błyszczała złość, w jej zaś łagodne zainteresowanie. - Zdaje się, że mi nie wierzysz - rzekł złowieszczo gładkim tonem. - Czy mam ci wymienić wszystkie kłopoty, o których myślę?

- No cóż - przyznała Rosamund. - Wiem, że owsianka i mięso są już ledwie letnie, gdy docierają na nasz stół, ale ta trudność wynika z tego, że kuchnia jest zanadto oddalona od jadalni, panie.

- Zimne jak lód, a nie letnie! I przeważnie doprawione niedobrym sosem. A ta spalona pieczeń? Jak chcesz to usprawiedliwić?

- Nieszczęśliwy wypadek, panie. Chłopak, który miał pilnować rożna, zasnął.

- Hm...

- Sądzę, panie, że to się więcej nie powtórzy.

- Nie postawiłbym na to złamanego grosza. A ta sprawa z piwem?

Przechyliła głowę na bok, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Sądzę, że po prostu się nie udało.

- To nie ma nic wspólnego z samym warzeniem. Ktoś dolał czegoś do beczułki.

- W takim razie musiał to być kolejny nieszczęśliwy wypadek, panie.

- Bardzo nieszczęśliwy, szczególnie dla tych spośród moich ludzi, którzy cierpią na ból głowy i ciężką biegunkę. No i jeszcze palenisko w wielkiej sali.

Rosamund potrząsnęła głową.

- Nic o tym nie wiem. Wyszłam wcześniej.

- Ach, więc słyszałaś o tym? Zapewne jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności w twojej bawialni nie napalono świeżym drewnem i cała komnata nie jest teraz wypełniona śmierdzącym dymem?

- Nie, panie - rzekła pokornie.

- Czy mam wyliczać dalej?

- Sądzę, że nie zdarzyło się już nic więcej. Wiem, że kazałeś przenieść tę kupę nawozu.

- Owszem, ale nie znalazłem jeszcze sposobu na tę armię szczurów, która nagle pojawiła się w moich komnatach w zachodniej wieży.

- Radziłabym ci, panie, sprowadzić kota ze stajni - rzekła życzliwie.

- A więc gryzonie nie dotarły do twoich komnat?

Nie potrafiła powstrzymać pełnego zadowolenia uśmiechu.

- Ja już mam kota.

- Zaiste. - Oparł dłonie na porysowanym blacie stołu, pochylił się w jej stronę i dodał niskim, złowieszczym tonem: - Bardzo ci dziękuję za rady. Ja ze swojej strony chciałbym ci powiedzieć tylko jedno, lady Rosamund: jeśli ten atak szczurów znów się powtórzy, będę musiał uciekać ze swoich komnat, a wówczas przeniosę się z zachodniej wieży do twojej bawialni i prywatnej sypialni. Czy masz ochotę dzielić je ze mną?

Pobladła. Wiedziała, że jest do tego zdolny.

- Obiecałeś, panie, że bawialnia będzie należała do mnie!

- Obiecałem, ale nie zamierzam spać ze szczurami wielkimi jak Bryn. Cicho bądź! - rzucił w stronę charta, który zaszczekał, słysząc swoje imię. - Wolałbym spać z tobą, pani, choć jesteś przebiegła jak lisica. Prawdę mówiąc, myśl o czystej pościeli i ładnej kobiecie wystarczy, by skusić każdego mężczyznę.

- Panie! - Nie da się zastraszyć... choć dreszcz, który przeszedł przez całe jej ciało, nie był wywołany lękiem. Poczula, że się rumieni, i przeklinając się za to, rzuciła winę na Gervase'a, który przynosił hańbę całemu stanowi rycerskiemu. - Jeśli nie czujesz się wygodnie w Clifford, możesz przecież wyjechać.

Uśmiechnął się drapieżnie, jak wilk.

- Wiesz, że nie wygrasz ze mną.

Jej policzki płonęły coraz mocniej.

- Nie wiem, o czym mówisz, panie.

- Nie próbuj kłamać. - Pochylił się jeszcze bliżej w jej stronę i jego usta znalazły się o cal od jej twarzy. Rosamund nawet nie drgnęła, chociaż wstrzymała oddech. - I nie zapominaj o moim ostrzeżeniu. Drzwi do twojej komnaty nie będą dla mnie przeszkodą.

- Nie są otwarte dla ciebie. Zabarykaduję je - powiedziała z paniką.

- O, doprawdy?

- Tak. - Zauważyła, że poruszył się w jej stronę. - I nie pozwolę, byś mnie pocałował.

- Nie? A jak chcesz mnie powstrzymać? - W dwóch krokach okrążył stół i nim zdążyła uciec, uwięził ją przy krawędzi, opierając ręce na blacie po obu jej stronach. - Ostrzegałem cię. Jeśli moje względy ci nie odpowiadają, to trzymaj się z dala ode mnie i przestań się wtrącać w gospodarstwo.

Upokorzona Rosamund odwróciła twarz. Czuła jego oddech na policzku, jego uda tuż przy swoich. Nienawidziła go i pragnęła jednocześnie. Odważyła się podnieść wzrok. Wpatrywał się w jej twarz z lekkim uśmiechem.

- Ostrzegam cię raz jeszcze, pani. Jeśli nie porzucisz swoich intryg, to zabarykaduję drzwi i zamknę cię w twojej komnacie. Zrobię to dla bezpieczeństwa

zamku. Gotów nawet jestem zamknąć się tam razem z tobą. Założę się, że twoje łóżko jest wystarczająco szerokie, by pomieścić nas oboje. A noce są teraz długie i ciemne. Znam wiele sposobów, by je umilić - mówił uwodzicielsko. - I wierz mi, że są to bardzo przyjemne sposoby. Dlatego lepiej miej się na baczności, lady Rosamund. - Wyszedł z sali.

Oczywiście, że to była jej sprawka. Na twarzy miała wymalowaną niewinność, jednak doskonale wiedział, co o tym myśleć. Dopiero w swojej komnacie pozwolił sobie na wybuch szczerego śmiechu. Musiał przyznać, że była bardzo pomysłowa. Zamierzał zapamiętać ten pomysł z kupą łajna na wypadek, gdyby przyszło mu kiedyś prowadzić oblężenie. Zanim ktokolwiek odkryłby źródło nieprzyjemnego zapachu, wszyscy obrońcy dawno puciekaliby z twierdzy. Ładunek zepsutych ryb, kupionych od handlarza, który z radością się go pozbył, zakopany pod nawozem ze stajni. Jak udało jej się tego dokonać? Zapewne z pomocą Pennarda. Nie dało się tego znieść nawet w środku zimy. Smród, od którego aż oczy łzawiły, przenikał wszystkie zakamarki zamku. Gervase nakazał rozrzucić stertę gnoju i zakopać ryby głęboko w ziemi.

Przypomniawszy sobie jej reakcję na groźbę, że wprowadzi się do jej sypialni. Pobladła jak ściana, ale szybko wzięła się w garść. Na ten widok poczuł złośliwą satysfakcję, teraz jednak pomyślał, że zachował się niegodnie. Podziwiał przebiegłość, z którą podkopywała jego autorytet, ale nie mógł dać się osłabić. Rosamund de Longspey miała się wkrótce przekonać, że on również potrafi odpowiedzieć pięknym za nadobne. Musiał w tym celu zamienić kilka słów z Pennardem.

- Ten człowiek jest zupełnie niemożliwy!

Zimne wiatry z północy przyniosły z sobą mróz i śnieg. Lady Petronilla, z haftem w ręku, ulokowała się wygodnie przy buzującym ogniu w bawialni. Tu nikt jej nie przeszkadzał i mogła snuć swoje rozmyślenia, w których często pojawiała się krępa, przysadzista sylwetka niemłodego już, lecz energicznego i silnego mężczyzny o niebieskich oczach, które widziały już niejedno, z uroczymi zmarszczkami w kąciach łagodnej, dobrej twarzy skorej do uśmiechu i brązowych włosach przeplecionych

siwizną, która świadczyła o mądrości i doświadczeniu.

- Zupełnie niemożliwy! Absolutnie nieznośny!

Przyjemna samotność skończyła się. Jej córka wpadła do bawialni jak burza.

- Chciałam obejrzeć rachunki posiadłości - parskała jak kotka - ale Pennard, który nagle zaczął omijać mnie wzrokiem, przysłał mi garderobianego. To mój urzędnik i moja posiadłość, a on mi mówi, że nie mam do nich wglądu. Do rachunków mojej posiadłości! Chyba że uzyskam pozwolenie Fitz'a Osberna. Jeśli chcę zobaczyć księgi, muszę porozmawiać z Jego Lordowską Wysokością osobiście.

- Poprosiłaś go o to? - zapytała hrabina, choć z góry znała odpowiedź.

- Mam go prosić? Zażądałam tego, a ten łajdak miał czelność zapytać, czy umiem czytać i dodawać. Wątpię, czy on potrafi. Nie jestem nawet pewna, czy umie się podpisać!

- I co mu powiedziałaś?

- Że odebrałam doskonałą edukację. A wtedy on powiedział do mojego garderobianego: „Doskonale, w takim razie pokaż pani księgi”.

- I czy przejrzałaś te księgi?

- Nie! Powiedziałam Osbernowi, że zmieniłam zdanie. Nie mam zamiaru być zależna od jego dobrej woli. Nie będę przyjmować własnych praw z rąk tego złodzieja, gdy on uzna za stosowne udzielić mi tej łaski.

- Wydaje mi się, droga Rose, że trafiłaś na godnego siebie przeciwnika - zauważyła hrabina znad drobnego, równiutkiego ściegu.

- Nigdy w życiu! Nie uwierzysz, co było potem! Zaczął na mnie krzyczeć i kazał mi się wynosić z sali. Jego ludzie pili, jak to mężczyźni. Powiedział, że to nie jest miejsce dla kobiety.

- Miał rację.

- Być może, ale nie musiał krzyczeć! W dodatku sam pił razem z nimi. A co do ich języka... - Zakryła uszy. - Wstyd było tego słuchać, a on z pewnością kłął tak samo jak pozostali.

- No cóż. - Hrabina na wszelki wypadek odwróciła twarz. - Najlepiej zostawić

mężczyzn samych z ich rozrywkami.

- To doskonały powód, bym nie wychodziła za mąż.

- Rosamund. - Petronilla odłożyła haft na kolana i zastanowiła się, czy dawanie córce rad ma jakikolwiek sens. No cóż, w każdym razie mogła spróbować. - Powiem tylko tyle: uważaj na siebie. Mężczyzna, z którym igrasz, to nie jest mały kociak, lecz dorosły, dziki kot, który ma zęby i pazury.

- Wiem o tym - powiedziała już ciszej - ale jeśli nie będę z nim walczyć, to on zwycięży. I gdzie ja się wtedy podzieję? Mam wrócić do Salisbury, żeby Ralph de Morgan wcisnął na mój palec ślubną obrączkę? Nie mogę sobie pozwolić na przegranie tej bitwy.

- Nie, Rose, nie możesz - powiedziała ze smutkiem hrabina.

Od początku wiedziała, że to może być stracona sprawa i obawiała się o wynik tej walki.

RS

Rozdział szósty

Zima zagościła w Clifford na dobre. Nawet w południe powietrze było mroźne i w drugim tygodniu swego pobytu w zamku Fitz Osbern uznał, że najwyższy już czas, by zacząć palić ogień w wielkiej sali. Zazgrzytał zębami, patrząc na stertę zimnego popiołu. Kolejny drobiazg, w którym wyczuwał rękę Rosamund de Longspey. Być może nie była to aż tak istotna sprawa, ale chodziło o zasady.

- Ten ogień ma się palić przez cały czas - zagrzmiął do Pennarda. - Dopilnuj, by rozpalano tu każdego ranka. Moi ludzie nie będą znosić takich niewygód. Jeśli masz za mało służby, to powiedz mi o tym, ale do twoich obowiązków należy...

Tę przemowę przerwało mu jakieś poruszenie przy drzwiach. Odwrócił się z irytacją, zaraz jednak na jego twarzy zabłysła ulga.

- Dzięki Najwyższemu za towarzystwo kogoś zdrowego na umyśle.

Hugh de Mortimer wrócił.

- Zdaje się, że jest ci to potrzebne - zauważył, patrząc na służących, którzy pod rozgniewanym wzrokiem pana zabrali się do układania wielkich kłód na palenisku.

- Żebyś wiedział. - Pociągnął przyjaciela na bok. - Cóż cię tu sprowadza?

- Miałem coś do załatwienia w Ludlow, więc zboczyłem nieco. Chodzi o króla. Objeżdża cały kraj i zamierza tu przybyć w ciągu tygodnia. Zostałem wezwany, żeby omówić z nim kwestie bezpieczeństwa na pograniczu. - Hugh rozejrzał się po sali z uznaniem. - Widzę, że sporo tu dokonałeś.

- Nie miałem wyjścia. - Wciąż mierzył ochmistrza wrogim spojrzeniem, ale ogólnie rzecz biorąc, miał powody do zadowolenia. Kałuże na wewnętrznym dziedzińcu zniknęły. Wielka sala wysłana była świeżym sitowiem, posypanym wonnymi ziołami. Ze ścian odskrobano grube warstwy sadzy.

De Mortimer z jękiem usiadł na ławie.

- Za stary już jestem, by jeździć po bezdrożach w taką pogodę, ale nie jest to nic, czego kufel piwa nie mógłby uleczyć. - Rzucił okiem na gniewną twarz przyjaciela, a potem na schody prowadzące na wyższą kondygnację. - Przypuszczam, że ona nadal

tu jest - zaśmiał się - a nie wygląda na to, żeby miał zacząć padać śnieg.

- Niestety, tak. - Gervase usiadł obok niego, nie spuszczać oczu z Pennarda, którego lojalność wciąż pozostawała zagadką. Zwolniłby go od razu, ale dobrze wiedział, kto jest prawdziwym winowajcą. - Nie rozumiem, dlaczego ona nie chce się pogodzić z porażką i wyjechać. Nie mogę spuścić jej z oka nawet na chwilę. Sprzeciwia się moim poleceniom i wszczyna awantury za każdym razem, gdy coś nie idzie po jej myśli. Ostrzegam cię, na wypadek gdybyś chciał tu zostać. Nie bez powodu mówi się, że de Longspeyowie są przebiegli! Każdego dnia muszę z nią walczyć o sprawy dotyczące zarządzania domem. Wszystko powinno biec gładko, ale ona wciąż kopie pode mną dołki.

- A ty nie odpłacasz jej pięknym za nadobne?

Gervase zarumienił się lekko.

- Oczywiście, że nie. To ona walczy ze mną. Ja tylko... no cóż, powiedzmy, że niczego jej nie ułatwiam.

- Wyglądasz, jakbyś spędził całe przedpołudnie na ciężkiej pracy. - Hugh dotknął brudnego rękawa przyjaciela. - Czy to strój do ćwiczeń bitewnych?

- Jej zdaniem jestem łotrem spod ciemnej gwiazdy. - Z przebiegłym uśmiechem dotknął kilkudniowego zarostu i przegarnął palcami zmierzwione włosy, aż zaczęły sterczeć na wszystkie strony.

- A mimo wszystko nie potrafisz się jej pozbyć.

- Na razie jeszcze nie. Jest odważna i zdeterminowana, ale nie poddam się.

Wkrótce de Mortimer znalazł sobie atrakcyjniejsze towarzystwo. Być może to była prawdziwa przyczyna, dla której zboczył tak znacznie z drogi. Nie musiał szukać długo. Ku swemu zdziwieniu znalazł ją w serowarni.

- Wciąż tu jesteś, pani. - Skłonił się przed nią z radością na twarzy.

- Lord Hugh. - Petronilla odsunęła welon z policzków. - Jak widzisz, próbujemy zrobić ser, który choć w przybliżeniu nadawałby się do jedzenia. Mieliliśmy z tym trochę kłopotów.

- Czy zechcesz mi o nich opowiedzieć? - Nie mógł zrozumieć, dlaczego hrabina

zajmuje się tak przyziemnymi sprawami, ale wyglądała przy tym uroczo. Włosy miała splecione w koronę, co przyciągało uwagę do delikatnych rysów twarzy. Nie wiedział, czy rumieniec na jej policzkach pochodził z wysiłku, czy też pojawił się na jego widok, ale miał nadzieję, że to drugie.

Hrabina odesłała służki, wytarła ręce i ujęła go za rękaw.

- Wątpię, panie, byś miał ochotę o nich słuchać. - Potrząsnęła głową. - Chodź ze mną.

Poprowadziła go na zewnątrz, do zacisznego kąta, który słońce, od pół godziny wyglądające zza chmur, zdołało nagrzać na tyle, że dało się tu przez chwilę wysiedzieć. Owinęła się szczelnie płaszczem, złożyła ręce na kolanach i spojrzała na de Mortimera.

- Czy brakowało ci mojej obecności, pani? Czy jesteś zadowolona z pobytu tutaj?

- Wolałabym być gdziekolwiek indziej... ach, chyba nie powinnam tego mówić.

Zauważył, jak zręcznie wywinęła się od odpowiedzi na jego pierwsze pytanie. Ujął jej ręce, zadowolony, że nie cofnęła dłoni.

- Obiecuję, że nikomu tego nie powtórzę. A gdzie wolałabyś być?

- W Salisbury. Lubię miejskie życie. Sądzę nawet, że wolałabym moją posiadłość w Lower Broadheath. Tam nie jest tak dziko jak tutaj. Wieś znudziła mi się już podczas pierwszego małżeństwa.

Hugh natychmiast podchwycił sposobność.

- Skoro lubisz miasto, to powinnaś odwiedzić mnie w Hereford. - Gdy uśmiechnęła się lekko, ale nie odpowiedziała, dodał: - Czy nie możesz przekonać swojej córki, by z wdziękiem wycofała się z konfliktu? A tak w ogóle, gdzie ona teraz jest?

- Zdaje się, że rozmawia z kucharką o pewnym urozmaiceniu naszej diety. - Westchnęła. - Przez ostatni tydzień na okrągło jedliśmy gotowaną baraninę, ale nie, Rose nie zgodzi się na odwrót. Zrobi wszystko, co w jej mocy, by pozostać poza zasięgiem earla Gilberta. Nie jestem pewna, czy nawet tu jest bezpieczna. -

Zmarszczyła brwi. - Sądzę, że tego również nie powinnam mówić.

- Bezpieczna? Przed kim?

- Myślę, że Rose nie chciałaby, żebym o tym mówiła.

- Earl Gilbert nie jest przecież złym człowiekiem.

- Nie, nie jest zły. Oczywiście, że nie. - Jej dłonie poruszyły się niespokojnie. -

Skoro i tak nie potrafiłam utrzymać języka za zębami, to już powiem ci wszystko.

Gilbert zmusiłby Rose do małżeństwa. Zaplanowali to razem z moim mężem, earlem Williamem, jeszcze przed jego śmiercią. Miał to być sojusz strategiczny.

- Czy to małżeństwo byłoby takie złe? Ile twoja córka ma lat?

- Dwadzieścia cztery. Były inne propozycje, ale nic z tego nie wyszło.

Hrabina zacisnęła usta, wyraźnie zdenerwowana, Hugh wrócił więc gładko do zasadniczego tematu:

- A więc któż taki wchodzi w grę? Sytuacja nie może być chyba aż tak dramatyczna, by twoja córka uznała Clifford za wymarzone schronienie?

- Owszem, może. Chodzi o Ralpa de Morgana.

Hugh przesunął dłonią po twarzy.

- Ach... Znam go.

- W takim razie rozumiesz jej opór.

- Gdybym był młodą, energiczną kobietą, z pewnością nie wybrałbym go za męża ani też życie w Builth nie wydawałoby mi się atrakcyjne. Tam jest jeszcze gorzej niż tutaj. - Zauważył cień na twarzy hrabiny i natychmiast pożałował swych słów. Pociągnął Petronillę za rękę. - Szkoda tracić taki ładny dzień na rozważania o Ralpie de Morganie. Niech idzie do diabła. Bardzo się cieszę, pani, że cię tu zastałem - dodał zdumiewająco łagodnym głosem, który nie pasował do surowych rysów jego twarzy. - Słońce świeci i dzień jest pogodny, chociaż zimny. Może wybierzemy się na przejażdżkę? Moglibyśmy pojechać wzdłuż rzeki Wye w stronę gór. To ładna okolica i nie chciałbym, byś przedwcześnie wyrobiła sobie o niej złe zdanie. Czy pojedziesz ze mną, Petronillo?

Nawet jeśli zdziwiła się, że de Mortimer zwraca się do niej tak familiarnie, nie

dała niczego po sobie poznać. Jej twarz rozpogodziła się, a uśmiech stał się cieplejszy.

- Nie! - zawołał nagle Hugh ku jej zaskoczeniu.

- Nie? - zdziwiła się.

- Petronilla to za ciężkie imię dla tak ładnej i delikatnej kobiety. Będę cię nazywał Nell.

Jej twarz natychmiast pokryła się rumieńcem.

- Nikt jeszcze tak się do mnie nie zwracał.

Nie był pewien, czy udało mu się ją rozbawić, czy też urazić, ale nie wycofał się.

- W takim razie ja będę pierwszy. A więc Nell, czy wybierzesz się ze mną na przejażdżkę?

- Tak, Hugh. Tak

Podczas gdy Hugh przełamywał opory Petronilli, Fitz Osbern przyglądał się stajniom, które sprawiały wrażenie, jakby miały się zawalić przy najlżejszym porywie wiatru. Strzecha była przemoknięta na wylot, a jeden koniec budynku obracał się już w ruinę. Gervase zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby zburzyć wszystko i zbudować od początku, zamiast łątać dziury, gdy naraz ujrzał de Mortimera w płaszczu i rękawicach do jazdy konnej.

- Dokąd się wybierasz? Przecież dopiero co przyjechałeś.

Hugh wyprowadził swojego konia i kazał osiodłać klacz hrabiny.

- Niedaleko. Wybieram się na przejażdżkę wzdłuż rzeki w towarzystwie Nell, to znaczy lady Petronilli.

- Aha, rozumiem - mruknął Gervase z rozbawieniem. - Nell, tak?

Hugh uśmiechnął się, a potem oznajmił:

- Znalazłem rozwiązanie twojego problemu.

- Zamknąłeś jej córkę w wieży i skuleś łańcuchami?

- Nie. Może powinienem raczej powiedzieć, że znalazłem rozwiązanie zagadki.

Wiem, dlaczego lady Rosamund nie chce stąd wyjechać i upiera się pozostać tutaj aż do śmierci.

- Bo jest rozpuszczona, samowolna, trudno się z nią dogadać i nie daje się zastraszyć.

- Nie, powód jest bardzo prosty. Ralph de Morgan.

Gervase z odrazą obnażył zęby.

- A cóż on ma do tego?

- Earl Gilbert chce ją wydać za niego.

- No i?

- Zastanów się, Ger.

- Hm. - Gervase sprawdził na kciuku ostrze noża do trzciny. Nóż był zupełnie tępy. Owszem, musiał przyznać, że perspektywa małżeństwa z de Morganem nie jest szczególnie przyjemna.

- Ona jest gotowa na wszystko, byle nie wracać do Salisbury, bo tam zmuszą ją do tego małżeństwa - ciągnął Hugh. - Zostanie tu na zawsze.

- Rany boskie! - Brwi Gervase'a ściągnęły się w czarną linię. - Wdzięczny ci jestem za ostrzeżenie, Hugh. Miłej przejażdżki.

- Czy mogę ci udzielić tylko jednej rady?

- A czy prosiłem cię o jakieś rady?

- Nie, ale ta jest rozsądna. - Hugh nie zdołał ukryć błysku w niebieskich oczach.

- Sam mógłbyś się z nią ożenić. To rozwiązałoby wszystkie problemy. Panna ma dwadzieścia cztery lata i z pewnością przydałby się jej mąż.

- I sądzisz, że jestem lepszym kandydatem niż Ralph de Morgan?

- Być może. W każdym razie to by załatwiło sprawę własności Clifford. Ona ma dokumenty, a ty władzę. Możesz połączyć jedno z drugim, a do tego zaskarbić sobie jej niewypowiedzianą wdzięczność, bo uratujesz ją przed uściskami Ralpa. A co może z tego wyniknąć? Harmonia małżeńska. - Z najwyższym trudem zachowywał powagę. - Moglibyście wieść tutaj szczęśliwy żywot.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny za to, że wyznaczyłeś mi szlaki na przyszłość, Hugh. Nie mógłbym wyobrazić sobie niczego gorszego. Ta dama nie spełnia moich oczekiwań.

- Tak tylko przyszło mi do głowy.

- Życzę ci przyjemnej przejażdżki w towarzystwie hrabiny.

Gervase uznał, że przegniła strzecha nie przetrwa do końca zimy, i kazał żołnierzom ją zerwać. Wydawało się, że ta czynność pochłania całą jego uwagę, ale tak nie było. Słowa przyjaciela wciąż dźwięczały mu w myślach.

To był zupełnie niedorzeczny pomysł. Gervase nigdy w życiu nie mógłby połączyć swego nazwiska z de Longspeyami, a Rosamund zupełnie nie nadawała się na następczynię Matildy. Kiedy Hugh sugerował mu kiedyś, by się powtórnie ożenił, Gervase twierdził, że przyszła żona powinna być uległa, łagodna, uступliwa i pełna wdzięku, teraz jednak, machając nożem nad wiązkami trzciny, nie potrafił sobie wyobrazić takiego wcielenia cnót.

Szczerze mówiąc, coraz trudniej było mu przywołać obraz Matildy. Za każdym razem, gdy próbował przypomnieć sobie jej owalną twarz, jasnoniebieskie oczy i łagodne rysy twarzy, przed oczami stawała mu ta przekłeta dziedziczka de Longspeyów z błyskiem w zielonych oczach i płomiennymi włosami, obdarzona ostrym jak brzytwa językiem i wolą tak silną, że mogłaby nią zginać żelazo. Rzecz jasna, to był powód, dla którego do tej pory nie wyszła za mąż. Żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie chciałby zmierzyć się z taką kobietą - oprócz może Ralpha de Morgana, którego musiały skusić trzy przygraniczne zamki.

Lecz jeśli nie wyjdzie za mąż, cóż ją czeka w życiu? Klasztor? Tego również nie potrafił sobie wyobrazić. Albo życie na łasce przyrodnich braci w roli dobrze urodzonej towarzyszki dla ich żon i pomocy przy wychowywaniu dzieci. Nie była to atrakcyjna przyszłość dla kobiety o silnym charakterze i Fitz Osbern niemal zaczął jej współczuć.

Ożeń się z nią, powiedział Hugh. Niech go diabli. Zielone oczy, przejrzyste jak strumień na wzgórzach. Jasna skóra delikatnie upstrzona piegami. Niezbyt wysoka, ale o pięknej figurze. Włosy, których nigdy nie widział rozpuszczonych, ale potrafił sobie wyobrazić, jak spływają czerwonozłotą chmurą na jej ramiona.

Zacisnął dłoń na nożu i poczuł napięcie w całym ciele, gdy zaczął się

zastanawiać, czy jej skóra wszędzie jest równie jasna i gładka jak na policzkach. Odetchnął głęboko, pochwycił stojący obok cebrzyk z lodowatą wodą i wylał ją sobie na twarz, ale w niczym mu to nie pomogło. Skrzywił się. Im szybciej Rosamund stąd zniknie, tym lepiej.

Lecz dokąd miała pojechać? Wolał się nad tym nie zastanawiać. Ratowanie jej przed wyrokami losu nie należało do jego obowiązków. Nie mogła zostać w Clifford i już. Nie jego sprawa, dokąd miała się wynieść.

Zostawił robotników pod nadzorem Watkinsa i poszedł sprawdzić, jak idą prace przy przenoszeniu kupy nawozu w odległy kąt dziedzińca, dalej od komnat mieszkalnych. Było to zajęcie na tyle nieprzyjemne, że zmuszało go do skupienia i mógł wreszcie oderwać myśli od rozważań nad przyszłością zielonookiej, rudowłosej kobiety, która nie przestawała wytrącać go z równowagi.

O świcie obudziły Rosamund dźwięki dochodzące od strony posłania matki. Petronilla wstała z łóżka i zniknęła za drzwiami, które prowadziły do wnęki w ścianie, gdzie mieściła się toaleta, po czym dobiegły stamtąd odgłosy torsji. Rose wyskoczyła z łóżka, otarła matce czoło mokrym płótnem i podtrzymała za ramiona, a potem zaprowadziła ją z powrotem do łóżka i poruszona jej kruchością, pomogła znów ułożyć się na poduszkach.

- Co się dzieje? - Otarła spoconą twarz i uważnie obejrzała ramiona matki, szukając wysypki. - Czy coś cię boli?

Petronilla jęknęła z przymkniętymi oczami i odsunęła dłoń córki.

- Nie, tylko... Czy mogłabyś mi przynieść naczynie? Mam mdłości po tej gotowanej baraninie, która była na wieczerzę.

- Ja jej nie jadłam.

- I mądrze zrobiłaś.

Petronilla skorzystała z naczynia, po czym, oddychając płytko, znów opadła na poduszki. Skórę miała szarą i spoconą.

W sercu Rosamund zaległ ciężar, ale starała się ukryć lęk, który chwycił ją za gardło. Nic by jej z tego nie przyszło, gdyby wpadła w panikę i zaczęła biegać w

kółko jak kurczak z odciętą głową. Tyle że potrzebowała pomocy. Jej wiedza na temat chorób i lekarstw była tu niewystarczająca. Zasięgnęła porady Edith, po czym posłała do wioski po wdowę Kempe, która nie tylko prowadziła karczmę, ale także słynęła w okolicy jako uzdrowicielka.

Wdowa Kempe była dużą kobietą o przytłaczającym sposobie bycia. Z pewnością siebie, która zdumiała Rosamund, natychmiast przejęła kontrolę nad komnatą. Wyjęła z torby kilka aromatycznych paczuszek i szepcząc zaklęcia do ucha chorej, podała jej odrobinę werbeny rozpuszczonej w piwie. Po chwili wyjęła z torby orzech włoski i rozbiła go na kawałki na palenisku, mówiąc:

- Doskonale zapobiega gorączce.

Petronilla zapadła w niespokojny sen.

- Czy ona wkrótce wyzdrowieje? - zapytała Rosamund z lękiem.

- Jutro poczuje się znacznie lepiej. Trzeba pilnować, żeby spała. To tylko żołądek - oświadczyła z pewnością w głosie. - Widzisz, pani, kolor już wraca na jej policzki.

Była to prawda. Rosamund poczuła ulgę. Pozostawiła matkę pod opieką Edith, wyraziła wdzięczność uzdrowicielce brzęczącą monetą, wysłała ją do kuchni, by coś zjadła, a sama ubrała się i wyszła z sypialni. Zaraz za progiem napotkała sir Thomasa, który przekazał jej pilne wezwanie do Fitz Osberna. Przejęta troską o matkę nie zauważyła nawet wyraźnej satysfakcji na twarzy dowódcy. Bez słowa skierowała się do zachodniej wieży, gdzie rezydował Fitz Osbern.

W komnacie znajdowało się, krzesło z wysokim oparciem oraz kilka zydl. Na ścianie obok paleniska wisiał gobelin, a na podróżnym kufrze z dokumentami leżała broń. Niewiele było tu osobistych akcentów. Rosamund skrzywiła się lekko. Izba była zaskakująco wygodna jak na takiego łajdaka. Wyglądało na to, że zadomowił się tu na dobre. Nic z tego, pomyślała. Gdy tylko matka wróci do zdrowia, znów trzeba będzie coś wymyślić.

Fitz Osbern siedział na krześle.

- Przynajmniej pojawiłaś się szybko - mruknął, nie wydawał się jednak

szczególnie zadowolony. Uderzył rozpostartą dłonią o stół. - Czy ta ostatnia historia to twoja sprawka?

Dopiero wówczas zwróciła uwagę na pełen złości ton jego głosu. Nie wstał na powitanie ani nie poprosił, by usiadła. Wyglądało to tak, jakby odprawiał nad nią sąd.

- Jaka historia, panie? - zapytała ostrożnie.

- Nie mogę uwierzyć, że stoisz tutaj, udając niewinność, i wszystkiemu zaprzeczasz.

- Ja nie...

- Połowa moich ludzi leży z biegunką - ciągnął, nie zważając na jej słowa. - Czy chcesz otruć cały mój garnizon?

- Co takiego? Otruć?!

- Widzę, pani, że ty jesteś zdrowa. Wyglądasz zadziwiająco dobrze! Nie mam pojęcia, jakim sposobem mnie się udało nie zachorować. Może dla mnie masz w zanadru coś gorszego od biegunki i wymiotów.

- Trucizna... - powtórzyła, próbując coś zrozumieć z tych oskarżeń. - Podejrzewasz mnie o taką podłość? - Uraza walczyła w niej z gniewem. Owszem, starała się utrudnić życie jemu i żołnierzom, ale trucizna?! Tak daleko nigdy by się nie posunęła.

- Nie potrafię znaleźć lepszego wyjaśnienia. Jak śmiesz posuwać się do takich niebezpiecznych środków, kobieto? - Podniósł się, obszedł dookoła stół i stanął tuż przed nią. - Powinienem kazać cię wychłostać.

- Przecież tego nie zrobiłam! - Poczowała przeszywający lęk. Czy to naprawdę była trucizna? Czy jej matce groziło większe niebezpieczeństwo, niż sądziła? A jeśli tak, to kto zatrzał jedzenie? Odetchnęła głęboko, powstrzymując łzy. - Czy to rzeczywiście trucizna? Jeśli tak, to ja niczym nie zasłużyłam na taką obelgę!

- A dlaczego miałbym ci uwierzyć? Nie mogę cię nawet na chwilę spuścić z oka. - Prychnął pogardliwie. - Sama przyznałaś, że zepsułaś piwo.

- Tak, ale nie zatrłam go. Nie kłamię. Przyznaję, że starałam się podkopać twój autorytet, ale nie kłamię. Poza tym moja matka również jest chora. Starałam się

utrudnić życie tobie, ale nigdy nie skrzywdziłabym własnej matki! Cokolwiek o mnie myślisz, musisz mi uwierzyć.

Jedyną odpowiedzią było nieokreślone chrząknięcie. Fitz Osbern nie spuszczał z niej gniewnego spojrzenia.

- Jeśli twoi ludzie zostali otruci, to moja matka też. - Rosamund przycisnęła drżące palce do ust.

- Jak ona się czuje? - zapytał, przyglądając jej się bacznie.

W jego głosie nie było słychać współczucia.

- Jest chora. Wdowa Kempe była u niej i dała jej werbenę na sen.

- Podziałało?

- Chyba już trochę jej lepiej. Przestała wymiotować.

Zdała sobie jednak sprawę, że Gervase jej nie słucha. Najwyraźniej myślał już o czymś innym. Utkwił wzrok w scenie myśliwskiej na gobelinie i zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się nad czymś nieprzyjemnym.

- O co chodzi? - zapytała.

- Jeśli to nie ty zawiniłaś - mruknął - to istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Lecz jeśli się okaże, że to jednak twoja sprawa...

Nie dokończył, zostawił ją pośrodku komnaty.

Jeśli to nie była trucizna, to skąd wzięła się w zamku choroba, która położyła niektórych, a ominęła innych? Rosamund przypomniała sobie, co jej matka mówiła o baraninie, i rozpoczęła dochodzenie. Wysłała opornego Pennarda, by wypytał chorych żołnierzy, co dokładnie jedli podczas wieczerzy. Informacje, które uzyskał, wydawały się potwierdzać jej przypuszczenia. Znalazła Fitz Osberna, który wychodził z kuchni z poczuciem porażki. Wyminąłby ją bez słowa, ale stanęła tuż przednim.

- Czy jadłeś wczoraj wieczorem baraninę, panie?

- Nie. - Chciał przejść obok niej, ale Rosamund pochwyciła go za rękaw.

- Proszę cię, panie. Ja też nie jadłam baraniny, ale moja matka tak, podobnie jak ci z twoich ludzi, którzy zachorowali.

Zatrzymał się i skupił na niej wzrok.

- Ha! - wykrzyknął, po czym obrócił się na pięcie i znów zniknął w kuchni.

Od tej chwili Fitz Osbern przejął kontrolę nad sytuacją. Centrum operacji przeniosło się z kuchni na dziedziniec w pobliże studni. Rosamund zajrzała do matki, która spała i wyglądała już znacznie lepiej, po czym stanęła na schodach przy wielkiej sali, patrząc, co się dzieje na dziedzińcu. Wolą trzymać się na dystans. Fitz Osbern, Hugh de Mortimer, który również uniknął pomoru, i jeszcze czterech zdrowych żołnierzy, a także Owen z długą liną kręcili się wokół studni, drżąc na zimnym wietrze.

Opuścili wiaderko, wyciągnęli je, obejrzelik dokładnie zawartość i wylali ją na dziedziniec.

- Sprawdźmy, co tam jest. Owen, ty musisz to zrobić. Jesteś najchudszy i tylko ty nie utkniesz w środku - rzekł Fitz Osbern.

Obwiązali chłopca w pasie liną i opuścili go do studni wraz z wiaderkiem.

Rosamund wycofała się ze schodów, zadowolona, że Fitz Osbern przejął ciężar dowodzenia na siebie. Miała ochotę zostać tu i patrzeć, ale rozsądek podpowiadał, że nic dobrego jej z tego nie przyjdzie. Wiedziała, że Fitz Osbern i tak ją znajdzie, niezależnie od wyników poszukiwań.

- A więc to jest to. - Hugh de Mortimer trącił czubkiem buta leżący przed nim na dziedzińcu dowód w postaci kupki czarnego futra i pazurów.

- Tak sędzę - stwierdził Gervase i spojrzalik na Owena, który stał u boku, drżąc z zimna w mokrym ubraniu. - Dobrze się spisałeś, chłopcze. Zmykaj do kuchni, przebierz się w coś suchego i napij się piwa. Powiedz kucharce, żeby cię nakarmiła, tylko nie baranią.

Uśmiechnięty Owen zniknął, pozostawiając Gervase'a sam na sam z faktami. Zatruta woda, po prostu. Teraz musiał dokładnie wyczyścić studnię, a do tego miał jeszcze jedną, pilniejszą rzecz do zrobienia. Musiał przyznać, że się pomylił. Bez żadnych dowodów oskarżył tę wiedźmę de Longspey o otrucie żołnierzy. Należały się jej przeprosiny. Łotr spod ciemnej gwiazdy zapewne nikogo by nie przepraszał, ale Fitz Osbern nie chciał posuwać się aż tak daleko w odgrywaniu tej roli. Bez wątpienia

panna ściągnęła podejrzenia na siebie przez własną głupotę, ale nie zasługiwała na tak ostre słowa. Przypomniawszy sobie jej bladość. Teraz, z perspektywy, zdawał sobie sprawę, że musiała bać się o matkę, a on tylko pogorszył sytuację, oskarżając ją o trucicielstwo. No cóż, musiał ponieść konsekwencje tego oskarżenia.

Zostawił de Mortimera, by pilnował czyszczenia studni, i poszedł do wielkiej sali. Nie było tam Rose, skierował się zatem do bawialni. Bez słowa wpuściła go do środka. Musiał przyznać, że stawiała mu czoło dumnie i z godnością, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Dostrzegał jej doskonałą samokontrolę, ale zauważył też, że nerwowo wytarła ręce o suknię, nie była zatem tak spokojna, jak pragnęła się wydawać.

- I cóż, panie, czy to była trucizna? Jeśli tak, to przysięgam, że nie ja jej użyłam.

Zauważył łzy lśniące w jej oczach i uznał, że pora uspokoić Rosamund.

- Nie, to nie była trucizna. Kot wpadł do studni i zatrzał wodę. Widywałem już podobne rzeczy wcześniej. - Nie wspomniawszy, że chodziło o ludzkie ciała podczas kampanii wojennych.

- Przecież nikt nie pije wody.

- Baranina była zakonserwowana solą, więc kucharka odmoczyła ją w świeżej wodzie przed gotowaniem. Ta woda zatrzała mięso.

- Rozumiem. - Zapadło milczenie. Fitz Osbern nie wiedział, co powiedzieć. - Ci, którzy zjedli to mięso, powinni wkrótce wydobrzcć. De Mortimer pilnuje czyszczenia studni.

- Tak, oczywiście.

Niczego mu nie ułatwiała. Wzrok wciąż miała utkwiony w jego twarzy. Niepokój w jej oczach poruszył jego sumienie.

- To kolejny skutek złego zarządzania domem. Studnia musi być przykryta. Wydałem już odpowiednie polecenia Pennardowi. A teraz wybac mi, pani, muszę zajrzeć do moich ludzi.

- Wdowa Kempe jeszcze tu jest. Przyślę ją do ciebie.

Fitz Osbern odetchnął głęboko.

- Muszę cię przeprosić, pani. Myliłem się.

- Tak.

- Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny. - Nie potrafił powiedzieć niczego więcej. Nie mógł wyciągnąć do niej ręki w geście pocieszenia. Znał swoje granice. Gdyby tak zrobił, pokusa, by wziąć ją w ramiona, byłaby zbyt wielka. Dodał więc tylko: - Mam nadzieję, że hrabina wkrótce wyzdrowieje.

Gdy Rosamund została sama, zaczęła się zastanawiać nad wydarzeniami ostatnich tygodni. Obawiała się, że Fitz Osbern miał rację. Zbyt daleko posunęła się w swej determinacji, by nie wpaść w ramiona Ralpa de Morgana. I choć Gervase przeprosił ją za pomówienie, zaraz potem wyszedł, jakby nie mógł znieść przebywania z nią w jednym pomieszczeniu. Nie mogła go za to winić.

Świadomość własnych uczynków oraz niepokój o matkę zaległy ciężarem na jej sercu. Petronilla była wciąż słaba, ale następnego dnia wieczorem usiadła na łóżku i odzyskała już siły na tyle, by rozmawiać. W niczym jednak jej nie pomogła.

- Jesteś jakaś nieswoja - oznajmiła córce. - Do jutra powinnam już zupełnie wyzdrowieć. Czuję się wyczerpana i kręci mi się w głowie, ale to nic dziwnego. Słyszałam, że to przez kota. Nigdy nie lubiłam kotów. - Rzuciła ponure spojrzenie szaremu kociakowi, który spał zwinięty w kłębek w nogach jej łóżka, a potem zerknęła podejrzliwie na miskę rosółu na kolanach Rosamund. - Nie chcę tego. Nie mam ochoty jeść, ale przypuszczam, że będziesz tu siedziała i patrzyła na mnie gniewnie, dopóki przynajmniej nie spróbuję.

Rosamund uśmiechnęła się. Humor wracał matce, to był dobry znak.

- Oskarżył mnie, że otrułam jego ludzi.

- Nie dziwi mnie to. A czego się spodziewałaś, Rose? Ostrzegałam cię, że posuwasz się za daleko. Próbowalaś go wyziębnić, podawałaś mu spalone albo zimne jedzenie. Masz za swoje. - Gdy córka niespokojnie poruszyła ramionami, spytała: - Czy lord Hugh jadł tę baraninę?

- Nie. Możesz się uspokoić. Jest zdrowy jak koń i przez cały czas pyta o ciebie. Musiałam zabarykadować drzwi, bo inaczej stałby tu przez cały czas i patrzył, jak

zdrowiejsz. Sądziłam, że nie byłabyś tym zachwycona.

Usta Petronilli drgnęły w uśmiechu.

- Nie, ale cieszy mnie wiadomość, że jest zdrowy. A teraz idź już, moja droga, chcę spać.

Rosamund znów została sama. Fitz Osbern miał na tyle przyzwoitości, by ją przeprosić. Nie miała ochoty wiecznie znosić jego zimnego spojrzenia, toteż uznała, że ona również powinna wyciągnąć rękę do zgody, choć sama nie wiedziała, dlaczego ma to dla niej znaczenie.

Było późno. W wielkiej sali uprzątnięto już po wieczerzy. Rosamund skierowała kroki do zachodniej wieży. Jeśli chciała zasnąć ze spokojnym sumieniem, to nie mogła czekać.

- Muszę z tobą pomówić, panie. To ważne. - Postanowiła, że będzie niezmiernie uprzejma, nawet gdyby próbował ją prowokować. Chciała naprawić ich stosunki, by mogli żyć w miarę zgodnie pod jednym dachem, dopóki... no cóż, dopóki nie wymyśli jakiegoś innego sposobu, by zachować niezależność.

Na jej widok Hugh de Mortimer, który siedział wraz z Gervase'em nad stertą dokumentów i dzbanem wina, natychmiast podniósł się na nogi. Gervase po chwili uczynił to samo.

- Jak się czuje lady Petronilla? Czy już wyzdrowiała?

- O wiele lepiej, panie. Przysięgła, że nigdy więcej nie weźmie do ust baraniny.

Hugh podszedł do niej i wziął ją za rękę. Jego zwykle uśmiechnięte oczy tym razem były poważne.

- Przekaż moje serdeczne pozdrowienia swojej matce. Mam nadzieję zobaczyć ją jutro. - Poszedł do drzwi. - A teraz zostawię was. Dobranoc, lady Rosamund. Dobranoc, Ger.

Ledwie drzwi zamknęły się za nim, Rosamund zaczęła mówić. Były to słowa, które przygotowała sobie wcześniej, proste i bez emocji.

- Przyszłam prosić cię o wybaczenie, panie. Przyznaję, że zasłużyłam na twój brak zaufania.

Powoli, jakby zastanawiając się, ile te słowa są warte, Gervase podszedł do skrzyni, napełnił puchar winem i podał jej.

- A więc kompromis między nami jest możliwy? - zapytał w końcu.

Cóż miała odpowiedzieć? Nie chciała doprowadzić do sytuacji, w której musiałaby obiecać, że zostawi Clifford w jego rękach.

- Tak jak mówisz, panie. Kompromis. Nie będę starała się uprzykrzać ci życia ani przysparzać trudności w gospodarstwie.

Przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy, po czym skinął głową.

- Wypijmy za to.

No cóż, nie okazał jej żadnych ciepłych uczuć, ale w każdym razie nie wyprosił jej z komnaty. Wskazał zydeł, ale potrząsnęła głową. Zrobiła już to, co chciała zrobić, i nie zamierzała zostawać tu dłużej.

- Pójdę już.

- Nie możemy tak tego zostawić. Musisz wysłuchać moich argumentów - rzekł stanowczo. - To nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie. Czy rzeczywiście nie uda mi się przekonać cię, byś stąd wyjechała? Twoja matka z pewnością wolałaby zamieszkać w jakimś innym miejscu, ale nie zostawi cię tu samej, a nie wierzę, że podoba ci się w Clifford po tym, jak mieszkałaś w Salisbury. Forteca przygraniczna nie jest odpowiednim miejscem dla żadnej z was. To miejsce z pewnością nie ma dla ciebie żadnego sentymentalnego znaczenia.

Te słowa wzbudziły w niej natychmiastowy odzew.

- Nie znoszę tego zamku. - Wyczerpana po całym dniu napięcia, przestała mieć się na baczności i zbyt późno zdała sobie sprawę, jak głupio i niedojrzale zabrzmiały te słowa.

Gervase jednak zdawał się tego nie zauważać.

- Więc wyjedź, a lady Petronilla będzie dziękować Bogu za twoją decyzję.

- Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Wiem, dlaczego nie chcesz wrócić do earla Gilberta - oznajmił - ale mimo wszystko...

- Co takiego?!

- Wiem, dlaczego nie chcesz wrócić do earla Gilberta - powtórzył, nieświadom, jak bardzo ją tym upokarza. - Bo obiecał cię za żonę Ralphowi de Morganowi.

Krew z żyłach Rosamund zlodowaciała.

- Skąd o tym wiesz?

- Twoja matka powiedziała de Mortimerowi.

Ostatkiem sił wzięła się w garść.

- Mogłam się tego domyślić.

- Szczerze ci współczuję.

- Nie chcę twojego współczucia - odparowała zimno.

Dlaczego matka musiała wygadać się o tym małżeństwie? Rosamund czuła wstyd, jakby niedostatki kandydata na pana młodego były jej winą, jakby nie potrafiła przyciągnąć do siebie atrakcyjniejszej oferty. Bolesnie wspominała odrzucenie przez Fitz Osberna, dlatego jego współczucie tym bardziej bolało i upokarzało. Odstawiła puchar, odwróciła twarz, by nie okazywać po sobie poruszenia, i ruszyła do drzwi, mówiąc na koniec:

- Nic ci do mojego małżeństwa, panie.

On jednak pochwycił ją za rękę.

- To prawda, pani, ale dlaczego dotychczas nie wyszłaś za mąż? Jesteś dobrze wychowana, ładna i ustosunkowana. Dlaczego w ogóle musisz brać pod uwagę kandydaturę Ralpa de Morgana? Z pewnością masz lepsze propozycje.

- To łatwo wyjaśnić, panie. - Jakimś cudem udało jej się zachować spokój. Nie próbowała wyrywać rąk. Nie chciała jego współczucia, ale tym bardziej nie życzyła sobie, by oskarżył ją o użalanie się nad sobą. - Owszem, ubiegało się o mnie kilku mężczyzn. Jeden z nich zginął od ciosu nożem w brzuch w bójkę pijackiej w Salisbury, inny w potyczce o skrawek ziemi na skraju posiadłości, a jeszcze jeden po prostu zmarł, podobno na ospę. - Wymieniała ich takim tonem, jakby była to lista zapasów w spiżarni. - Wielu ludzi powiedziałoby, że był to dla mnie szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Miałaś pecha - zauważył Gervase lakonicznie.

- Tak. A teraz puść mnie, panie.

Na jego twarzy malował się wyraz, którego nie potrafiła przeniknąć.

- Sądziłem, że nie wyszłaś dotychczas za mąż - wymruczał, przyciągając ją bliżej do siebie - bo żaden mężczyzna nie potrafił znieść twojego temperamentu. Gdy patrzysz na mnie taka skrzywiona jak teraz, jestem w stanie w to uwierzyć.

Opanowanie Rosamund zniknęło w jednej chwili.

- Mój stan paniński nie jest twoją sprawą!

- No cóż, nie jesteś łagodną kandydatką na żonę. Przekonałem się o tym już wielokrotnie.

Złość Rosamund rosła z chwili na chwilę.

- Przeprosiłam cię już za swoje niemądre poczynania. Czy to nie wystarczy?

- Przeprosiłaś, ale wciąż nie jestem pewien, czy mogę ci zaufać.

- No cóż, ja nie ufam tobie - odparowała. - Okazujesz mi współczucie i łagodną mową próbujesz przekonać, bym stąd wyjechała dla dobra mojej matki, ale nigdy mnie nie przekonasz, że jesteś lepszy od rabusia, za jakiego w pierwszej chwili cię wzięłam.

Tym razem to na jego twarzy błysnęła złość.

- Łagodną mową? Nie usłyszysz ode mnie żadnych łagodnych słów, pani.

Jeśli oczekiwała, że Fitz Osbern puści ją, nie mogła się bardziej pomylić. Zacisnął ręce jeszcze mocniej, aż straciła równowagę. Jego ramiona zamknęły się dokoła niej, więżąc ją w stalowym uścisku. Podniosła wzrok i zobaczyła jego przy-mrużone oczy utkwione w swojej twarzy. W następnej chwili pocałował ją. Zakreśliło jej się w głowie, ale nim zdążyła zareagować, podniósł głowę.

- W końcu zamknąłem ci usta. Naprawdę jesteś piękna, moja droga Rose, szczególnie gdy się złościś.

Patrzyła na niego ze zdumieniem. Sądziła, że wzbudza w nim wyłącznie niechęć.

- Może moje pocałunki łatwiej będzie ci przyjąć niż łagodne słowa.

- Są mi wstrętne. Jak możesz zachowywać się w ten sposób wobec bezbronnej kobiety?

- Wydaje mi się, że potrafisz doskonale się bronić, lady Rosamund. Może to sprawdzimy?

Pocałował ją raz jeszcze, tym razem gwałtownie i namiętnie, aż zaparło jej dech i wszystkie myśli uleciały z głowy. Nie miała najmniejszej ochoty z nim walczyć.

- Rose - wymruczał z ustami przy jej ustach.

Nie odepchnęła go, tylko mocniej zacisnęła palce na rękawach jego szaty. Nie uwierzyłaby wcześniej, że można tak mocno pragnąć męskiego dotyku. Gdy przesunął palcami po jej szyi, odchyliła głowę do tyłu i wbrew sobie szepnęła:

- Gervase...

Na palenisku kłoda trzasnęła i trysnęła snopem iskier. To przywróciło Rosamund do przytomności, w jej głowie zadźwięczał dzwonek alarmowy. Nie wolno się poddać, w końcu Fitz Osbern był jej wrogiem, gotowym w każdej chwili wypędzić ją z zamku. Z pewnością na tym właśnie polegał jego plan. Dobrze wiedział, co robi, lecz ona nie da się zastraszyć.

Wysunęła się z jego objęć. Błysk zniknął z jego oczu, teraz były szare i nieprzeniknione jak kamień. Czy ten pocałunek miał być karą dla niej? Czy Gervase zamierzał wzbudzić w niej pożądanie, a potem ją zostawić? Była w stanie uwierzyć we wszystko. Dlaczego przestała mieć się na baczności. To był błąd.

Poczuła, że jej policzki oblewa rumieniec, a do oczu napływają łzy. Musiała uciec stąd jak najszybciej, nim Fitz Osbern zdąży wyrządzić jej jeszcze większą krzywdę.

- Wybacz, panie. Pozwól mi już odejść.

Jego dłonie, dotychczas spoczywające na jej ramionach opadły. Podeszedł do drzwi i otworzył je z krótkim skinieniem głowy.

- Proszę.

Bez jednego słowa ani spojrzenia przemknęła obok niego z wysoko uniesioną głową i godnie zeszła ze schodów, przez cały czas czując na sobie jego wzrok.

Rozdział siódmy

Petronilla wstała z łóżka. Czuła się jeszcze słabo, ale zdrowie jej wracało, nie mogła tylko myśleć o jedzeniu. Była jednak przygnębiona. Z jakiegoś powodu czuła na sobie ciężar minionych lat. Uznała, że się starzeje. Jak kobieta może tryskać optymizmem, gdy zbliża się do czterdziestki?

Pomyślała, że świeże powietrze dobrze jej zrobi. Potrzebowała rozmowy z kimś, kto mógłby jej doradzić.

Edith splotła jej włosy w zwykłą koronę. Petronilla spojrzała w wypolerowane srebrne lustro, które dostała od earla Williama jako prezent ślubny, i jej nastrój opadł. Pod oczami dostrzegła zmarszczki, chyba wyraźniejsze niż poprzedniego dnia. Błada twarz nieco straciła na delikatności od zimowych wiatrów. Bogu dzięki, włosy miała tak jasne, że nie było na nich widać siwizny.

Koniecznie trzeba było coś z tym zrobić. Edith przeszukała skrzynie i wyciągnęła cenny słoik z różem. Nałożony na usta i policzki, znacznie poprawił wygląd. Hrabina nie sprawiała już wrażenia, jakby dopiero co wywinęła się śmierci spod kosy. Earl William nie aprobował takich metod, ale nie musiała się już liczyć z jego zdaniem.

Znalazła de Mortimera w wielkiej sali, przy śniadaniu. Wzdrygnęła się na widok jedzenia, lecz dosiadła się do stołu. Hugh odłożył nóż i skupił na niej uwagę.

- Droga pani, wydaje mi się, że zaczynasz wracać do zdrowia.

- Wrócę, jeśli nie będziesz, panie, jeść tej pieczeni na moich oczach. - Hugh z przeproszającym wyrazem twarzy natychmiast odsunął talerz na bok. - Potrzebuję informacji, panie, i myślę, że powiesz mi to, co chciałabym wiedzieć. Co zaszło między moją córką a Fitzem Osbernem?

- Mniejsza o Fitza Osberna.

Petronilla spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jak to?

Ujął jej dłonie. Poczowała się dziwnie bezpiecznie. Uniosła wzrok na jego twarz.

Ujrzała na niej współczucie i spokojną mądrość, i nie po raz pierwszy w życiu pożałowała, że jej rumieniec ujawnia wszystkie emocje.

Tymczasem lord z pogranicza, który wyrzekł się wszelkich myśli o powtórnym małżeństwie, poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej. Petronilla nie wyglądała zbyt zdrowo, ale to nie powinno go dziwić. Dłonie, które trzymał w swoich, były chłodne, a jej zachowanie stonowane. Wydawała się też wyczerpana z energii, ale Hugh z łatwością mógł sobie wyobrazić tę twarz rozświetloną uśmiechem, szare oczy promieniejące radością. Tego dnia jednak daleko jej było do śmiechu.

- O co chodzi? - zapytał łagodnie, właściwie nie oczekując odpowiedzi. Petronilla nie była kobietą skłoną do zwierzeń, chciał jednak podnieść ją na duchu. - Bo chyba nie o te przepychanki między Rosamund a Fitzem Osbernem?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie, ale to nic ważnego. Wybacz, panie, jestem kiepską towarzyszką.

- Nigdy w to nie uwierzę.

Gdy spojrzała na niego z ukosa, Hugh poczuł się poruszony smutkiem w jej oczach.

- Moje doświadczenia mówią mi co innego.

- A moje doświadczenia mówią mi, że przydałby ci się ktoś, kto poprawiłby ci nastrój. Może zdecydujesz się na kolejne małżeństwo i na wyjazd do Londynu na dwór Henryka?

- Nie.

No cóż, to była bardzo zdecydowana odpowiedź. Zastanawiał się, skąd u niej taka determinacja.

- Jeśli mogę się ośmielić, to wydajesz mi się, pani... - Zawahał się, gdy podniosła na niego wzrok. - Atrakcyjna. Jestem pewien, że wielu mężczyzn z Worcester chciałoby cię pojąć za żonę, gdy wrócisz do Lower Broadheath.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż.

- Dlaczego nie? Czyżbyś miała tak niskie zdanie o mężczyznach?

- Nie w tym rzecz. - Podniosła się, jakby zamierzała odejść, zapominając, że

przyszła szukać u niego rady.

Hugh miał nadzieję, że earl Salisbury i John de Bredwardine przez całe wieki będą się smażyć w piekle. Zastanawiał się, jak mógłby przekonać tę damę, że istnieją również mężczyźni godni szacunku. Położył dłoń na jej ramieniu i pociągnął ją z powrotem na ławę.

- Wcześniej zwracałaś się do mnie po imieniu. Czy moglibyśmy do tego wrócić?
- zapytał z błyskiem w oczach. - Pytałaś o nasz drobny konflikt domowy. No cóż, obydwójce przeprosili i o ile wiem, na tym cała sprawa się zakończyła. Zdaje się, że lady Rosamund obiecała poprawić swoje zachowanie.

- Nie pokładałabym zbyt wielkich nadziei w tej obietnicy.

- Nie wierzysz jej? - Hugh potarł nos. - Ja sam na razie nic nie zauważyłem. Fitz Osbern jest zamyślony, choć z drugiej strony, on nigdy nie był gadatliwy. Dość jednak o tym. - Podniósł się i wyciągnął rękę. - Nie ma sensu martwić się o coś, co może w ogóle się nie zdarzyć. Skoro wstałaś już z łóżka, pani, to może przechadzka wzdłuż palisady pomogłaby ci wrócić do pełni zdrowia?

Bez wahania włożyła rękę w jego dłoń.

- Mam pod ręką płaszcz właśnie na taką okoliczność i jeśli zechcesz mi towarzyszyć, panie, chętnie się przejdę.

- Hugh - rzekł z naciskiem, podnosząc jej rękę do ust.

- Tak, Hugh. - Uśmiechnęła się.

- Pozwól, Nell.

Pozwoliła, by narzucił jej płaszcz na ramiona i spiął pod szyją broszą. Jak na tak dużego mężczyznę, dłonie miał zadziwiająco zręczne. Ciepło, które ją ogarnęło, nie było wywołane przez zimowe słońce. Jakże przyjemnie było rozmawiać z mężczyzną, który doskonale potrafił zrozumieć jej myśli i troski, który całował jej palce dlatego, że sprawiało mu to przyjemność, a nie tylko jako oficjalny wyraz szacunku, i który rzeczywiście troszczył się o jej dobro!

Podczas gdy Hugh de Mortimer przyznał przed samym sobą, że lady Petronilla

de Longspey pociąga go, i postanowił złamać jej zrozumiały opór, życie w zamku wróciło na zwykłe tory. By oderwać myśli od ostatnich wydarzeń, Rosamund zajęła się doprowadzeniem do porządku wschodniej wieży, dotychczas zaniedbanej. Pomagał jej w tym, aczkolwiek niechętnie, Pennard. Kamienne mury były mocne, wieża, pozbawiona nawet podstawowych sprzętów, wymagała jedynie solidnego czyszczenia, by dało się tam zamieszkać.

Właśnie wracała do wielkiej sali, po drodze wydając ochmistrzowi polecenia, gdy usłyszała jakiś hałas z drugiej strony dziedzińca i zgrzyt otwieranej bramy.

- Co się dzieje?

- Przywieźli kamień, pani, do wzmocnienia palisady. Pan Fitz Osbern chce ją przebudować - wyjaśnił Pennard i oddalił się z listą w rękę.

Dlaczego mężczyźni musieli robić takie zamieszanie przy każdej, najprostszej nawet czynności? Rosamund stanęła na zewnętrznych schodach, by popatrzeć. Żołnierze z garnizonu rozładowywali przywieziony kamień, przesuając wielkie bloki za pomocą lin, drążków i drewnianych klinów. Robili przy tym mnóstwo hałasu i żartowali rubasznie, gdy kamienne bloki opadały o cal od ich stóp. Rosamund nie po raz pierwszy widziała mężczyzn zachowujących się grubiańsko. Dobrze pamiętała przyrodnych braci. To nie było odpowiednie miejsce dla kobiety obdarzonej wrażliwymi uszami.

Została jednak, z ciekawością patrząc na rozładunek. Słońce świeciło jasno, choć zimny, północny wiatr niósł pojedyncze płatki śniegu. W końcu cały kamień znalazł się na ziemi i wozy odjechały. Z warzelni przyniesiono dzbany z piwem. Mężczyźni naciągnęli wody ze studni i nie zważając na to, że była lodowata, splukiwali z siebie kurz i brud po ciężkiej pracy, wstrząsając się z zimna. Patrząc na nich, Rosamund zadrżała.

Naraz skupiła spojrzenie i postąpiła o krok naprzód. Powinna się była domyślić, że nie tylko prości żołnierze zabawiali się w ten sposób. Zdawało się, że napotykała go wszędzie, gdziekolwiek zwróciła wzrok. Nie zadowalał się wydawaniem rozkazów, lecz sam również pracował, ciągnąc sznury i podkładając dźwignie, a teraz

stał pośrodku dziedzińca ubrany tylko w nogawkę i buty.

Rozsądek kazał jej wracać do środka, miała jednak ochotę patrzeć dalej. Był wspaniale zbudowany. No cóż, domyślała się tego nawet pod ciężkimi, wełnianymi szatami, które zwykle nosił, a teraz miała przed sobą potwierdzenie wszystkich swych wyobrażeń. Mocne mięśnie pleców i ramion kurczyły się i rozkurczały niczym fale na powierzchni wody. Skóra zbrązowiała od kampanii wojennych i prac fizycznych pokryta była kropelkami wody. Szczupła talia przechodziła w smukłe biodra i długie, mocne nogi. Zaszło jej w ustach, a dłonie zaciśnięte na zwoju pergaminu zwilgotniały.

Gervase podniósł głowę, przeciągnął dłonią po włosach i spojrzał w jej stronę, jakby przyciągnięty jej wzrokiem. Nawet z tej odległości zauważył na jej twarzy rumieniec. Odwróciła się do drzwi, ale nim zdążyła cofnąć się w cień, Fitz Osbern podniósł kufel do ust i skłonił się nisko. A więc zamierzał z niej kpić. Znieruchomiała, speszona, zaraz jednak strzepnęła pajęczyny z sukni i odpowiedziała mu wytwornym, równie oficjalnym dygnięciem.

- Na co tak patrzysz, Rose? Czy mamy gości? - Hrabina i Edith stanęły obok niej. - Ach! - Petronilla powiodła wzrokiem tam, gdzie patrzyła jej córka, i zaśmiała się cicho. - Gdybym była o dwadzieścia lat młodsza, też bym na niego patrzyła. No niech tam, o dziesięć.

- Wszystkie pokojówki z zamku przyglądają mu się - dodała Edith i jakby na potwierdzenie jej słów od strony kuchni rozległy się dziewczęce śmiechy.

Rosamund spojrzała na nią chmurnie.

- W takim razie nie jestem lepsza od nich.

- Musisz jednak przyznać, Rose, że jest na co popatrzeć.

Westchnęła głośno i z rumieńcem na policzkach uciekła do wielkiej sali.

- Nie ma sensu zaprzeczać - obwieściła pustym ścianom. - Jego widok rozpala we mnie krew.

Cóż ona wyprawiała? Gervase Fitz Osbern stał na blankach, pochylony nad planami barbakanu, który zamierzał wybudować, dzięki czemu zamek miał się stać

najsilniejszą twierdzą na pograniczu, zdolną powstrzymać najazdy Walińczyków z drugiej strony rzeki Wye, gdy od strony stajni, którą pokrywano strzechą, dobiegły go podniesione głosy. Jeden z tych głosów był atrakcyjnie niski, o zmysłowej barwie, ale w tej chwili wyraźnie z czegoś niezadowolony; drugi uprzejmiejszy, lecz stanowczy. Gervase podszedł bliżej, chcąc się przekonać, co zirytowało ją tym razem.

- Chcę się przejechać, sir Thomasie. Proszę, osiodłaj moją klacz.

- Rozkazy lorda Fitz Osberna stanowią jasno, że nie możesz wyjeżdżać poza bramy bez eskorty, pani.

Gervase uśmiechnął się do siebie, słysząc w jej głosie determinację i rosnącą złość.

- Teraz to ja ci rozkazuję!

- Z eskortą albo wcale, pani. Na zewnątrz jest zbyt niebezpiecznie.

- Cóż to za niebezpieczeństwa?

- Lord Mortimer donosi, że plemiona Walińczyków są niespokojne. Zdarzyły się ataki.

Gervase niemal usłyszał ciężkie, zirytowane westchnienie.

- W takim razie nie mam wyboru.

- Nie, pani.

Uśmiechnął się do siebie ponuro, odnalazł Owena, wydał mu kilka poleceń i wrócił do szkiców. Tymczasem osiodłano klacz i Rosamund wyjechała z zamku w towarzystwie czterech żołnierzy. Owen po chwili zrównał się z nimi. Z powodów, których wolał nie dociekać, Gervase wspiał się na stanowisko wartownika nad bramą, by popatrzeć.

Dobrze jeździła konno. Siedziała na siodle prosto i z wdziękiem. Chłodne powietrze wywołało rumieniec na jej twarzy, warkocze łopotały na wietrze jak dwa żywe płomienie. Popędziła konia do szybszego biegu i jej sylwetka załśniła na tle nieba jak wyzłocony jesienią buk. Był to pierwszy od wielu dni pogodny dzień, bez żadnej chmury na niebie, przejażdżka była więc czystą przyjemnością i Gervase pożałował, że nie pojechał razem z Rose. Któremu mężczyźnie galopowanie u boku

takiej kobiety nie sprawiłoby przyjemności?

- Myślałem, że może wybierzesz się razem z nią - zauważył Hugh, opierając się o mur obok niego.

- Gdybym jej to zaproponował, od razu posłałaby mnie do diabła. Nie chciała żadnej eskorty, a cóż dopiero mojej.

- Ładna kobieta.

- Jest piękna - mruknął, nie zdając sobie sprawy, co mówi.

Nie zauważył również, że Hugh mierzy go badawczym spojrzeniem. Cała jego uwaga skupiona była na pannie, która wyglądała jak postać z witrażu: pełna życia i energii, na gniadej klaczy i w intensywnie niebieskim płaszczu.

Jego wzrok zahaczył o ogrodzony płotem, zarośnięty zakątek na wschód od wieży. To był zaniedbany ogród kuchenny. Teraz, w środku zimy, pełen martwych gałęzi i stert gnijących liści, wyglądał wyjątkowo nieprzyjemnie. Rosamund próbowała go uporządkować, zapewne po to, by mieć okazję do wyjścia z zamku. Ten ogród przywiódł do Gervase'a nieprzyjemne, przepełnione poczuciem winy wspomnienia.

Matilda pracowała w tym ogrodzie podczas ich krótkiego małżeństwa. Pamiętał, jak z podciągniętą spódnicą zbierała do koszyka zioła, wrywała cebulę i wykonywała inne kobiece obowiązki. Była zachwycona swoim pierwszym domem i pozycją pani na Clifford. Opowiadała mu z entuzjazmem, jak wielką przyjemność sprawia jej hodowanie ziół we własnym ogrodzie, do którego jej matka nie mogła się już wtrącać. Wybuchala śmiechem, gdy gałęzie starej gruszy wplątywały się w jej włosy i ściągały z nich welon. Była bardzo młoda i pełna nadziei na ich wspólne życie, on zaś przyglądał się temu pobłaźliwie. Od tego czasu minęło już wiele lat, ale było to jedno ze wspomnień, które pozostały z nim na zawsze.

A teraz widział w tym ogrodzie Rosamund. Jej obraz wypełniał przestrzeń, wypierając ulubione wspomnienia. Sam już nie wiedział, co czuje. W jego wyobraźni to Rosamund grabiła stare liście, przycinała gałęzie, ze zdumiewającą wprawą machała sierpem. Czarująca scena, pomyślał z przekąsem, i usłyszał śmiech

kuchennych dziewczek, które próbowały zapędzić kurczaki do zagrody. Bryn porzucił miejsce u boku swego pana i przyłączył się do nagonki. Śmiejąc się do rozpuku z chłopca kuchennego, który niezręcznie próbował zagonić kury za ogrodzenie, Rosamund pochwyciła charta za obrozę i przytrzymała go przy sobie. Wszystkie myśli o Matildzie zniknęły z głowy Gervase'a, zastąpione płomieniem pożądania. W tej chwili wyłącznie Rosamund wypełniała jego wyobraźnię.

Ojciec powiedział mu kiedyś, gdy po trzecim kuflu piwa nasza go ochota, by udzielać synowi rad: ożeń się z młodą dziewczyną, którą będziesz mógł wyszkolić w dawaniu ci przyjemności, jak młodego konia albo szczeniaka. Jeśli weźmiesz sobie starszą niewiastę, przez całe życie będziesz miał kłopoty. Niezależność uderza kobietom do głowy. Zaczyna im się podobać to, że mogą robić wszystko po swojemu. Ożeń się z młodą dziewczyną, a będziesz miał dom prowadzony tak, jak sam zechcesz. No cóż, Gervase poszedł za radą ojca i ożenił się z Matildą. Teraz, z perspektywy czasu, uświadamiał sobie, że jej nie kochał, ale bardzo lubił. Zapewne dobrze byłoby im razem; dochowałiby się gromadki dzieci, które poniosłyby dalej nazwisko Fitzów Osbernów.

Zamrugał, odpędzając niejasny obraz. Prawdę mówiąc, nie potrafił już sobie wyobrazić, że miałby się zestarzeć u boku Matildy, choć gdy o tym myślał, ogarniało go poczucie winy. Rosamund de Longspey miała wszystkie cechy, przed którymi ostrzegał go ojciec, i z pewnością nie byłaby wygodną, posłuszną żoną, ale potrafił sobie wyobrazić, że wraca do niej do domu i wypatruje jej na blankach Monmouth, a ona wita go z uśmiechem w oczach i dzieckiem w ramionach, patrząc na niego oczami zielonymi jak liście buka.

Skrzywił się. Tej kobiety w ogóle nie powinno tu być. Jej miejsce powinna zajmować Matilda. Źle się czuł ze świadomością, że tak łatwo zapomina żonę. Roześmiał się na głos, gdy zauważył w oddali Bryna biegnącego obok klaczy Rosamund. To by było tyle, jeśli chodzi o lojalność. Pies został zupełnie zawojowany przez mięką dłoń, która drapała go za uchem i potajemnie dokarmiała na boku.

- Powinni być bezpieczni. - Wzruszył ramionami, oderwał się od ściany i po

przyjacielsku uderzył de Mortimera w ramię. - Dość tego gapienia się i podziwiania widoków. Chodź i powiedz mi, co myślisz o tych planach?

W oddali rozległy się krzyki. Gervase odwrócił się na pięcie i krew w jego żyłach zlodowaciała. Nie, pomyślał, tylko nie to. Znów to samo.

Od północy do jeźdźców zbliżała się grupka mężczyzn na szybkich konikach. Słońce rozbłysło na metalu. Gervase i Hugh wpatrywali się w dal przymrużonymi oczami, próbując oszacować niebezpieczeństwo. Z tej odległości nie mogli dostrzec szczegółów, ale wyobrażali sobie ostre miecze i łuki gotowe do strzału.

- Ger, atak! Ale tak blisko...? Chyba nie.

Gervase już zbiegał ze schodów, wykrzykując po drodze rozkazy, oburzony, że Walijczycy odważyli się zaatakować tak blisko zamku. Czy sądzili, że ujdzie im to na sucho? Przede wszystkim jednak czuł lęk, paraliżujący lęk. Znów powtarzała się historia Matildy. Nie widział jej śmierci, tylko ciało, zakrwawione i poszarpane, twarz pokrytą kurzem i krwią. Czy to się zdarzyło w tym samym miejscu? Czy los może uderzyć dwukrotnie z równym okrucieństwem? Czy piorun trafia dwa razy w ten sam dąb?

Czy miał utracić również Rosamund? W tej chwili wołał się nad tym nie zastanawiać.

Najeźdźcy mieli wyraźną przewagę. Bogu dzięki, Owenowi wystarczyło rozsądku, by poszukać schronienia. Żołnierze na dziedzińcu chwyтали już za broń i siodłali konie. Otwierano bramy. Na szczęście giermek i żołnierze z eskorty nie stracili zimnej krwi.

Nie trzeba było wypuszczać jej z zamku, pomyślał. Po chwili już był za bramą i wraz z żołnierzami pędził na odsiecz. W głowie miał tylko jedno: musi dotrzeć do niej wcześniej niż strzały Walijczyków. Dźgał w bok konia ostrogą i gnał przed siebie jak wichur.

A potem zapanował chaos. Od strony Walijczyków rozległy się ostrzegawcze krzyki, gdy dopadli ich pierwsi uzbrojeni rycerze. Napastnicy rozproszyli się i zaczęli uciekać w stronę gór i lasów, ale Gervase nigdzie nie widział trzepoczącego na

wietrze welonu ani niebieskiego płaszcza. Klacz Rosamund leżała na ziemi. To była jego wina.

- Nie szczczędźcie mieczy, przepędźcie ich! - wykrzyknął.

Pośród bitewnego zamętu umysł Gervase'a zaczął funkcjonować w chłodny, skoncentrowany sposób. Walka była krótka i gwałtowna. Rozległy się świsty ostatnich strzał i walijskie kucyki pogalopowały w stronę lasu. Gervase nakazał pościg, ale tylko na tyle, by wystraszyć najeźdźców. Wiedział, że jego ludzie i tak nie są w stanie ich dogonić.

Zsiadł z konia, otarł ostrze miecza z krwi i wsunął go do pochwy. Bryn skakał dokoła jego kolan, szczekając szaleńczo. Zobaczył Owena. Zarumieniony z podniecenia chłopak z trudem łapał dech. Na młodej twarzy malowała się niewypowiedziana ulga.

- Nie mam pojęcia, skąd się wzięli, panie. Ukrywali się w tym zagajniku - wydyszał. - Jeden człowiek jest ranny, straciliśmy też konia. Byli lekko uzbrojeni, więc nie wyrządzili większych szkód. Pani jest bezpieczna. To nie była wyprawa wojenna, tylko grupa awanturników, która skorzystała z naszej nieuwagi.

Gervase przepchnął się obok niego. Jeden rzut oka na żołnierzy przekonał go, że nikomu nie stała się większa krzywda. Ranny koń miał strzałę w barku; można go było wyleczyć. Przekazał komendę de Mortimerowi i skupił się na Rosamund.

Gardło miał zupełnie wyschnięte. Owenowi starczyło rozsądku, by pociągnąć ją między skały i popchnąć na ziemię. Być może dzięki temu uratował jej życie. Gdy Gervase ujrzał, Jak cała i zdrowa niezgrabnie podnosi się na nogi, jego ulga w jednej chwili przeszła w złość. Pochwycił ją za ramiona i zarzucił brutalnymi oskarżeniami:

- Zobacz, do czego doprowadził twój upór! Naraziłaś życie moich ludzi, nie wspominając już o własnym. Nie myślisz o nikim oprócz siebie! - Zaciskał ręce na jej ramionach, jakby chciał poczuć, że naprawdę jest cała i zdrowa. Przepęłniał go stary żal. Matilda zmarła w ramionach jakiegoś bezimiennego żołnierza, który przyniósł jej pociechę w ostatnich chwilach życia. Jego tam nie było. A teraz podobne nieszczęście omal nie przydarzyło się po raz drugi. Słowa same płynęły z jego ust. - Ja też jestem

winien. Wiedziałem o niebezpieczeństwie, nie powinienem pozwolić ci wyjechać.

Rosamund zamrugła, najwyraźniej nie rozumiejąc powodów jego złości.

- Nie wolno ci więcej lekceważyć rozkazów. Dopóki jestem w Clifford, masz robić to, co ci każę.

Wydawało się, że go nie słyszy. Spojrzenie miała szkliste, w jej oczach wciąż malował się szok, a twarz była blada jak воск. Gniew Gervase'a złagodniał. Zauważył, że patrzyła na coś z przerażeniem i skierował wzrok w tę samą stronę. Wtedy dopiero zrozumiał.

Rosamund wysunęła się z jego uścisku i opadła na kolana obok swojej klaczy, nie zważając na to, że jej spódnice brudzą się błotem i krwią. Powiodła dłonią po cieplej jeszcze, jedwabistej szyi i mrużąc coś, zacisnęła palce na grzywie. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że klacz się nie rusza.

- Ona nie żyje, prawda? - zapytała, gdy Gervase przykucnął obok niej. - Zabili ją?

- Tak... Widzisz, tu trafiła ją strzała.

- Nie sądziłam, że może nam grozić niebezpieczeństwo.

- Któż mógł to przewidzieć? - Gniew minął bez śladu. Łagodnie podniósł Rosamund z ziemi i odciągnął od martwego zwierzęcia. - Musimy wracać.

Zatrzymała wzrok na klaczy.

- Tak, ale...

- Zajmę się tym.

- Przykro mi, że naraziłam twoich ludzi na niebezpieczeństwo. - Policzki miała suche, ale oczy mocno jej błyszczały. Otarła je rękawem, zostawiając na twarzy smugę błota. - Miałeś rację, nie powinnam była się tak upierać.

- Nikomu nic się nie stało.

- Nie - powtórzyła drżącym głosem. - Tak mi przykro.

Posadził ją na koniu, wskoczył na siodło za nią i skinął na Owena. Ogier ruszył z miejsca spokojnym tempem.

- Zdaje się, że znów muszę cię zawieźć do domu, ale lepiej się do tego nie

przyzwyczajaj - spróbował zażartować.

Poczuł jej dreszcz. Ukryła twarz na jego ramieniu i rozplakała się.

- Tak mi przykro - szepnęła.

- Wszystko jest już w porządku. Nikt cię nie widzi.

Przytrzymał ją jednym ramieniem, a drugą ręką prowadził konia. Powoli wracali do zamku. Jeden po drugim, dołączali do nich żołnierze rezygnujący z pościgu. Rosamund znów czuła się bezpieczna. W zamieszaniu zgubiła welon i gdy Gervase obrócił nieco policzek, dotykał twarzą jej włosów. Była cała i zdrowa, słyszał bicie jej serca przy swoim. Nie potrafił zmniejszyć jej smutku, ale mógł dać jej pewną pociechę.

- To była moja klacz - szepnęła, gdy przechodzili przez bramę.

- Dam ci inną, Rose. Dam ci jedną z moich klaczy z Monmouth.

Skinęła głową i przytuliła się do niego.

Na dziedzińcu zeskoczył z konia, zdjął ją i ostrożnie postawił na ziemi. Zauważył, że gdy przypadkiem trącił jej ramię, skrzywiła się boleśnie.

- Czy jesteś ranna?

- To tylko siniec.

Syknęła jednak z bólu, gdy zaczął zdejmować płaszcz z jej ramienia. Nie zastanawiając się dłużej, gestem ręki odpędził niespokojnych służących, najdelikatniej jak potrafił wziął ją na ręce i zaniósł do wieży. Nawet tam nie wypuścił jej, tylko szedł dalej po schodach, jakby nic nie ważyła. Dopiero w bawialni posadził ją przed paleniskiem.

- Świece! - zawołał do krążącej w pobliżu Edith, nie odrywając wzroku od bladej twarzy Rosamund. Mogła mieć złamaną kość ramieniową albo obojczyk. - Przyrowadź hrabinę.

Zsunął płaszcz z jej ramion i dotknął koronki przy dekolcie sukni.

- Ach! - Rosamund znów się skrzywiła i przygryzła zębami dolną wargę.

- Na rany Boga! - Gervase wyciągnął nóż i jednym szybkim ruchem przeciął suknię od ramienia aż do pasa.

Rosamund niezręcznie próbowała go odepchnąć.

- Zachowujesz się, jakbyś obdzierał ze skóry królika! - zawołała, gdy koronki opadły u jej stóp.

On jednak mruknął tylko:

- Nie kłóć się ze mną.

W końcu udało mu się odsłonić jej ramię. Skórę miała pozdzieraną i posiniaczoną.

- Upadłam na to ramię. - Stłumiła szloch, obracając głowę, by spojrzeć na obrażenia. - Upadłam razem z klaczą, gdy...

- Gdy trafiła ją strzała. Miałaś szczęście, że cię nie przygniotła.

- Chyba tak. To boli - jęknęła - szczególnie gdy tak przyciskasz.

- Nie narzekaj. Myślałem, że jesteś twardsza.

- Bo jestem.

Gervase złagodził dotyk, leciutko sprawdzając uszkodzenia czubkami palców. Rosamund pociągnęła nosem i potarła dłońmi twarz. Wyglądało na to, że wszystkie kości są całe.

- To będzie bolało, ale szybko się wygoi - zapewnił ją.

- Jesteś bardzo miły.

Nie był w stanie się oprzeć i jeszcze raz pogładził jej ramię, jakby próbował uspokoić ranną klacz. Przez cały czas uświadamiał sobie kontrast między swymi dłońmi, spracowanymi i pokrytymi odciskami, a jej jasną, gładką skórą. Poczul ulgę, gdy Rosamund rozluźniła się i oparła głowę o jego ramię. Mruknęła coś zaraz i usiadła prosto. Ich oczy spotkały się. Spojrzenie miała ufne. Gervase bez namysłu pochylił głowę i delikatnie pocałował ją w czoło.

- Nie zasługuję na taką troskę - szepnęła.

- Owszem, zasługujesz. Jesteś ranna i smutna, i chcę cię pocieszyć.

Ponieważ nie odsunęła się, pocałował ją jeszcze raz, tym razem w usta. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jakby nie spodziewała się po nim takiej łagodności.

Do komnaty weszła hrabina w towarzystwie spłoszonej Edith. Bezceremonialnie odsunęły Gervase'a i zajęły się Rosamund. Uśmiechnął się sucho. Wyraźnie pokazały mu, że nie ma tu miejsca dla niego.

- Czy mam posłać po tę damę, zapomniałem, jak się nazywa, tę czarownicę z wioski?

- Wdowa Kempe - podsunęła Petronilla, myśląc o czymś innym. - Tak, chociaż ona nie jest żadną czarownicą. Poślij po nią, panie.

Znów go odesłano. Zdawało się, że nie ma dla niego miejsca w życiu Rosamund. Zbiegł po schodach, wykrzykując po drodze polecenia, by sprowadzono wdowę Kempe, ale z myśli nie schodziło mu wspomnienie gładkiej skóry Rosamund. Bogu dzięki, była bezpieczna. On już zrobił swoje, tylko że...

Poszukał Owena. Znalazł go w stajni, gdzie obydwaj z Watkinsem opatrywali rannego konia. Owen miał bladą twarz i był roztrzęsiony. Po raz pierwszy w swoim dwunastoletnim życiu zetknął się z przemocą. Sierżant próbował złagodzić jego lęk za pomocą kufła piwa. Gervase z aprobatą skinął głową i usiadł obok nich na beli siana.

- Dobrze się spisałeś, chłopcze.

- Czy... czy pani jest bezpieczna?

- Tak, jest bezpieczna.

- Nie zauważyłem ich wcześniej, panie. Napadli na nas znienacka.

- Żaden mężczyzna nie sprawiłby się lepiej. - Gervase uściśnął ramię chłopca i potargał jego nieporządne włosy. - Ocaliłeś jej życie.

Nie sądził, że będzie to miało dla niego tak wielkie znaczenie.

Na widok wdowy Kempe Rosamund westchnęła. Była to zapowiedź kolejnych cierpień.

- Jak nie jedno, to drugie. Najpierw zatruta woda, a teraz to. Pozwól mi to obejrzeć, pani. - Znachorka odsunęła na bok Petronillę i Edith. Jej dotyk był znacznie mniej delikatny niż dotyk Gervase'a. - Sińce, podrapana skóra - mówiła, nie przestając naciskać i ugniatać. - Kości są całe. To nic poważnego pani, ale będzie cię bolało przez parę dni.

- Au! - Rosamund nie próbowała ukrywać swego niezadowolenia.

- Wypij to wino! - Sięgnęła do skórzanego woreczka przy pasie i wyciągnęła z niego małe, drewniane naczynie. - Na wszelki wypadek przyniosłam to z sobą. - Odkorkowała buteleczkę, wsypała do wina trochę ciemnego proszku i zamieszała. - Wypij to! - powtórzyła i na widok grymasu na twarzy. Rosamund chrząknęła groźnie. - Nie otruję cię, pani. Wypij. To zwykły chaber. - Podała buteleczkę Edith. - Rozpuść resztę w ciepłej wodzie i przykładaj do ramienia pani. Zmienia kompresy często, to zmniejszy sztywność.

Rosamund miała wrażenie, że sama nie bierze w tym wszystkim żadnego udziału; było jej ciepło, ból trochę się zmniejszył i ogarnął ją dziwny bezwład. Nawet myśl o utracie klaczy, choć wciąż powodowała smutek, stała się dziwnie odległa.

Znachorka przyjrzała się jej.

- Bardzo dobrze! Przyślę przez moją córkę jeszcze trochę chabru i korę białej wierzby. Trzeba to namoczyć w białym winie i pić, by zmniejszyć ból. Przyślijcie po mnie, jeśli nie odzyska pełnej władzy w ramieniu, ale gwarantuję, że odzyska. - Małe oczka, niemal zupełnie ukryte pomiędzy zmarszczkami, zamrugały chytrze. - Pan wydawał się jakiś rozkojarzony.

- Martwi się o moją córkę - wyjaśniła Petronilla.

- Aha, martwi się? Zdawało mi się, że to coś więcej. - Wiedźma znów spojrzała na Rosamund. - To możny i silny pan. Dałabym ci napój miłosny, gdybym sądziła, że go potrzebujesz.

- Napój miłosny? To ostatnia rzecz, jakiej mogłabym potrzebować - odrzekła Rosamund ze zdumieniem i znów się skrzywiła, gdy Edith zaczęła nakładać jej suknię.

- Nie potrzebujesz tego. I tak już wpadłaś mu w oko - zaśmiała się wdowa Kempe, po czym rzuciła chytre spojrzenie lady Petronilli. - A może tobie, pani, przydałby się dla lorda de Mortimera? Szczypta lawendy, szczypta korzenia waleriany, trzeba je wymieszać z sobą w piątek wieczorem na przybywającym księżycu. To wystarczy, by nie spojrzał na żadną inną kobietę prócz ciebie, pani.

Petronilla uśmiechnęła się z mocno zaciśniętymi ustami, w zadziwiający sposób zachowując godność, i wcisnęła monetę w pokrzywioną dłoń znachorki.

- Dziękuję, ale nie.

- Jak sobie życzysz, pani. W każdym razie zostawię ci składniki.

Rose spała mocno, może po naparze z chabrów, a może z wyczerpania, ale następnego dnia obudziła się tak sztywna i obolała, że z trudem podniosła się z łóżka. Ramię było fioletowoniebieskie i przy każdym ruchu bolało bardziej, niż mogła to sobie wcześniej wyobrazić, toteż chętnie piła napar z gorzkiej wierzby. Pozostawiona sama sobie, nie chcąc oddalać się od swych komnat, zajęła się roztrząsaniem wspomnień, ale nie przyniosło jej to wielkiej pociechy. Fitz Osbern miał rację, oskarżając ją o bezmyślność i samolubstwo. Nie uświadamiała sobie w pełni zagrożeń, jakie niosło z sobą życie na pograniczu, i przez to omal nie spowodowała śmierci jego ludzi. Odpędziła z oczu łzy. Mimo wszystko wyratował ją, przywiózł do domu i zatroszczył się o nią. Okazał jej wiele dobroci i uprzejmości. Należało zachować ostrożność, zdawała sobie bowiem sprawę, że jej opór zaczyna się kruszyć.

Nie pamiętała, czy już mu podziękowała. Wspomnienia z poprzedniego dnia wydawały się zatarte i odległe, pamiętała tylko, że rozciął jej suknię nożem. Nie wiedziała, jak zdoła teraz stanąć z nim twarzą w twarz, ale musiała mu podziękować.

Zamierzała to uczynić podczas południowego posiłku, ale gdy zeszła na dół, nie zastała go przy stole. Sir Thomas skierował ją do stajni. Znalazła go tam; oglądał kopyta swojego ogiera. Wyjąkała przeprosiny, na które zupełnie nie zwrócił uwagi. Rzucił jej tylko przelotne spojrzenie spod ciemnych brwi, upewniając się, czy wraca do zdrowia.

- Ta zasadzka nie była winą Owena, panie. Nie chciałabym, żebyś go za to winił.

Odpowiedziało jej kolejne ostre spojrzenie.

- Potraktuję Owena tak, jak uznam to za stosowne.

- Oczywiście.

- Przypuszczam, że czujesz się już lepiej?

- Tak.

- To dobrze. - Gervase skinął głową, przywołał do siebie Watkinsa i znów pochylił się nad kopytem.

Rosamund wycofała się. Nie krzyczał ani nie wydawał się rozgniewany, lecz zbył ją, jakby jej przeprosiny były dla niego zupełnie nieistotne. Oznaczało to, że jednak ją obwinia. Chyba tylko jej się wydawało, że widziała czułość i troskę na jego twarzy, gdy przyniósł ją na rękach do bawialni i obiecał, że da jej innego konia. Może zraziła go do siebie tym, że rozplakała się na jego ramieniu? Poczowała wstyd.

No cóż, skoro Fitz Osbern nie chciał z nią rozmawiać, mogła przynajmniej wyrazić wdzięczność jego giermkowi.

- Owen!

Siedział z nisko pochyloną głową, zajęty czyszczeniem broni Fitz Osberna z rdzy. Podniósł głowę, zarumienił się i ze sztyletem w dłoni poderwał się na nogi.

- Robiłem, co mogłem, pani - tłumaczył się gorliwie.

Czyżby bał się nagany? Rosamund musiała go uspokoić.

- Ocaliłeś mi życie. Gdy klacz upadła, pociągnąłeś mnie w bezpieczne miejsce. Chłopak szeroko otworzył oczy.

- Robiłem to, co wydawało mi się najlepsze.

- Mam nadzieję, że nie zostałeś za to ukarany?

- Ukarany? - Owen zmarszczył brwi. - Nie, pani. Pan mówi, że wyrosnę na dobrego rycerza, a mój ojciec będzie ze mnie dumny.

- Naprawdę? - zdumiała się Rosamund.

- Tak powiedział, i jeszcze dał mi to. - Zaczął grzebać w stercie mieczy, po czym wyciągnął jeden. - Lord Fitz Osbern dał mi ten miecz na własność.

Rosamund musiała się uśmiechnąć. Rękojeść była o wiele za duża dla drobnej dłoni chłopca.

- To jeden z mieczy mojego pana.

- W takim razie musisz być bardzo dumny.

A więc Gervase Fitz Osbern pochwalił chłopaka i nagroził go. Rosamund

pozostawiła Owena przy obowiązkach i odeszła z zamętem w myślach.

Niecierpliwie krążyła po niewielkiej przestrzeni między łóżkiem a oknem, zastanawiając się nad swoją sytuacją. Miała wrażenie, że jest ciągnięta w dwóch zupełnie przeciwnych kierunkach i żaden z nich jej się nie podobał. Zawdzięczała życie Osbernowi; to był dług honorowy. Obiecała mu, że nie będzie już więcej zakłócać funkcjonowania domostwa i garnizonu a nie była kobietą, która łamie raz dane słowo, ale ten impas pomiędzy nimi nie mógł trwać długo. Bezskutecznie próbowała zapomnieć o pocałunkach Osberna i trosce, ale wspomnienia wciąż wracały, za każdym razem wywołując rumieniec na jej twarzy.

Przestań o tym myśleć, upominała się w myślach. Jego uściski nic nie znaczyły. Pewnie często całował kobiety, tuziny kobiet, a jej reakcja wynikała tylko z zaskoczenia i wdzięczności, Im szybciej zapomni o tym wszystkim, tym lepiej. W każdym razie jedno było jasne: nie mogła dłużej mieszkać z tym mężczyzną pod jednym dachem.

Z drugiej strony, i to było najistotniejsze, w żadnym wypadku nie mogła wrócić do Salisbury, gdzie czekał na nią Ralph de Morgan. Na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze i chwycił ją lęk.

Fitz Osbern jednak chciał się jej pozbyć z Clifford. Dlaczego mu zaufała? Przecież od samego początku nie próbował ukrywać swojej prawdziwej natury, a ostatniego ranka dowiódł, że nie jest człowiekiem honoru.

Zauważyła go pogrążonego w rozmowie z dowódcą jednego z patroli, który właśnie wrócił do zamku. Fitz Osbern miał poważną twarz i zmarszczone czoło. Rosamund podeszła do nich.

- Co się dzieje? - zapytała.

Wpatrywał się w błoto pod swoimi stopami. Przesunął dłonią po policzku, wyraźnie pogrążony w myślach.

- Nic, chociaż właściwie sam nie wiem. Chodzą pogłoski o dużej grupie rabusiów, ale ty się nie musisz tym martwić, pani.

- Owszem, muszę - odrzekła ostro. - Jeśli ci rabusie stanowią zagrożenie dla

mojego zamku, to jest to moja sprawa. Co chcesz zrobić?

Tym razem udało jej się pozyskać jego uwagę. Spojrzał na nią z grymasem na twarzy.

- Twoja skóra nie jest zagrożona, pani, tylko mój dom w Monmouth, i być może również moja matka, ale to nie twoja sprawa. Moje plany nie powinny cię obchodzić.

Rosamund zarumieniła się ze wstydu, najpierw dlatego, że pomyślała natychmiast o własnym bezpieczeństwie, a nie o bezpieczeństwie jego rodziny, a potem ze złości na niego za to, że tak ostro ją ocenił. Gervase tymczasem kazał Watkinsowi przygotować do wymarszu oddział lekkokonných.

- Wyjeżdżasz? - zapytała.

- Być może.

- Kiedy?

- Kiedy to będzie konieczne. - W końcu spojrzał na nią, ale nie było to przyjemne spojrzenie. Zatknął dłonie za pas i powiódł wzrokiem po jej postaci od stóp do głów. - Teraz rozumiem twoje zainteresowanie. Tego właśnie chcesz, tak! Żebyś wyjechał i zabrał z sobą żołnierzy? Nie rób sobie próżnych nadziei, pani. Jeśli nawet wyjadę, to nie zostawię zamku pod twoją opieką, bo nie jestem pewien, czy wpuściłabyś mnie tu znowu. - Podszedł do niej nieco za blisko, aż jego rękaw otarł się o jej rękaw. - Jeśli wyjadę, zabiorę cię z sobą.

- Nigdzie się nie wybieram - odparła z urazą.

Dlaczego zawsze myślał o niej najgorsze rzeczy?

- Nie masz wyboru, pani. Zawiozę ci do Hereford w drodze na południe, a zamek zostawię pod opieką de Bytona.

- Obiecałeś, panie, że pozwolisz mi tu zostać - rzekła z oburzeniem.

- Tak, ale nie pod moją nieobecność, pani. A teraz zajmij się swoimi sprawami i zjedź mi z drogi. Uprzedzę cię, kiedy masz się przygotować do wyjazdu.

A więc odprawił ją ot tak, po prostu, uznając za niegodną zaufania egoistkę. A co gorsza, był w stanie wypełnić swoje groźby. Rosamund natychmiast ujrzała przed sobą postać de Morgana z wielkim brzuchem i otłuszczonymi palcami. W wybuchu

złości zwinęła dłoń w pięść i uderzyła go w ramię. Uderzenie było niedorzecznie lekkie i odbiło się od twardych mięśni. Fitz Osbern wybuchnął głośnym śmiechem.

- Powiedz mi, lady Rosamund, czy tak zachowują się wszyscy de Longspeyowie?

- Tak! - zawołała, omijając wzrokiem jego twarz, na której malowała się pogarda. - Tak się zachowują, gdy już nie mają cierpliwości do człowieka, który jest równie niewrażliwy, co pozbawiony honoru.

- Ha! W takim razie pozwól, że ci pokażę, jak reagują Osbernowie, gdy nieposłuszna kobieta doprowadza ich do ostateczności.

Pochylił się nad nią błyskawicznie niczym polujący jastrząb i zamknął w uścisku, od którego zapało jej dech, a potem pocałował ją szybko i władczo. Była tak zaskoczona i przytłoczona jego siłą, że nie zdążyła zareagować.

- Nie prowokuj mnie, pani - rzekł zagadkowo i opuścił ramiona.

Jego twarz, z mocno zaciśniętymi ustami, wydawała się w tej chwili okrutna. Rosamund przestraszyła się nie na żarty. Demony lęku znów wróciły.

Teraz, w swojej komnacie, obawiała się, że o jej przyszłości mogą zdecydować wydarzenia pozostające poza jej kontrolą. Szukała odpowiedzi i w końcu ją znalazła: by pozostać bezpiecznie w Clifford, do którego miała pełne prawo, musiała użyć uczciwych, legalnych środków. A skoro nie mogła zaufać Fitzowi Osbernowi, to komu miała zaufać, jeśli nie królowi Anglii, który w tej chwili znajdował się w Ludlow, o niecałe dwadzieścia mil stąd?

Po zapadnięciu nocy, gdy matka już spała, Rosamund posłała po pióro, inkaust i arkusz pergaminu. Nie wspomniała o tym liście lady Petronilli, która, nie wiadomo dlaczego, nie była w stanie utrzymać żadnej tajemnicy przed de Mortimerem.

W ciszy sypialni odezwał się głos jej sumienia. Zastanawiała się, czy to, co czyni, jest niehonorowym wyjściem, zdradą, ciosem w plecy Fitz Osberna, który uratował jej życie.

- Nie, to jest legalne i słuszne - powiedziała na głos. Jakże mogłoby to być nieuczciwe? Jeśli nie chciała wpaść w szpony Ralphi, to musiała wykorzystać

wszelkie dostępne środki. Jakież bowiem miała wybór? Nie mogła liczyć na to, że Fitz Osbern dotrzyma słowa; w końcu jasno jej powiedział, jakie ma plany na przyszłość.

Następnego ranka odnalazła Thomasa de Bytona.

- Sir Thomasie, potrzebuję posłańca, który dostarczyłby mój list do brata, earla Salisbury. - Uznała, że lepiej będzie nie mówić mu prawdy; była przekonana, że natychmiast doniosłby o wszystkim Fitz Osbernowi.

Sir Thomas zastanawiał się przez chwilę.

- Muszę najpierw zapytać o pozwolenie milorda..

- Sir Thomasie, jesteś przecież moim dowódcą, nie lorda Fitz Osberna.

- Nie, pani. Przyjmuję rozkazy tylko od lorda.

Mogła się tego spodziewać, ale znów wpadła w złość i tym bardziej była zdeterminowana osiągnąć swój cel. Istniały jeszcze inne sposoby. Zamieniła kilka słów z Pennardem, który przysłał jej chłopaka z koniem i za pomocą garści monet wyekspediowała swój list do Ludlow.

Patrząc, jak koń znika w oddali, próbowała się przekonać, że zupełnie nie czuje się winna. Cóż mogła znaczyć dla Fitz Osberna utrata Clifford? Wzruszyła ramionami, jakby chciała z nich zdjąć niechciany ciężar. Nie miała pojęcia, dlaczego tak mu zależy na tej niewielkiej, przygranicznej fortecy.

Rozdział ósmy

- Przenajświętsza Panienko, ta kobieta jest nie do zniesienia - wymamrotał Fitz Osbern, już nie po raz pierwszy zwracając się w ten sposób do stada przelatujących wron. Właściwie co ona jeszcze robiła w Clifford? Z wielką radością powitałby jej wyjazd i obietnicę, że nigdy więcej nie zobaczy jej na oczy. A z drugiej strony miał ochotę znów ją pocałować, zerwać z niej suknię... Skrzywił się i zazgrzytał zębami, patrząc na lśniące czarne ptaki kołujące na wietrze.

To była zupełnie nielogiczna reakcja na kobietę, która nie przedstawiała go irytować. Wzruszył ramionami i skupił się na wzmacnianiu palisady. Na razie nie miał wystarczającej ilości kamienia na przebudowę całego muru i musiał się zadowolić wzmocnieniem najsłabszych miejsc drewnem. W obliczu pogłosek o dużych grupach rabusiów było to konieczne. Praca sprawiała mu satysfakcję, ale nie pozwalała oderwać myśli od Rosamund de Longspey. W żaden sposób nie potrafił przestać o niej myśleć. Starał się schodzić jej z drogi, ale przez cały czas widział przed sobą jej twarz.

Zatrzymał się, opierając dłonie na drewnianym słupku. Hugh twierdził, że powinien się z nią ożenić.

Ha... Gervase pragnął spokojnego życia, a nie codziennych utarczek z własną żoną. Z drugiej jednak strony... Zdaniem de Mortimera rozwiązałyby to wszystkie problemy. Gdyby Rosamund została jego żoną, Clifford w świetle prawa należałby do niego. Panna była bystra i potrafiła zarządzać posiadłością. Gdyby miała na to ochotę, mogłaby tu mieszkać na stałe. Uśmiechnął się lekko. Odkąd porzuciła pomysł, by wypędzić go stąd za pomocą smrodu, okazała się bardzo skuteczną gospodynią. Umiała czytać, pisać i liczyć, co było niezwykłą zaletą u kobiety. Miała zdecydowany charakter i sądził, że poradziłaby sobie także ze zbieraniem czynszów. Mógłby ją tu zostawić i wrócić do Monmouth. Może mimo wszystko nie był to najgorszy pomysł...

Zaabsorbowany myślami, zszedł z drogi dwóm żołnierzom, którzy manewrowali pniem świeżo ściętego drzewa. Zastanawiał się, czy ona również potrafiłaby dostrzec

zalety tego małżeństwa i czy zgodziłyby się za niego wyjść. Pozwoliłoby jej to uniknąć przyszłości przy boku Ralphi de Morgana. Była w odpowiednim wieku i mogła sama podejmować decyzje bez zgody earla Gilberta. Lubiła niezależność, a w Clifford mogłaby się nią nacieszyć w pełni.

Mógłby to być doskonały układ, wygodny dla wszystkich. Nie musieliby się widywać często.

Przymrużył oczy w promieniach zimowego słońca, wsłuchując się w stuk młotów wbijających w ziemię drewniane pale. Ostatnio prawie z sobą nie rozmawiali i była to jego wina. Nigdy nie cofał się przed problemami, toteż zdecydował się od razu sprawdzić, jakie jest jej zdanie.

Od samego rana stała na ścieżce biegnącej wzdłuż palisady i patrzyła na drogę prowadzącą w kierunku Ludlow. Chwila była równie dobra jak każda inna. Gervase podszedł do niej, po drodze strzepując trociny z szaty.

- Pani...

Zaskoczył ją. Odwróciła się w jego stronę z rozchyłonymi ustami; w szeroko otwartych oczach malował się niepokój.

- Nie słyszałam cię, panie...

- Zauważyłem, że patrzysz na drogę. Czekasz na Ralphi czy też masz nadzieję, że twoi bracia przybędą tu, by wyrwać cię z moich szponów?

Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

- Nie, panie...

Bez dalszych wstępów przeszedł od razu do rzeczy.

- Mam dla ciebie propozycję.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, unosząc brwi. Chcąc się z nią trochę podrażnić, sięgnął po jej dłoń i podniósł do ust. Zarumieniła się; było jej z tym bardzo do twarzy. Chciała wyrwać rękę, ale zamknął ją w mocnym uścisku.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że problem, który istnieje między nami, można rozwiązać w bardzo prosty sposób?

Jej rumieniec pogłębił się. Na chwilę spuściła wzrok.

- Jak można tego dokonać, panie? Widzę tylko jedną możliwość - mój wyjazd z Clifford.

- Możemy wziąć ślub - oświadczył śmiało. Odpowiedziało mu milczenie. Zauważył, że Rosamund zeszywniała. - Potrzebujesz męża, by wyratować cię przed groźbą małżeństwa z Ralphem. Ja z kolei potrzebuję żony i gospodyni w moim zamku. Takie wyjście doskonale rozwiązałoby problem własności Clifford.

Pobladła, przez jej twarz przemknął cień. Coś ją dręczyło. Może mu po prostu nie wierzyła. W tej chwili było dla niego bardzo ważne, by zechciała mu uwierzyć. Obrócił jej dłoń w swojej i dotknął ustami miękkiego wnętrza.

Rosamund podniosła głowę i zwinęła palce w pięść.

- Czy wyjdiesz za mnie, Rosamund? - zapytał powtórnie, ignorując sygnały niebezpieczeństwa.

- Miałabym za ciebie wyjść? - powtórzyła z trudem.

- To najlepszy sposób, by rozstrzygnąć spór pomiędzy nami.

- Nie.

Spodziewał się bardziej dyplomatycznej odpowiedzi.

- Może zechciałabyś najpierw rozważyć zalety mojej propozycji, zanim ją odrzucisz.

- Nie.

Rozchyliła usta, jakby chciała dodać coś jeszcze, ale w tej chwili w dali rozległ się tętent kopyt i strażnik znad bramy zawołał:

- Uzbrojone wojsko na północy!

Zbliżała się do nich niewielka grupa żołnierzy w lśniących zbrojach i na lśniących koniach. Gervase wpatrzył się w czerwono-złote chorągwie. Jeśli oczy go nie myliły... Zwrócił wzrok na Rosamund. Stała nieruchomo, ale w jej oczach pojawił się dziwny blask.

Oddział zatrzymał się przed bramą. Przywódca uniósł się w strzemionach i pozdrowił wartownika:

- W imieniu króla nakazuję ci otworzyć bramy!

Gervase poczuł nieprzyjemne ściskanie w żołądku. Podniósł rękę, nakazując sir Thomasowi posłuszeństwo.

- Wrócimy do tej rozmowy później, pani - mruknął ponuro, wychodząc gościom na spotkanie.

Hugh wyłonił się z zamku i stanął obok niego.

- Nieoczekiwana wizyta - powiedział z namysłem, patrząc na żołnierzy wjeżdżających na dziedziniec. - Widzę sir Jaspera Griffithsa w pełnej krasie. Jeśli mogę coś ci radzić, Ger, spróbuj powstrzymać swój temperament.

- To będzie trudne, ale postaram się - mruknął Gervase sucho. - Ciekaw jestem...

- Uświadomił sobie, że Rosamund również podeszła, by powitać żołnierzy. Zaciśnął zęby, wsunął dłonie za pas i przygotował się w duchu na królewskie obwieszczenie, które, jak sądził, nie będzie dla niego powodem do radości.

- Panie Fitz Osbern. - Królewski urzędnik zatrzymał przed nim lśniącego ogiera i krótko skinął głową. - Jego Królewska Wysokość nakazał przekazać ci to pismo. - Wyciągnął w jego stronę dokument opatrzony królewską pieczęcią.

- Witaj, sir Jasperze. Cóż to takiego?

Griffiths, który był aroganckim mężczyzną nawet wówczas, gdy nie reprezentował królewskiego autorytetu, z lekkim prychnięciem powiódł wzrokiem po witającej go grupce.

- Doszło uwagi Jego Wysokości, że ma tu miejsce jakiś spór. Jego Wysokość raczył wydać osąd w tej sprawie. Brzmi on, że zamek jest własnością lady de Longspey jako spadek po earlu Williamie Salisburym. Earl Gilbert potwierdza to. Twoje roszczenia, panie, są dla króla niezrozumiałe. Dlatego Jego Wysokość rozkazuje, byś wycofał swoje oddziały i opuścił to miejsce, dopóki sprawa nie zostanie ostatecznie rozstrzygnięta. Masz natychmiast pojechać ze mną do Ludlow i stawić się przed królem, który podejmie wówczas ostateczną decyzję. - Sir Griffiths skłonił się ironicznie. - Mam tu pismo od Jego Wysokości, które potwierdza moje słowa.

- Co takiego?!

Gervase poczuł się tak, jakby otrzymał śmiertelny cios mieczem. Nie mógł uwierzyć, że król nie zechciał poprzeć roszczeń Fitzów Osbernów. Rozsądził spór na jego niekorzyść, nie zważając na to, że zmarły lord William był zwykłym złodziejem, i nawet nie udzielił mu wcześniej posłuchania! Potraktował go jak pospolitego rabusia! A przecież Gervase Fitz Osbern był człowiekiem powszechnie szanowanym i zasłużonym dla rodziny Henryka Plantageneta. Pilnował królewskich granic i miał pod swoją władzą rozległe posiadłości. Czyż nie walczył dla Henryka w niedawnych wojnach? Czyż nie wspierał go w dążeniach do uzyskania angielskiej korony? Tymczasem król stwierdził, że jego roszczenia są niezrozumiałe. Jakże to, na Boga?! Odmawiał mu praw do dziedzictwa niczym zwykłemu chłopu? Najwidoczniej earlowie Salisbury mieli znacznie większą siłę przebicia niż lordowie z pogranicza, gdy chodziło o zyskanie sobie królewskiej przychylności.

Poczuł, jak narasta w nim wściekłość. Już po raz drugi został okradziony ze swojej własności, tym razem decyzją króla, który objął tron zaledwie przed czterema laty. Utrata Clifford kładła się cieniem na pamięci ojca Fitz Osberna. Gervase miał pewne podejrzenia, jak mogło dojść do tej katastrofy. Poczuł, że w jego trzewiach rozpala się płomień.

- Wszystko jest w tym dokumencie, panie. - Sir Jasper wyciągnął przed siebie pergamin. - Sam możesz przeczytać. Masz natychmiast przekazać zarządzanie tym miejscem i pojechać ze mną.

Gervase zauważył jego pełen wyższości uśmiech, a także lekkie skinienie głowy Rosamund, i stracił cierpliwość. Nim ktokolwiek zdążył odgadnąć jego intencje i zapobiec temu, co miało się zdarzyć, rzucił się przed siebie, pochwycił sir Jaspera za płaszcz i ściągnął go z konia wraz z pergaminem. Potrząsnął nim mocno w powietrzu, jak terier potrząsa schwytanym szczurem, po czym postawił w błocie na dziedzińcu.

- Jak śmiesz naruszyć nietykalność królewskiego przedstawiciela! - parsknął posłaniec, ale jego pewność siebie wyraźnie zmaląła.

- Śmiem uczynić więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Mam wyrzec się swojego dziedzictwa za sprawą rozkazu króla, który nawet nie pofatygował się, by mi to

oznajmić osobiście?! - Znów wyciągnął rękę, złapał posłańca za futrzany kołnierz i podniósł na wysokość swojej twarzy. - Mam ochotę kazać ci zjeść ten pergamin razem z pieczęcią.

- Panie... - wyskrzeczwał Jasper.

Gervase wyrwał pergamin z jego ręki, złamał pieczęć i szybko przebiegł oczami treść pisma.

- Czy król ma o mnie tak kiepskie zdanie, że sądzi, iż można mnie zbyć kilkoma słowami nabazgranymi na kawałku pergaminu? Na Boga, nie! Kobieta nie ochroni tego zamku przed walijskimi najeźdźcami. Możesz powiedzieć swojemu królowi...

- Nie, panie.

Dłoń zacisnęła się na jego ramieniu, chłodny głos przebił się przez gorączkę w jego umyśle. Spojrzał w te zielone oczy i zyskał pewność - ona wiedziała, oczywiście, że wiedziała. Zapewne czekała na blankach na królewską odpowiedź. Jak mogła posunąć się do takiej zdrady? Obiecała mu przecież posłuszeństwo. Słusznie jej nie ufał. Miała jednak piękne oczy, nawet gdy tak jak teraz migotał w nich ostrzegawczy błysk.

- Nie, panie - powtórzyła - puść posłańca. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Ja ci to wyjaśnię.

Przywrócony do rzeczywistości, puścił urzędnika, który zachwiał się i gorączkowo zaczął poprawiać szaty. Hugh, który z najwyższym trudem zachowywał powagę, pochylił się i podniósł z błota kapelusz ozdobiony klejnotami. Sytuacja niezmiernie go bawiła. Pomyślał, że jego autokratycznemu przyjacielowi dobrze zrobi taka intryga uknuta przez tę sprytną kobietę, chociaż był pewien, że Gervase patrzy na to zupełnie inaczej i że na razie nie jest w stanie dostrzec komicznej strony sytuacji. Ogień błyszczący w jego oczach wzbudzał respekt.

Hugh otarł modny kapelusz z błota i oddał sir Jasperowi. Rosamund wysunęła się naprzód. Wciąż trzymając w palcach rękaw Fitz'a Osberna, wyprostowała się i zwróciła do posłańca, jakby nic nie zaszło.

- Podziękuj, panie, Jego Wysokości królowi Henrykowi za ten werdykt.

Powiedz, że lady Rosamund de Longspey jest mu bardzo wdzięczna.

- Ty jesteś mu wdzięczna! - prychnął Fitz Osbern, strząsając jej dłoń.

- Powiedz Jego Wysokości, że stanie się zgodnie z jego wolą, i że zawsze będzie mile widzianym gościem w moim domu.

Gervase nie mógł już dłużej tego słuchać.

- A ode mnie możesz powiedzieć królowi Henrykowi, że ten zamek pozostanie własnością Fitzów Osbernów tak długo, dopóki nasz ród będzie trwał. Nie zamierzam jechać do Ludlow, by wydał decyzję przeciwko mnie. Powiedz mu... - Odsunął się nieco w stronę zamku, próbując powstrzymać wściekłość. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest porywczy. Przez lata nauczył się panować nad tą cechą, ale w obliczu takiego ciosu w plecy niemal stracił nad sobą kontrolę. Nie był z tego dumny, ale prowokacja była zbyt wielka.

A wszystko przez tę dziką kotkę.

Sir Jasper pojechał z powrotem do Ludlow, nieco ułagodzony wdzięcznym przyjęciem ze strony damy. Rosamund podniosła pognieciony pergamin z dziedzińca i wygładziła go starannie. W końcu dostała to, czego chciała. Dlaczego więc miała wrażenie, że okazała się tchórzem i wbiła sztylet między łopatki Fitz Osberna?

To, co uczyniła, było rozsądne. Któż bardziej się nadawał do poparcia jej roszczeń niż sam król, młody człowiek, o którym mówiono, że przestrzega prawa i porządku i że ma ciężką rękę wobec każdego władcy, który próbuje stawiać mu opór? A skoro król znajdował się akurat w Ludlow, to było najprostsze rozwiązanie. Nie musiała czuć się winna dlatego, że wysłała do niego petycję w swoim imieniu ani z żadnego innego powodu. Fitz Osbern zebrał tylko to, na co sobie wcześniej zasłużył.

List, który wysłała, był dramatyczny, lecz konkretny. Po prostu opisała swoją sytuację.

Do Jego Wysokości Króla Henryka II

Wasza Wysokość, rzucam się do Twoich stóp z prośbą o wymierzenie sprawiedliwości. Przygraniczna forteca Clifford stanowi mój posag i należy do mnie prawem dziedziczenia. Na dowód moich praw mam dokumenty z pieczęciami earla Williama Salisbury'ego. Ta własność została mi skradziona przez lorda Fitz Osberna, który okupuje zamek. Błagam Waszą Wysokość o rozstrzygnięcie w tej sprawie. Obydwie z matką, hrabiną Salisbury, mieszkamy w Clifford pod kontrolą Fitz Osberna, który nie chce uznać moich praw.

Błagam, by Wasza Wysokość jak najszybciej wydał korzystną dla mnie decyzję. Pozostaję lojalną i najposłusznieszczą służką Waszej Wysokości.

Rosamund de Longspey

Skutek jej prośby był dokładnie taki, jakiego oczekiwała, a ponadto otrzymała decyzję w ciągu tygodnia od wysłania listu. Wyglądziła pergamin dłonią. Sądząc po tym, co mówił sir Jasper, król zamierzał rozstrzygnąć sprawę po jej myśli. Dlaczego więc ogarnęło ją niedobre przeczucie i dziwny ciężar zaległ na jej sercu?

Fitz Osbern zaproponował jej małżeństwo!

W tym chyba leżał cały problem. Zupełnie się tego nie spodziewała. Jak mogła przypuszczać, że on coś takiego uczyni? Pamiętała, jaką radość poczuła, gdy jego usta dotknęły jej przegubu. Wstrzymała oddech i serce podeszło jej do gardła. Zaraz jednak rozsądek wziął górę nad emocjami. Przypomniała sobie, że nim pogardza, ponieważ kiedyś już ją odrzucił i odebrał jej dziedzictwo, a także, że prosiła króla, by wypędził go z zamku, ponieważ sama nie potrafiła tego dokonać.

Małżeństwo z nim nie wchodziło w grę, choć teraz musiała zmienić zdanie na jego temat. Sprawiał wrażenie zwykłego, niewykształconego żołnierza, ale doskonale umiał czytać, czego dowiódł, gdy przebiegł wzrokiem po dokumencie i zrozumiał jego treść.

Rosamund wyprostowała się. Musiała wyjaśnić kilka rzeczy temu

zapalczywemu lordowi.

- Odwołałaś się do króla przeciwko mnie. Zadałaś mi cios w plecy.

Czekał na nią w wielkiej sali. Gdy weszła, zatrzymał się, zwinął dłonie w pięści i odrzucił głowę do tyłu, patrząc na nią z cierpkim wyrazem twarzy. Jego oskarżenia odzwierciedlały jej własne wątpliwości. Zmusiła się, by zachować spokój. Podniosła wzrok i dostrzegła w jego spojrzeniu oznaki nadciągającej burzy. Już po chwili uderzył pierwszy grom.

- Zdradziłaś mnie!

- Nieprawda - odparowała. - Chciałeś zabrać mnie z sobą do Monmouth, żeby mnie zmusić do opuszczenia zamku!

- Jeśli w ogóle bym tam pojechał. Tylko w wypadku, gdyby zagrożenie okazało się prawdziwe.

- Powiedziałeś, że wyjedziesz i zabierzesz mnie z sobą, że odeślesz mnie do Salisbury, odeskortujesz do Hereford!

- Pytałem, czy wyjdiesz za mnie. - Jego głos ścichł i wydawał się jeszcze groźniejszy.

- Przecież mówiłeś o wyjeździe. Powiedziałeś, że nie zostawisz mnie tu samej, że muszę pojechać z tobą.

- Powiedziałem, powiedziałem... Czy w ogóle nie masz rozumu, kobieto?! Cóż cię opętało, żeby ściągać nam na głowy Henryka z jego werdyktami? A teraz pewnie sądzisz, że spakuję wozy i wyniosę się stąd.

- Owszem, spodziewam się, że usłuchasz królewskich rozkazów. Przynajmniej dopóki Jego Wysokość nie podejmie ostatecznej decyzji.

Gervase rozłożył szeroko ramiona w geście desperacji.

- A cóż takiego złego jest w pomyśle, żebyś wróciła do Salisbury? Słyszałem o de Morganie, ale z pewnością twoja rodzina weźmie pod uwagę twoje zastrzeżenia.

Rosamund wzdrygnęła się.

- Nie, na to nie mogę liczyć! Nie mogę tam wrócić, nie mogę ryzykować! Dobrze więc... Skoro uważasz, że cię zdradziłam, przyznaję się do winy. Nie

widziałam innego wyjścia. Nie miałam wsparcia z żadnej strony. Nie rozumiesz tego?
- W duszy modliła się, by zechciał ją zrozumieć. Nagle zaczęło być dla niej bardzo ważne, by nie traktował jej jak zdrajczynie. - Musiałam zwrócić się do Henryka, bo tylko on jeden mógł wesprzeć moje roszczenia.

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Spodziewała się dostrzec tam płomień gniewu, który widziała zaledwie kilka minut wcześniej, gdy Gervase ściągnął sir Jaspera z konia. Tymczasem zobaczyła spokojną szarą toń, przypominającą powierzchnię rzeki w zimie. To było jeszcze bardziej niebezpieczne. Odzyskał kontrolę nad sobą i jego gniew był teraz lodowaty. Czuła jednak, że cały jest napięty jak struna i lada chwila może wypuścić śmiertelnościaną strzałę.

- Zapewne bardzo się cieszysz ze swego zwycięstwa, pani. Miałem rację, że ci nie ufałem.

- Nie miałam innego wyjścia - powtórzyła Rosamund z desperacją. Czuła zapach jego gniewu, metaliczny jak krew. - Ty dobrowolnie nie wyjechałbyś stąd, a ja nie mogłam zbliżyć się do Ralpa de Morgana. W ogóle nie brałaś pod uwagę mojej sytuacji.

- Nie brałem jej pod uwagę? Przecież zaproponowałem ci małżeństwo. Czegoż chcesz jeszcze? - Podeszedł o krok bliżej do krawędzi podestu. Musiała podnieść wyżej głowę, by spojrzeć na jego twarz. - Chciałem cię wyratować z sytuacji, która ci nie odpowiadała. Przez małżeństwo utrzymałabyś swoje prawa do Clifford i twój autorytet nie zostałby podważony. Ty jednak odrzuciłaś moją propozycję, wiedziałaś bowiem, co nastąpi. Odrzuciłaś mnie, bo czekałaś, aż armia króla Henryka zastuka do bram, by zmusić mnie do posłuszeństwa. Wolałaś ściągnąć mi na głowę królewski sąd, niż zastanowić się nad trwałym kompromisem pomiędzy nami.

Słuchała twardego głosu i jeszcze twardszych słów. Oskarżenia bolały. Owszem, odrzuciła go, ale tylko dlatego, że... Odetchnęła głęboko i usłyszała własne słowa:

- Tak, odrzuciłam cię. Czy jesteś zdziwiony? Ty też odrzuciłeś mnie kiedyś, wcale na mnie nie patrząc i nawet mnie nie poznałeś, gdy znów się spotkaliśmy. - Nie chciała o tym mówić, ale słowa wyrwały się jej, nim zdążyła je powstrzymać.

- Ja cię odrzuciłem? O czym ty mówisz?

Płomień złości Rosamund rozgorzał na dobre.

- Widzisz?! To tylko dowodzi prawdziwości moich słów. Odrzuciłeś ofertę małżeństwa ze mną, gdy earl William proponował ci sojusz z de Longspeyami.

- Odrzuciłem mało subtelne wysiłki twojego świętej pamięci ojczyma, który chciał spętać mnie łańcuchem niegodnego sojuszu - odparował Fitz Osbern. - To cię wtedy mi przyprowadził? Przyznaję, że nie pamiętam. Nie interesowało mnie to. Fitz Osbern miałby ożenić się z dziewczyną de Longspeyów? Mój ojciec przewróciłby się w grobie, gdybym tak nisko upadł. Chciałem odzyskać ziemie, które mi skradziono, a nie zdobyć żonę, która wymagałaby, bym był posłuszny jej ojcu.

- I dlatego odrzuciłeś mnie bez zastanowienia.

- Tak.

- Może mierzyłeś wyżej.

- Z pewnością nie odpowiadała mi arogancja twojej rodziny. Każdy inny ród w tym kraju mógł mi dać łagodniejszą narzeczoną.

- Pomimo że jesteś lordem rabusiem? - Nie mogła się powstrzymać, by nie wbić ostrza jeszcze głębiej.

- Tak sądzisz? - Jego usta zadrgały, jakby cios wreszcie sięgnął celu. - W każdym razie moje słowo, czyli według ciebie słowo lorda rabusia, jest uczciwe i prawe. Twój ojciec zaś bez skrpułów łamał obietnice, rabował i grabił, jeśli tylko przyszła mu na to ochota.

- William de Longspey nie był moim ojcem. - Przygryzła usta.

Fitz Osbern doskonale przejrzał charakter jej ojczyma.

- Był twoim ojcem przez małżeństwo. To niewielka różnica. Widzę, że przez to, iż żyłaś pod jego opieką, odcisnęło się na tobie piętno charakteru de Longspeyów. Złamałaś dane mi słowo.

- Nie uczyniłam tego. Nigdy nie obiecywałam, że uznam twoje prawa do Clifford, że pogodzę się z...

- To tylko zabawa słowami. - Zszedł z podwyższenia i znalazł się na równym

poziomie z nią. Pochwycił ją za ramię i mocno potrząsnął. - Uczyniłaś mi przysługę, odrzucając moją propozycję.

- Sobie też. Ty chciałeś mieć tylko gospodynię w Clifford, kogoś, kto mógłby zajmować się zamkiem, gdy znów staniesz się najemnikiem, ale dlaczego, na litość boską, tak bardzo chcesz mieć ten zamek? Dlaczego on jest dla ciebie taki ważny?

- To nie twoja sprawa. - Na policzki Gervase'a wypełzł lekki rumieniec. - A co do gospodyni, to poradzę sobie bez niej. Nie chcę mieć zdradzieckiej żony.

- A ja nie chcę za męża rabusia i barbarzyńcy.

- Jakie to szczęście, że się z sobą zgadzamy.

- To jedyna sprawa, w której się zgadzamy.

- Kiedyś zagroziłem, że każę cię wychłostać i zamknąć w komnacie. Powinienem był to uczynić. Mam nadzieję, że w przyszłości nie pożałujesz swojej decyzji o wmieszanu w to wszystko Henryka.

- Na pewno nie pożałuję.

- Jesteś zbyt pewna siebie, pani.

- Jestem. I ujrzę twoją porażkę, milordzie.

Powietrze iskrzyło między nimi. Gervase znów zmusił się do opanowania. Żałował swoich pochopnych słów, ale to, co powiedziała, że zamierzał zostawić ją w Clifford, było prawdą. Dokładnie takie były jego plany.

Wbrew sobie musiał ją podziwiać, gdy tak stała przed nim z oczami błyszczącymi odwagą. Poczul przyływ pożądania i przyciągnął ją do siebie.

- Czy naprawdę chcesz mnie pocałować, wiedząc, że nie mogę cię powstrzymać? Przecież dopiero co dałeś mi do zrozumienia, jak bardzo mną pogardzasz.

Pochylił głowę i zrobił właśnie to, o co go oskarżała.

- Mogłaś mnie mieć - powiedział niskim, ochryłym głosem. - Mnie i wszystkie moje ziemie. Przekonaj się sama, co odrzuciłaś.

Była blada i wstrząśnięta, ale odparła z ironią:

- Lorda rabusia? Wydaje mi się, że nie straciłam zbyt wiele.

Były to odważne słowa, ale w jej oczach zalśnił podejrzany blask.

Gervase odsunął się i opuścił ręce.

- Pani, powiedzieliśmy już sobie wszystko, co mieliśmy do powiedzenia.

- Wcale nie! Co uczynisz, kiedy przybędzie tu król? Nie wpuścisz go do zamku?

Owszem, to było dobre pytanie. Ona jednak nie czekała na odpowiedź. Dygnęła przed nim ceremonialnie i wyszła.

- No i?

Petronilla czekała na córkę w bawialni. Błysk w matczynych oczach nie wróżył dobrze. Nie słyszała rozmowy Rosamund z Gervase'em, ale Hugh z pewnością opowiedział jej o wszystkim, co działo się wcześniej. Była niezwykle poważna i Rosamund nie miała pewności, czy może liczyć na współczucie z jej strony. Zapewne była to cena za to, że nie powiedziała jej wcześniej o liście do króla. Usiadła przed ogniem i potarła twarz dłońmi.

Cóż ona uczyniła najlepszego? Wypuściła na wolność wilka, dzikiego drapieżnika, który wzbudzał w niej nieoczekiwane uczucia. Jak miała to wyjaśnić matce?

- Był bardzo zły - przyznała.

- Gervase? Oczywiście, że tak. A czego się spodziewałaś? Ściągnęłaś mu na głowę królewską sprawiedliwość. Gdybyś zapytała mnie o radę...

Rosamund westchnęła.

- Ale nie zapytałam, a teraz już za późno, by to roztrząsać.

- Nie przemyślałaś tego, Rose. - Petronilla usiadła obok niej, ale nie nazbyt blisko. Ten szczegół nie uszedł uwagi Rosamund. Matka nie zamierzała jej pocieszać.

- A teraz musicie ponieść konsekwencje - ciągnęła spokojnym głosem. - Jedną z nielicznych rozsądnych rzeczy, które usłyszałam z ust earla Williama, było to, że życie jest prostsze i wygodniejsze, jeśli udaje się je prowadzić z dala od króla. Henryk zawsze lubił się wtrącać i manipulować innymi dla własnych celów. Jeśli pojawi się za bramą zamku, to będzie twoja wina. Będiesz miała szczęście, jeśli nie zechce

przejąć tej twierdzy dla siebie, a tobie znaleźć męża gorszego jeszcze niż Ralph de Morgan.

- Czy tak się może stać? - Ciężar na piersi Rosamund stał się jeszcze większy. Straciła pewność siebie, widząc, że jej matka i Fitz Osbern są z sobą zgodni i obydwójce występują przeciwko niej. Doprowadziła do tego jej głupia duma. - Lecz cóż innego mogłam zrobić?

- Szczerze? Nie wiem - przyznała Petronilla uczciwie.

- Nie rozumiem, dlaczego on jest na mnie taki zły.

- A ja rozumiem. Ściągnęłaś na niego wstyd, Rose. Zraniłaś jego dumę. Zadziałałaś za jego plecami, odwołując się do wyższej władzy. Może byłoby lepiej, gdyby król przybył tu osobiście, ale on przysłał tu nadętego, zadowolonego z siebie posłańca, by ten wydawał rozkazy człowiekowi o temperamencie Fitz Osberna. - A więc Hugh już z nią rozmawiał. - W tym wieku powinnaś już rozumieć, że mężczyzna ma swoją dumę. Clifford należał do jego rodziny od niemal stu lat. A ty się dziwisz, że wpadł w złość.

Rosamund nie wiedziała, co powiedzieć. Przycisnęła dłonie do ust, wciąż płonącego od jego pocałunków.

- Zaproponował mi małżeństwo.

- Naprawdę? Kiedy?

- Dzisiaj rano. Tuż przed przybyciem posłańca.

- Doskonale wycucie czasu. - Rosamund skrzywiła się, słysząc ironię w głosie matki. - No i?

- Chciał tylko rozwiązać jakiś problem i zdobyć gospodynię dla Clifford. Nie zaprzeczył, gdy go o to oskarżyłam. Więc odmówiłam.

- No tak! Mogłam się tego domyślić. - Petronilla z rozpaczą wyrzuciła ręce do góry. - Obydwójce jesteście tak samo uparci.

I znów ani odrobiny współczucia. Choć z drugiej strony, Rosamund zaczynała już przypuszczać, że nie zasługuje na nie.

- Czy chcesz powiedzieć, że wbrew wszystkiemu powinnam była przyjąć jego

oświadczyzny? - Po jej policzkach popłynęły gorące łzy.

- Wbrew czemu? Rose? - Matka w końcu przysunęła się bliżej, objęła ją i pogładziła po głowie. - Przecież bez względu na to, co powiem, ty i tak zrobisz, co zechcesz.

- Nie zasługuję na twoją pociechę.

- Wiem. Jesteś zupełnie niemożliwa, ale jesteś moją córką i kocham cię. Nie płacz nad rozlanym mlekiem. To moja rada, cokolwiek jest warta. - Śmiech zniknął z jej głosu. Potrząsnęła głową i pocałowała córkę w skroń. - Problem polega na tym, że jesteście zbyt do siebie podobni, by było wam wygodnie żyć razem. Szkoda.

- Szkoda że co? - zapytała Rosamund, ocierając nos rękawem.

- Mniejsza o to. Musimy poczekać i przekonać się, co się wydarzy.

Matka ostrzegała ją, że król Henryk ma irytujący zwyczaj wtrącania się we wszystko, toteż Rosamund nie była zdziwiona, gdy wkrótce po wyjeździe sir Jaspera Griffithsa król we własnej osobie raczył pojawić się w Clifford. Towarzyszyła mu królowa Eleonora we wspaniałym płaszczu podszytym futrem i w złotej siatce na włosach. Wpadł jak burza na dziedziniec wraz z eskortą, chorągwiami, pośród grania trąbek i z mocno zmarszczonym czołem. Rosamund znów przypomniała sobie słowa hrabiny: „Jeśli Henryk zjawi się tu za bramą, to będzie twoja wina”, i z przygnębieniem uświadomiła sobie, że matka miała rację. Owszem, pragnęła sprawiedliwości, ale obecność króla była zbyt przytłaczająca, a sądząc po wyrazie jego twarzy, wynik sporu był mocno niepewny.

Miała nadzieję, że królewskie niezadowolenie skieruje się przeciwko Fitzowi Osbernowi.

Narzuciła płaszcz na ramiona i ciągnąc za sobą hrabinę, zeszła na dziedziniec, by powitać gościa. Niestety, Gervase Fitz Osbern i Hugh de Mortimer już tam byli. Król Henryk zsiadał właśnie z ogiera. Zatrzymała się obok Gervase'a, zirytowana, że nie udało jej się być pierwszą osobą, która pojawiła się przed królem jako pani na Clifford.

- Przypuszczam, że to również twoja sprawka. - Twarz Fitz Osberna była

równie zimna i ponura jak jego głos.

Rosamund poczuła ulgę na myśl, że nie musi tym razem stawiać mu czoła sam na sam.

- Nie. - Zmusiła się, by odpowiedzieć na jego wrogie spojrzenie pewnym siebie uśmiechem. - Ja tylko poprosiłam króla o pomoc.

- Przy odrobinie szczęścia uda ci się pozbyć mnie stąd jeszcze dziś przed wieczorem.

- Modłę się do Boga, by tak się stało.

Jeśli naprawdę tego pragnęła, dlaczego czuła się tak podle? Zadrzała pod ciepłym płaszczem, może z powodu wilgotnego powietrza. Takie rozstrzygnięcie z pewnością powinno napełnić ją szczęściem. A skoro Fitz Osbern pierwszy powitał króla, no cóż, trudno. Skupiła uwagę na rozmowie, która musiała lada chwila wyniknąć między królem a nieposłusznym lordem z pogranicza.

Henryk, król Anglii, rudowłosy i brodaty, z błękitnymi oczami promieniejącymi energią, przechadzał się po dziedzińcu, rozglądając się dokoła, jakby był właścicielem tego miejsca. Jego rdzawa szata haftowana złotem nedorzecznie gryzła się z kolorem włosów, ale nie sposób było nie zauważyć jego obecności. Był niewiele starszy od Rosamund. Mocno zbudowany, emanował siłą i pewnością siebie. Zatrzymał się przed dwoma mężczyznami, skupiając wzrok na człowieku, którego upór zmusił go do przyjazdu tutaj.

- Fitz Osbern - oświadczył wprost - i widzę też de Mortimera.

- Wasza Wysokość. - Twarz Fitz Osberna wciąż była zacięta w uporze.

Nie wróżyło to dobrze nadchodzącej rozmowie. Jednak obydwaj z de Mortimerem skłonili się królowi z uszanowaniem.

Henryk, który nigdy nie przywiązywał wagi do ceremonii, nie zwrócił na to uwagi.

- Nie przyjechaliście do Ludlow, chociaż wam to nakazałem - rzekł, unosząc rude brwi.

- Nie, Wasza Wysokość. - Ciemne brwi ściągnęły się w grubą krechę nad

garbatym nosem. - Nie przybyłem do Ludlow.

- Zdaje się, że mamy tu konflikt dwóch charakterów.

Rosamund pomyślała, że w tych okolicznościach było to bardzo łagodne określenie.

- Brak tu sprawiedliwości, panie.

- Brak sprawiedliwości? - Henryk uderzył pięścią w ramię Fitz'a Osberna. Lord z pogranicza zniósł to ze stoickim spokojem. Widząc, że nie odnoszą się do siebie szczególnie serdecznie, Rosamund znów poczuła nadzieję. - Przesłałem ci królewski werdykt. Powiedziałem, że rozpatrzę twoją sprawę w Ludlow, ale ty nie usłuchałeś mojego nakazu.

- Ten werdykt przywiózł mi nadęty głupiec, panie.

Rosamund uznała to za ryzykowną odpowiedź. Wstrzymała oddech, pewna, że Fitzowi Osbernowi nie ujdzie to na sucho.

Henryk wybuchnął śmiechem.

- Ha...! Ciekaw byłem, co pomyślisz o sir Jasperze.

- Moje myśli nie są zbyt pochlebne, Wasza Wysokość.

- Taki człowiek czasami się przydaje. - Szeroka, piegowata twarz Henryka rozjaśniła się uśmiechem, ale zaraz znów spoważniała. - Jednak słowa napisane moją ręką i opatrzone pieczęcią powinny mówić same za siebie.

Gervase mocno zacisnął usta.

- Muszę przyznać, że mam popędliwy temperament, Wasza Wysokość.

- To znaczy, że niewiele się zmieniłeś.

- Wydaje mi się, że lata spędzone na pograniczu nauczyły mnie trochę rozsądku, Wasza Wysokość.

- Rozsądku? Pamiętam, jak kiedyś w Anjou rzuciłeś się na pół tuzina ludzi uzbrojonych po zęby, żeby ocalić mi życie. Nie było w tym ani odrobiny rozsądku. To cud, że mogłem ci trochę pomóc.

- Zaiste, panie, to był cud. Jak wspominałem, dojrzałość pozwala na lepszy osąd. Mam nadzieję, że odnosi się to również do Waszej Wysokości, wówczas bowiem

głupio naraziłeś się na atak bandy.

Henryk roześmiał się, znów uderzył Fitz'a Osberna pięścią w ramię, po czym ciepłym gestem ujął jego dłoń.

- Dobrze powiedziane. Zawsze byłem zbyt uparty. Mam dobre wspomnienia z naszych wspólnych kampanii. Cenię twoją odwagę w bitwie i dobre rady, Ger, a także twoją lojalność.

- Wasza Wysokość, mojej lojalności wobec ciebie nie można kwestionować.

Uwagi Rosamund nie uszła subtelna zmiana nastroju tej rozmowy. Twarz Fitz'a Osberna rozjaśniła się uśmiechem, który wygładził twarde linie dokoła jego ust i złagodził ostre rysy twarzy. W tej chwili wydawał się niemal przyjazny i poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej. Zaraz jednak zrozumiała, co to oznacza. Król zwracał się do niego po imieniu. Znali się dobrze. Walczyli razem, byli towarzyszami broni. Król zawdzięczał Fitzowi Osbernowi życie. Czy to dobrze, czy źle? Czy król ze względu na przyjaźń i dług wdzięczności wobec Gervase'a da się przeciągnąć na jego stronę w tym sporze?

Henryk przyjaznym gestem ujął Fitz'a Osberna pod ramię.

- O co tu chodzi, Ger? Dama wyjaśniła mi już swój punkt widzenia.

Przyjazny uśmiech zniknął.

- Chodzi o kradzież i wykroczenie.

- Mhm... A dama? Czy nie możecie się jakoś dogadać? Nie potrafisz jej przekonać?

- Nie!

- W takim razie co jest z nią nie tak? Czy jest brzydka jak noc albo tak stara, że mogłaby być twoją babcią? Muszą być jakieś powody, dla których nie możesz jej oczarować. Zdaje się, że nazywa się de Longspey. Znam earla Gilberta, ale nie mogę sobie przypomnieć lady Rosamund. Jeśli jest równie blada na twarzy i uparta jak ta córka earla Williama, która weszła do rodziny Bohunów, to rozumiem, skąd bierze się twój opór przed zbliżeniem z nią. Nieprzyjemny charakter i...

Fitz Osbern odchrząknął ze skrzępowaniem. Słowa zamarły Henrykowi na

ustach. Niezręcznie spojrział w bok i jego wzrok zatrzymał się na dwóch kobiecych postaciach. Rosamund natychmiast wykorzystała chwilę milczenia.

- To ja jestem Rosamund de Longspey, Wasza Wysokość. - Dygnęła nisko, z satysfakcją przyglądając się jego twarzy, na której odmalowało się zażenowanie.

Hugh zamaskował uśmiech, podnosząc ręce do twarzy. Fitz Osbern pozostawał irytująco niewzruszony.

Henryk skłonił się przed nią i ujął jej dłoń, przytłaczając ją impetem swojej osobowości. Uśmiechnął się do niej z podziwem i błyskiem humoru w oczach.

- Pani, tysiącrotnie błagam cię o wybaczenie, choć nie zasłużyłem na nie. Widzę, że moje przypuszczenia były bardzo dalekie od prawdy. Należy mi się chłosta za impertynencję.

- Jestem adoptowaną córką earla Williama, Wasza Wysokość - wyjaśniła Rosamund z wdziękiem, zauważając, że uśmiech Henryka jest czarujący. - A to moja matka, hrabina Petronilla. - Henryk znów się skłonił. Matka i córka uśmiechnęły się do niego. Nie sposób było tego nie uczynić. - Wdzięczna ci jestem, że zechciałeś tu przybyć, panie, by wysłuchać mojej prośby o sprawiedliwość.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani. Może zechciałabyś mnie teraz nakarmić? Zaraz potem urządzimy posiedzenie sądu i oznajmię wam moją decyzję osobiście.

Wzrok Gervase'a wyostrzył się.

- Posiedzenie sądu?

- Dlaczego nie? To rozstrzygnie sprawę raz na zawsze.

- Kiedy?

- Dziś po południu. Chcę wrócić do Hereford do jutra. Nie mam czasu na drobne spory.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Rosamund nie odważyła się spojrzeć na swego przeciwnika. Wiedziała, że jego oczy są utkwione w jej twarzy.

Henryk zatarł ręce.

- W takim razie postanowione. Chodźmy zatem. - Familiarnie wsunął dłoń pod ramię Fitz'a Osberna i skinął na de Mortimera. - Tymczasem spróbuję waszego piwa. Co donoszą twoi szpiedzy o sytuacji na zachodzie, Hugh? A ty, Ger, możesz mi opowiedzieć, jak było w Anjou. Zdaje się, że niedawno stamtąd wróciłeś. Zamierzam tam popłynąć w przyszłym miesiącu, ale chciałbym się najpierw dowiedzieć, na ile, twoim zdaniem, trwały jest pokój.

Ruszyli do zamku pogrążeni w typowo męskiej dyspacie o walce i budowie zamków. Rosamund szła za nimi z desperacją na twarzy. Jaką mogła mieć nadzieję, że wyrok będzie dla niej korzystny, skoro król szedł ramię w ramię z jej wrogiem, jakby byli najlepszymi kompanami? Jak to możliwe, by rabuś i łotr, który skradł jej zamek, pozostawał w tak bliskich stosunkach z władcą Anglii?

- Popatrz tylko - mruknęła, gdy głośny wybuch śmiechu wstrząsnął trójką mężczyzn.

- Widzę. - Lady Petronilla wydawała się równie zaskoczona i niezbyt zadowolona. - Hugh de Mortimer też. Być może, Rose, nie doceniłyśmy naszych lordów rabusiów.

- Zdaje się, że masz rację.

- Nie martwcie się. - Słyszając cichy głos u swego boku, Rosamund drgnęła. Królowa Eleonora, która wcześniej siedziała spokojnie na koniu, przysłuchując się rozmowie równie uważnie jak Rosamund, niepostrzeżenie zsiadła na ziemię i stanęła obok nich. Rosamund pośpiesznie zwróciła się w jej stronę, świadoma niestosowności swojego zachowania w obliczu tej zadziwiającej kobiety, o której wiele słyszała. Dygnęła niezręcznie, podniosła głowę i natychmiast oczarował ją uśmiech na dumnej twarzy.

Rosamund nigdy dotychczas nie spotkała królowej, słyszała jednak wiele legend o jej urodzie i skandalicznej przeszłości. I oto ta niezwykła kobieta znalazła się w Clifford i wyciągała do niej rękę. Wysoka i postawna, o posągowej figurze, obdarzona była wielkim wdziękiem i niezwykłą, zapierającą dech w piersiach urodą. Nosila się z królewską godnością, której wyraźnie brakowało jej energicznemu małżonkowi. Nie

było również widać po niej wieku. Nikt by nie uwierzył, że była już dobrze po trzydziestce.

- Henryk wyda sprawiedliwy wyrok, bądź o tym przekonana - rzekła Eleonora miękko, modulowanym głosem.

- Wątpię w to, Wasza Wysokość - odważyła się rzec Rosamund, ośmielona przyjaznym uśmiechem. - Nie wiedziałam, że są tak bliskimi przyjaciółmi.

- Nie aż tak bliskimi, ale to prawda, że znają się od dawna. Wspólne walki zbliżają mężczyzn. Zapewniam cię jednak, że pomimo przyjaźni i braterstwa broni mój pan nie da się odwieść z drogi sprawiedliwości.

- Fitz Osbern potrafi być przekonujący.

- Lecz ciebie jakoś nie przekonał. - Królowa uśmiechnęła się. - Czy jesteś pewna, że chcesz go stąd wypędzić?

- Nie mam innego wyjścia, jeśli chcę sama tu pozostać.

Królowa wdzięcznie przechyliła głowę.

- To atrakcyjny mężczyzna i zdaje się, że jest wolny.

- Tak, zaproponował mi małżeństwo.

- I?

- Odrzuciłam go.

- Naprawdę?

Rozbawione zainteresowanie na twarzy królowej wywołało rumieniec na policzkach Rosamund, nie pozwoliła jednak się spieszyć.

- Naprawdę. Nie mogłabym wyjść za mężczyznę o popędliwym temperamencie, a ponadto bardzo aroganckiego.

Pięknie wykrojone usta drgnęły w uśmiechu.

- Ja też nie, ale posłuchaj, Rose... Czy mogę się tak do ciebie zwracać? Doskonale. - Nie czekając na pozwolenie, królowa ruszyła w stronę wieży. - Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie można się schronić przed tym wiatrem? Opowiedz mi o wszystkim, zanim mój pan obwieści początek posiedzenia sądu. Powinnaś wiedzieć, że bardzo lubię silnych mężczyzn. Czasami trudno sobie z nimi poradzić, ale nie jest

to niemożliwe dla bystrej kobiety, za jaką cię uważam. Opowiesz mi, co cię opętało, by odrzucić mężczyznę tak przystojnego jak Fitz Osbern.

I tak oto Rosamund znalazła się w bawialni w towarzystwie królowej i z wielką przyjemnością odkryła, że w kwestii dominujących i trudnych do opanowania mężczyzn są zupełnie jednomyślne.

- Jest niekulturalny i niecywilizowany. Ubiera się i zachowuje nie lepiej niż jeden ze swoich żołnierzy. Pije i hula z nimi do późna w nocy. O ile wiem, każdego wieczoru upija się piwem. - Nie wiedziała, czy jest to prawda, ale brzmiało to wystarczająco efektownie. - Piekielny zgiełk ich pijackich śpiewów ogłusza mnie nawet w mojej komnacie, podobnie jak łomot przy przebudowie zamku w ciągu dnia. Kurz i brud, walenie młotów od świtu do nocy, aż głowa mi od tego pęka. - Wolała nie wspominać, że wzmocnienie i remonty w gruncie rzeczy są dla niej z korzyścią. - Czy możesz sobie, pani, wyobrazić, że mój dowódca, ustanowiony tu przez de Longspeyów, słucha tylko rozkazów Fitz Osberna, w ogóle ich nie kwestionując? Pytasz jeszcze, pani, dlaczego odrzuciłam propozycję małżeństwa? Jest agresywny. Rządzi się na zamku, jakby był jego właścicielem. Grozi mi i wykrzykuje rozkazy. Przez niego z matką musiałyśmy siedzieć przez cały dzień na zimnym deszczu. Mogłyśmy dostać reumatyzmu! A Hugh de Mortimer wcale nie jest lepszy.

Eleonora, wygodnie usadowiona na miękkich poduszkach, przeprosiła za niezwykle u niej brak energii. Była w zaawansowanej ciąży, pod szatą wyraźnie rysował się zaokrąglony brzusek. Było to jej piąte dziecko z Henrykiem. Nie chciała jednak żadnych wyrazów podziwu za to, że w tym stanie zdecydowała się towarzyszyć mężowi. Była w znakomitym zdrowiu, przez całe życie nigdy nie chorowała. Teraz mruknęła coś ze współczuciem, popijając bordo, podczas gdy Rosamund korzystała z okazji, że ma empatyczną słuchaczkę, kogoś innego niż matka, która nie zawsze miała ochotę widzieć wszystko w tym samym świetle co ona.

- To prawda. Sprawia wrażenie brutala - zgodziła się królowa.

- I jest nim! Groził, że każe mnie wychłostać i zamknąć w mojej komnacie - dodała Rosamund z ogniem w oczach.

- Rose... - wtrąciła Petronilla - robisz z niego potwora.
- Bo nim jest! Przysięgam! Ignoruje mnie przy posiłkach.
- To zupełnie jak Henryk, kiedy jest czymś zaabsorbowany. - Eleonora pokiwała głową. - Czy to już wszystko?
- Chyba nie... Z pewnością coś jeszcze mi się przypomni.
- Czy on nie ma żadnych zalet?
- Żadnych!
- Rosamund! - westchnęła matka.

Panna wydeła usta.

- No dobrze! Muszę przyznać, że gdy mieliśmy problem z wodą, doprowadził studnię do porządku.

- A najazd Walińczyków? - podsunęła hrabina z wielką uciechą w głosie. - Chyba to też możemy dopisać do listy jego zasług.

Rosamund zarumieniła się.

- No tak... Wyratował mnie przed atakiem walijskich rabusiów, którzy zabili moją klacz i omal nie wzięli mnie do niewoli - poinformowała zdumioną Eleonorę. - Jednak od tamtej pory nie było żadnych ataków. Wiem, że on codziennie wysyła patrole żołnierzy wzdłuż rzeki.

- Oczywiście, to jest coś warte. - Królowa skinęła głową i powiodła szczupłym palcem po ornamencie na pucharze. - Czy taktuje cię z szacunkiem?

- Nie! Ignoruje moje życzenia.

- Mhm... A czy potrafiłabyś obronić to miejsce bez niego? Należy się nad tym zastanowić.

- No cóż... - Rose wołała nie zagłębiać się zbyt w ten temat.

Eleonora uniosła brwi.

- Twój brat mówi, że miałaś wyjść za Ralpa de Morgana.

Rosamund westchnęła. Królowa była zdumiewająco dobrze poinformowana.

- Earl Gilbert zdecydowanie twierdzi, że muszę to zrobić, ale ja się nie zgadzam.

- To bardzo rozsądne z twojej strony. Czy chcesz mojej rady? Wyjdź za

Gervase'a Fitz Osberna, a nie będziesz musiała zastanawiać się nad kandydaturą Ralpa. - Widząc, że Rosamund już otwiera usta, by zaprotestować, królowa uniosła dłoń. - Wiele za nim przemawia. Wiem, że twoim zdaniem nie jest lepszy od zwykłego najemnika, ja jednak widzę w nim raczej człowieka czynu, o silnym charakterze i bardzo męskiego. - Urwała na chwilę, przechyliła głowę na bok i dodała: - Sądzę, że Fitz Osbern może cię jeszcze zadziwić, tak jak Henryk zadziwił mnie. - Zaśmiała się cicho, jakby było to przyjemne wspomnienie. - Wielu uważa, że Henryk jest zbyt bezpośredni, zbyt niespokojny, zbyt popędliwy. Owszem, bywa taki, ale pozory potrafią zwodzić.

Rosamund przyglądała się pięknej, uśmiechniętej twarzy, na której widoczna była determinacja. Oto kobieta, która była kiedyś żoną króla Francji. Została przez niego odrzucona, przeciągnięta przez skandaliczny rozwód, a potem w oko wpadł jej Henryk Plantagenet, który wówczas był zaledwie diukiem Normandii. Była od niego o jakieś dziesięć lat starsza, potrafiła jednak zawojować jego serce i doprowadzić do małżeństwa, które uczyniło ją królową Anglii. Czyż nie było warto pójść za radą kogoś takiego?

Jakby czytając w jej myślach, Eleonora uniosła upierścienioną dłoń.

- Jeśli zechcesz mnie wysłuchać, z wielką radością udzielę ci pewnej rady, rzecz jasna opartej na moim rozległym doświadczeniu.

Rozległe doświadczenie? Rosamund była zdumiona. Pochlebiało jej, że królowa rozmawia z nią w taki sposób, znała jednak wszystkie plotki dotyczące jej reputacji, toteż tylko skinęła głową.

- Czasem sytuacja wymaga, by dobrze urodzona dama odrzuciła panięską skromność i wszelkie zasady, które wpojono jej podczas wychowania, tylko bowiem w ten sposób może pochwytać szczęście. - Królowa uśmiechnęła się pobłaźliwie do Petronilli, która niezmordowanie, choć ze zmiennym szczęściem, próbowała wpoić córce ową skromność i zasady.

- Jeśli tego nie uczyni z lęku przed plotkami i potępieniem społeczeństwa, to może sama się skazać na samotne i pozbawione miłości życie, aż nadejdzie śmierć i

odbierze jej wszelkie marzenia.

Zdumiona niewłaściwością tej wyrażonej wprost rady, Rosamund zauważyła, że jej matka zaciska mocno dłonie na kolanach. Oczywiście, ta rada skierowana była również i do niej. Eleonora pogładziła się po brzuchu i z błyszczącymi oczami mówiła dalej:

- Mój pierwszy mąż, Ludwik, król Francji, nie potrafił dać szczęścia żadnej kobiecie w łożu ani poza nim. Szybko przekonałam się, jeszcze jako młoda dziewczyna, że poślubiłam mnicha, a nie mężczyznę. I był to mnich odporny na wszelkie kobiece sztuczki. - Z niesmakiem wzruszyła ramionami. - Wolał się modlić, niż dawać mi przyjemność. Nasze małżeństwo zostało anulowane na jego życzenie i ku mojemu wielkiemu zadowoleniu, urodziłam mu bowiem tylko dwie córki, a on oczywiście potrzebował syna, dziedzica. Dowiódł, że nie potrafi go spłodzić ze mną. Pretekstem do rozwodu było to, że jesteśmy kuzynami trzeciego stopnia. - Lekceważąco machnęła elegancką dłonią i napiła się wina, pogrążona w myślach o przeszłości. - Jednak mogłabym mu lepiej wyjaśnić powody tej niemocy. Okropnie mnie nudził!

- I czy powiedziałaś mu o tym, pani? - Szczegóły barwnego życia Eleonory fascynowały Petronillę tak samo jak Rosamund. Żadna z nich nie potrafiła sobie wyobrazić tak intymnych dysput z królem Francji, Eleonora jednak nie miała zahamowań.

- Powiedziałam. Nie rozstaliśmy się w najlepszych stosunkach. Jednak dość już o nim. Mówimy o mnie. - Jej pełna wdzięku arogancja była zadziwiająca. - Byłam wielką dziedziczką, miałam dwadzieścia dziewięć lat i gotowa byłam na silnego męża. Dostrzegło to wielu możnych panów z całej Europy. Kilku próbowało mnie uwieść, ale udało mi się ich uniknąć.

- Czy wróciłaś wtedy do domu, do posiadłości swego ojca? - Petronilla dobrze rozumiała, jak bolesny mógłby się okazać taki obrót wydarzeń.

Twarz Eleonory, która wiedziała o przejściach pani de Longspey, złagodniała.

- Mój ojciec już nie żył, toteż nie musiałam znosić żadnych nacisków z tej

strony. Wiedziała, czego chcę, albo też raczej: kogo chcę. Chciałam Henryka Plantageneta. Wówczas był diukiem Normandii, oczywiście bardzo jeszcze młodym - miał zaledwie osiemnaście lat, ale nie był niedoświadczony, jeśli chodzi o potrzeby kobiet. Wpadł mi w oko już podczas pierwszego spotkania w Paryżu. Był wysoki i przystojny, pełen wigoru i energii. I tak podniecająco męski... Zupełnie tak przystojny i energiczny jak jego ojciec, książę Geoffrey z Anjou. - Zadowolony błysk w jej oku zdumiał Rosamund, a jeszcze bardziej Petronillę, która wolała nie pytać, skąd ta pewna siebie dama tak dobrze znała wigor ojca Henryka.

- I cóż uczyniłaś, pani? Czy... - Jakże trudno było zapytać królową, czy kochała Henryka na tyle, by zaryzykować dla niego swoją reputację i narazić się na plotki na dworach całej Europy.

- Czy kochałam Henryka? - pomogła jej Eleonora. - Och, tak! Od chwili, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy. I wiedziałam, że go pragnę. Stałam mu na drodze i dopilnowałam, by należał do mnie, zanim jeszcze moje małżeństwo zostało anulowane. Po anulowaniu nastąpiło osiem tygodni prawnych przepychanek, aż otrzymałam dyspensę od papieża. Tych osiem tygodni wydawało mi się wiecznością.

- Mnie się wydaje, że to bardzo krótki czas - zauważyła Petronilla.

- Moi doradcy też tak twierdzili - ciągnęła Eleonora - ale pragnęłam Henryka i poślubiłam go. Wzięłam go do łóżka, zanim biskup nas pobłogosławił, i nie rozczarowałam się. Życie z Ludwikiem uczyniło ze mnie zakonnice.

Rosamund przyjrzała się królowej, tak dostojnej i majestatycznej, z nowym podziwem. W istocie, odrzucając konwencje, sama kształtowała swoje życie według własnych potrzeb. Oczywiście, była bogata i potężna, ale nie pozwalała, by cokolwiek stanęło jej na drodze.

- I czy kiedykolwiek żałowałaś tego, że poślubiłaś Henryka? - Rosamund zarumieniła się. Pytanie było bardzo intymne, ale musiała to wiedzieć, a nie sądziła, by królowa miała się wzbraniać przed odpowiedzią.

Eleonora zmarszczyła prosty nos.

- Czy żałowałam? Przyznaję, że czasem irytuje mnie on niezmiernie. Nie

potrafię nim kierować tak, jak miałam nadzieję wcześniej. Ma na to zbyt zdecydowany charakter, lecz nie mogłabym kochać kogoś miękkiego jak glina. Potrzebuję silnego mężczyzny i kochanka. - W zamyśleniu przechyliła głowę na bok. - Henryk dał mi synów. To moje piąte dziecko w ciągu sześciu lat naszego małżeństwa i czuję już, jak kopie. Będzie zupełnie taki jak jego ojciec. - Znów pogładziła się po brzuchu. - Henryk słucha mnie, pyta o radę, nawet jeśli nie zawsze według niej postępuje. - Zaśmiała się cicho. - Nie, nie żałuję. Któż mógłby się oprzeć mężczyźnie takiemu jak Henryk? Między nami jest płomień, którego nie da się zignorować. Nie potrafię mu się oprzeć, a on mnie. Wiedziałam to już od chwili, gdy go poznałam. To, co kobieta potrafi znaleźć w łóżu z mężczyzną, jest najważniejsze w życiu.

Rosamund pochyliła się do przodu, chłonąc każde jej słowo.

- Więc jaka jest twoja rada, Wasza Wysokość?

- Moja rada jest bardzo prosta. Kobieta powinna użyć głowy i ciała, by usidlić mężczyznę, którego pragnie. Nawet tak zdeteminowanego mężczyznę jak Henryk Plantagenet czy Gervase Fitz Osbern. - W komnacie rozległ się jej ciepły śmiech.

- Kłopot w tym, że sama nie wiem, czy go pragnę. - Rose pochyliła głowę i spojrzała na swoje splecione palce.

- Pragniesz go. Ja o tym wiem.

Rosamund próbowała dojść do ładu z rewelacjami królowej, gdy ta w końcu przyznała się do znużenia i poszła odpocząć chwilę przed posiedzeniem sądu. Były to zaiste zapierające dech w piersi wskazówki. Księżna Akwitanii mogła pozwolić sobie na to, by odrzucić jednego króla i zwabić do swego łóża innego, ale na cóż podobne rady mogły się zdać Rosamund - nawet gdyby rzeczywiście zamierzała usidlić Gervase'a Fitz Osberna, czego przecież nie chciała? Czyż nie robiła wszystkiego, co było w jej mocy, by się go pozbyć?

- Sądzę, że jako matka powinnam ci zakazać słuchania tych rad - stwierdziła Petronilla, równie wstrząśnięta po rozmowie z królewskim gościem.

- Ale nie zakazałaś.

- No cóż...

Podeszły do okna, by popatrzeć na trzech pogrążonych w rozmowie mężczyzn, którzy niespiesznym krokiem szli przez dziedziniec.

- Rozumiem zatem, że nie zamierzasz odwołać się do kobiecych sztuczek, by uwieść lorda de Mortimera?

- Naturalnie, że nie.

Rosamund zatrzymała spojrzenie na szerokich ramionach i płomiennej czuprynie króla Henryka.

- Królowa mówiła, że on jest tak podniecająco męski. - Jej uznanie dla postaci króla było jednak przelotne. Szybko przeniosła wzrok na wyższego i ciemniejszego mężczyznę, stojącego obok. Bez trudu mogła uwierzyć, że Gervase okazałby się równie męski.

- Czy nic do niego nie czujesz? Żadnego przyciągania? Żadnej sympatii? - zapytała Eleonora, gdy Rosamund odprowadzała ją na odpoczynek.

Sympatia? Jeśli miała być szczerą, było to zbyt łagodne określenie, ale czyż miała obnażać serce przed królową, skoro sama nie była pewna własnych uczuć? Pamiętała tylko płomień, który ją ogarnął podczas pierwszego spotkania, gdy Gervase porwał ją w objęcia i przytrzymał przy sobie, by ochronić przed niebezpieczeństwem, i który pojawiał się za każdym razem przy podobnych okazjach.

- Nie czuję do niego sympatii - odrzekła w końcu - ale...

- A czy on cię lubi?

Na to pytanie mogła odpowiedzieć bez trudu.

- Sądzę, że żywi do mnie niechęć.

- Bardzo w to wątpię. - Eleonora położyła dłoń na jej ramieniu. - W takim razie wysłuchaj jeszcze jednej rady od kobiety, która ma więcej doświadczenia niż ty. Pozwól mu zarządzać zamkiem, jak chce, a jeśli przeprowadzisz swoją wolę, zrób to tak, by on tego nie zauważył. Sprytna kobieta potrafi kierować mężczyzną z uśmiechem i ukryć żelazną wolę pod trzepotaniem rzęs. Sądzę, że w tym sporze wyrok Henryka będzie korzystny dla ciebie, ale to z kolei nie jest korzystne dla twoich

stosunków z Fitzem Osbernem. Jeśli go chcesz, a myślę, że chcesz, musisz urządzić to tak, by to on mógł wybierać. Niech sądzi, że wyszedł z potyczki zwycięsko. Oczywiście, istnieje pewne ryzyko, bo on może cię odrzucić, ale sprytna kobieta potrafi bardzo to mężczyźnie utrudnić, jeśli nie uniemożliwić.

W drodze do wielkiej sali, gdzie miało się odbyć posiedzenie sądu pod przewodnictwem Henryka, zatrzymały się na szczycie schodów. Królowa w zupełnie nieprzystający do jej godności sposób szturchnęła Rosamund, wskazując głową na grupkę czekających na dole mężczyzn. W jej głosie zabrzmiał śmiech.

- Widzę, że lord Monmouth zrobił dobry użytek z ostatniej godziny. Ja bym nie wyrzuciła takiego mężczyzny z łóżka, a ty, Rose?

Rosamund nie odpowiedziała, bo zapało jej dech. Mężczyzna, którego zobaczyła na dole, zupełnie nie przypominał pospolitego, zaniedbanego żołnierza o prostackich manierach, jakiego widywała tutaj ostatnimi czasy. Zwiódł ją. Celowo i oburzająco. A ona dała się nabrać.

Rozdział dziewiąty

Lord Monmouth?!

Gęste czarne włosy, przycięte, umyte i uczesane, opadały na kołnierz szaty, dodając ostrości surowej twarzy o prostych, ciemnych brwiach i arystokratycznym nosie. Broda również zniknęła, odsłaniając podbródek o nieoczekiwanie stanowczym zarysie. Zamiast zniszczonych żołnierskich ubrań Rosamund ujrzała nogawice z cienkiej tkaniny, miękkie, sznurowane po bokach buty z doskonałej skóry i ciężką wierzchnią szatę sięgającą kolan, w ciemnordzawym kolorze i po brzegach haftowaną jedwabiem. Spod szaty wyłaniała się koszula z cienkiego płótna. Fitz Osbern zamienił też zwykły pas na ozdobny, wysadzany klejnotami. Na jednej z jego dłoni lśnił pierścień ze szmaragdem. Nawet stojąc obok imponującego króla Henryka, Gervase przyciągał wzrok. Rosamund, zadziwiona przemianą lorda rabusia w eleganckiego dworzanina, patrzyła na niego jak zaczarowana.

- Lord Monmouth? Czy on naprawdę nim jest?

- Nie wiedziałaś o tym? - z uśmiechem spytała Eleonora.

- Nie wiedziałam o bardzo wielu rzeczach - przyznała Rosamund z goryczą. - Może powinnaś powiedzieć mi więcej, Wasza Wysokość. Sądzę, że fen oto lord Monmouth przez cały czas śmiał się ze mnie w kułak. Bawił się ze mną jak kot z myszą, czekając, aż wpadnę w jego łapy. I chyba wiem dlaczego...

Jednak złość, że dała się zwieść, nie mogła przyćmić wrażenia, jakie na niej wywarł. Na Boga, był uderzająco przystojny! Niewątpliwie zależało mu na tym, by olśnić króla. Gdyby to przewidziała, sama również zmieniłaby codzienną wełnianą suknię bez żadnych ozdób na strojnieszszą.

Patrzyła na niego, ignorując chichot dochodzący od strony matki, aż w końcu on również odwrócił głowę i spojrzał na nią. Jak zahipnotyzowana, ruszyła w stronę podwyższenia.

- Lady Rosamund.

Podniosła rękę i szepnęła, nie chcąc zwracać na siebie uwagi:

- Okłamałeś mnie, Fitz Osbern.

- Nie, pani, nie okłamałem cię.

Był bardzo denerwujący.

- Pozwoliłeś mi myśleć, że jesteś biednym najemnikiem, jednym z bandytów grasujących po pograniczu.

- O ile sobie przypominam, zaczęłaś tak myśleć bez żadnej zachęty z mojej strony - odrzekł sucho. - Powiedziałaś mi to już przy pierwszym naszym spotkaniu.

- Traktowałaś mnie bez odrobiny szacunku!

- Przypominam sobie również, że nie miałaś nic przeciwko moim pocałunkom, jeśli je właśnie masz na myśli, mówiąc o braku szacunku. Chwilami wręcz odnosiłem wrażenie, że mnie do nich zachęcasz.

Rosamund próbowała zignorować falę gorąca. Nie mogła zaprzeczyć, ale też nie chciała puścić mu tego płazem.

- Wiele się o tobie dowiedziałam od królowej. Nie jesteś bezwzględny rabusiem ani najemnikiem uzależnionym od łaski jakiegoś pana. Fitzowie Osbernowie przybyli na te ziemie z Wilhelmem Zdobywcą.

Ciemne brwi uniosły się nieco.

- Przecież sam ci o tym mówiłem. To nie moja wina, że mi nie wierzyłaś.

- Zachowywałaś się tak, jakbyś nigdy w życiu nie słyszał o dworności i dobrych manierach ani nie widział gorącej wody. Teraz wiem od królowej, że to wszystko były kłamstwa. Twoja rodzina posiada wielkie posiadłości w Anjou, a ty sam jesteś lordem Monmouth i pozostajesz w bliskich stosunkach z królem. Twoja matka, lady Maude, jest zupełnie zdrowa i pod twoją nieobecność zarządza dobrami w Monmouth. Walczyłeś z królem Henrykiem w wojnie domowej, gdy Stefan przywłaszczył sobie tron, i zyskałeś reputację doskonałego żołnierza. Masz młodszą siostrę, o którą bardzo się troszczysz. - Rosamund odetchnęła głęboko. - Bawiłeś się mną okrutnie.

- To prawda.

Rozbroił ją tym stwierdzeniem.

- Sądziłem, że to jedyny sposób, by przekonać cię do wyjazdu stąd z własnej

woli. Myślałem, że to uczynisz, jeśli będziesz obawiać się o swój honor.

- A czy postąpiłbyś ze mną niehonorowo?

Po bardzo krótkiej chwili Fitz Osbern odrzekł:

- Nie, Rosamund, nie uczyniłbym tego. Co prawda ty mnie zdradziłaś, ja cię jednak szanuję.

Pobladła. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Był to bolesny cios. Z opresji wybawił ją Henryk, który niecierpliwie poprosił wszystkich o uwagę. Usiadła na wskazanym miejscu i oderwała wreszcie wzrok od Fitz Osberna. Wygląd i słowa nic nie znaczyły.

Siedziała przy stole obok królowej, nie patrząc w stronę lorda Monmouth, skupiona wyłącznie na królu. Miała nadzieję, że Gervase to zauważy. Henryk zajął miejsce pośrodku stołu, a Eleonora po jego prawej stronie. Rosamund patrzyła na nich. Choć Henryk był zniecierpliwiony i niespokojny, troszczył się o żonę. Podniósł się, gdy się zbliżyła, i posadził ją na krześle. Gdy na nią patrzył, uśmiechał się i w jego oczach pojawiała się ciepło. Tak, z pewnością istniało między nimi uczucie. Naraz Rosamund zapragnęła ujrzeć podobny wyraz w oczach Gervase'a.

Petronilla zajmowała miejsce obok niej, a lord Hugh obok lorda Monmouth, przy drugim końcu stołu. Wszystko teraz zależało od kaprysu mężczyzny, który siedział pomiędzy nimi.

Henryk nie tracił czasu.

- Wszyscy wiemy, o co chodzi w tej sprawie. - Przed nim na stole leżały rozłożone dokumenty poświadczające prawa Rosamund do Clifford. Oparł łokcie na stole, szybko przebiegł je wzrokiem i zwrócił się do niej: - Zamek Clifford, wraz z zamkami Wigmore i Ewyas Harold, również leżącymi na pograniczu, stanowią twój spadek po earlu Williamie, a także jedyny twój posag. Rozumiem, że pragniesz tutaj zamieszkać?

- Tak, Wasza Wysokość.

- Nie widzę w tym żadnego problemu. - Henryk rzucił spojrzenie na drugi koniec stołu. - Jakie zgłaszasz obiekcje, Fitz Osbern?

Fitz Osbern odpowiedział natychmiast, krótko i rzeczowo. Rosamund musiała przyznać, że jego słowa wywarły na niej wrażenie.

- Te trzy fortece nie były własnością de Longspeya, toteż nie mógł nimi dysponować. Zostały skradzione, gdy mój ojciec walczył w Anjou - niech mi wolno będzie przypomnieć, że w twojej sprawie, Wasza Wysokość. Wszystkie trzy pierwotnie były częścią dóbr nadanych Fitzom Osbernom przez Wilhelma Zdobywcę po podboju Anglii i de Longspey nie miał do nich żadnych praw. - Co więcej, Clifford był miejscem szczególnie miłym sercu mego ojca. Ja sam również mieszkałem tu przez jakiś czas. Wedle prawa te fortece należą do mnie. Kradzież nie daje podstaw do uzyskania tytułu własności. Chcę odzyskać Clifford, a poza tym... - Zmarszczył brwi i zamknął usta.

- Tak...? - Henryk czekał na ciąg dalszy.

- Nic ważnego, Wasza Wysokość. To wszystko, co chciałem powiedzieć.

- Uhm. - Król złożył dokumenty w zgrabny stosik.

Zmarszczka między jego brwiami pogłębiła się. Oparł się na łokciu i znów pochylił się w stronę Gervase'a.

- Chyba sobie to przypominam... To było na rok przed tym, nim objąłem tron. O ile się nie mylę, Fitz Osbern, twoja młoda żona zginęła w potyczce, gdy de Longspey przejmował zamek.

- Tak było.

O co tu chodziło? Rosamund spojrzała na mężczyznę, który dwoma słowami skwitował tak tragiczne wydarzenie. Nie miała o tym wcześniej pojęcia. A więc Gervase miał już kiedyś żonę, która zginęła. Czy zginęła tutaj, w Clifford? Dlaczego nikt jej dotychczas o tym nie powiedział?

- Mieszkaliście tu razem - ciągnął Henryk.

- Tak. Przez kilka krótkich miesięcy po ślubie.

- Kto był odpowiedzialny za jej śmierć?

Wszystkie emocje uleciały z twarzy Gervase'a, pozostawiając zimną, ponurą maskę, bladą jak wosk płonących świec.

- To nie jest istotne w mojej sprawie, Wasza Wysokość.

- Być może, proszę jednak, byś zechciał mi to wyjaśnić.

Lord Monmouth odetchnął, jakby zbierał siły przed odpowiedzią.

- Matilda, moja żona, próbowała uciec przed atakiem na Clifford. Doniesiono jej, że zanosi się na oblężenie i chciała schronić się u mojej matki w Monmouth.

- Kto wydał rozkaz ataku?

- Earl Salisbury.

- Czy wiedział, że twoja żona jest tu sama?

Gervase zacisnął usta.

- Musiał wiedzieć. A ona nie musiała zginąć. Została otoczona przez żołnierzy de Longspeya. Eskorta nie była w stanie jej ocalić. Earl William nie chciał zawracać sobie głowy braniem jeńców i wszyscy zginęli z ręki jego ludzi. Moja żona też.

Rosamund wzdrygnęła się, słysząc ten krótki i zimny opis tragedii młodej dziewczyny. Dopiero teraz zrozumiała wszystko. Gervase mieszkał w Clifford z Matildą. Czy kochał ją i rozpaczał po niej przez te wszystkie lata? Czy dlatego nie ożenił się powtórnie? Nic dziwnego, że czuł taką niechęć, widząc w zamku kobietę z rodu de Longspeyów zamiast swojej zmarłej żony. Co myślał, widząc, jak ona, Rosamund, przejmuje obowiązki, które wcześniej wypełniała jego żona? Zwykle rzeczy - wymiana sitowia, plewienie ziół, nadzór nad przekopaniem kuchennego ogrodu, rozmowy o codziennych sprawach z Pennardem; wszystkie obowiązki, którymi zwykle zajmowały się panie na zamku. Jak się czuł, wiedząc, że jej ojczym, którego nazwisko nosiła, był odpowiedzialny za ten okrutny czyn? Z jego twarzy nic nie potrafiła wyczytać.

Żałowała, że nie wiedziała o tym wcześniej. Przedwczesna śmierć, spowodowana wypadkiem albo intrygą, nie była niczym niezwykłym, ale trudno było się pogodzić z utratą młodego życia. Poczula wielkie współczucie dla Gervase'a i jego młodej żony.

- Bardzo mi przykro. - Henryk przerwał w końcu milczenie.

- Była bardzo młoda. Nie zasługiwała na taką śmierć. W niczym nie zagrażała de

Longspeyowi ani jego planom. Mógł ją wziąć jako jeńca i zażądać ode mnie okupu, ale on nie znał litości.

- Nie, w niczym mu nie zagrażała. - Henryk znów zmarszczył brwi i pochylił się nad pergaminem.

Jaki będzie jego wyrok w tych okolicznościach? Gervase miał mocne argumenty. Czy król zechce przekazać zamek w silne ręce rycerza, który będzie w stanie utrzymać go w obliczu zagrożenia ze strony Walińczyków? Czy będzie się kierował żołnierską solidarnością? Czy uczci pamięć żony Gervase'a, która tu mieszkała? Rosamund obawiała się, że wszystkie te czynniki mogą wpłynąć na jego decyzję i w gruncie rzeczy nie mogłaby go za to winić. Opuściła wzrok na swoje splecione palce i czekała na swój los. Poczowała wdzięczność do królowej, gdy ta lekko oparła dłoń na jej ramieniu.

Eleonora pochyliła się i szepnęła coś mężowi do ucha. Henryk skinął głową, po czym rozpostarł dłoń płasko na stole i powiódł wzrokiem po wszystkich twarzach.

- Oto mój werdykt. Chcę zachować twierdze przygraniczne w silnych rękach. To niebezpieczny teren. Nie mam też żadnych wątpliwości, że roszczenia Fitz Osberna oparte są na mocnych podstawach. - Serce Rosamund ścisnęło się boleśnie. - Walka jednak rządzi się swoimi prawami i o ile wiem, earl William zdobył ten zamek w uczciwej bitwie. Sprawa nie podlega więc dyskusji. Zamek był jego własnością i mógł nim dysponować wedle własnej woli. A on przekazał Clifford lady Rosamund. - Henryk skłonił głowę w jej stronę.

- W uczciwej bitwie? - powtórzył Fitz Osbern, bliski wybuchu. Hugh szybko położył dłoń na jego ramieniu. - Nic w tym nie było uczciwego, tylko zwykła u de Longspeyów intryga i podstęp! Zaczekał, aż mój ojciec wyjedzie do Anjou...

Henryk podniósł rękę.

- Twój świętej pamięci ojciec powinien był zadbać o obronę zamku. A jeśli chodzi o obecne okoliczności, to ty przejąłeś zamek siłą i stałeś się przyczyną strapienia damy, która nie miała nikogo, kto mógłby jej przyjść na pomoc, i w rozpacz musiała zwrócić się do mnie. - Na twarzy króla odbiło się potępienie. - To

twoja wina, Fitz Osbern. Brutalnie ją zaatakowałeś...

Nie! - pomyślała Rosamund, zaciskając dłonie na krawędzi stołu.

- Zachowałeś się niegodnie. Skradłeś jej ziemie, zdeptałeś jej prawa, traktowałeś bez szacunku, co nie przystoi szlachetnie urodzonemu rycerzowi. Okazałeś brak współczucia wobec jej sytuacji i odnosiłeś się do niej w sposób godny ubolewania...

Co to wszystko miało oznaczać? Rozpacz? Brutalny atak? Brak współczucia? Lista grzechów Fitz Osberna w ustach króla brzmiała zupełnie absurdalnie.

- Nie, to nie było tak!

Zerwała się na nogi, strząsając z siebie dłoń matki. Nic nie mogło jej powstrzymać. Oskarżenia króla wzbudzały w niej coraz większe przerażenie. Nie podobały jej się uczynki Gervase'a, ale w żadnym razie nie był on takim potworem, jakim malował go król! Ponadto teraz ujrzała jego gniew i determinację w innym świetle, rozumiała, że chciał tylko odbudować dumę rodzinną i pomścić pamięć żony. Zrozumiała również, dlaczego był tak zagniewany, gdy wyratował ją z zasadzki Walińczyków. Czy obawiał się, że spotka ją taki sam los jak jego żonę? Winiała go wówczas za porywczy temperament i niechęć do przyjęcia jej przeprosin. Gdyby tylko wiedziała wtedy, jakie są przyczyny jego zachowania... Teraz jednak знаła je i rzucanie na niego całej winy przez króla nie wydawało jej się sprawiedliwe. Ona sama także dołożyła swoją część do konfliktu między nimi.

Nie mogła pozwolić, by niesłusznie go oczerniano. Nie zastanawiając się dłużej ani nie czekając, aż król zezwoli jej przemówić, zaczęła go bronić:

- Nie, Wasza Wysokość, to nie tak! Muszę powiedzieć słowo w obronie lorda Monmouth. Nie naraził mnie na żadne niedogodności, nie uczynił mi krzywdy ani nie traktował źle. - Przełknęła, zmuszona do wyznania prawdy. Wolą na niego teraz nie patrzeć. - Choć nie zgadzał się na opuszczenie mojego zamku, pozwolił mi tu pozostać i zarządzać domem zgodnie z moimi życzeniami. Zawsze byłam przez niego traktowana z szacunkiem.

- Myślałem, że czułaś się poniżona? - zapytał Henryk ze zdumieniem. - Że byłaś tu trzymana siłą? Jeśli nie, to dlaczegoż prosiłaś mnie, bym wymierzył

sprawiedliwość? Co ja tutaj robię, skoro mój czas jest tak cenny? Jeśli między wami wszystko układa się gładko, to nie potrzebujesz mojej pomocy, pani.

Rosamund zaczerwieniła się, ale nie dała się zbić z tropu. Uczciwość kazała jej wyjaśnić sytuację królowi.

- Lord Fitz Osbern zawsze postępował ze mną godnie. To prawda, że przejął zamek, ale traktował mnie z szacunkiem i troszczył się o moją wygodę. Popełniłabym niesprawiedliwość, twierdząc inaczej. - Z trudem powstrzymywała nerwowy śmiech. Fitz Osbern wydawał się równie zdumiony jak król, ale to nie miało znaczenia. - Nie mogę powiedzieć, bym była źle traktowana. Być może sama wykazałam się brakiem cierpliwości. Nie znałam wszystkich faktów z przeszłości lorda Monmouth. Proszę cię tylko, Wasza Wysokość, abyś potwierdził moje prawo własności do Clifford.

- Mhm... - Król nie wydawał się przekonany. Gdy Eleonora szepnęła mu coś do ucha, popatrzył na Osberna ze zmarszczonymi brwiami. - A więc dobrze. Wezmę pod uwagę to, że dama broni lorda Monmouth, ale nie mogę rozgrzeszyć ataku na bezbronną kobietę. To było złe posunięcie. Nie podobają mi się również jego konsekwencje. Jeśli zabiorę damie te ziemie, pozostanie bez posagu. Nie byłoby to godne z mojej strony, a nie chcę, by ktoś mnie oskarżył o to, że upokorzyłem bezbronną kobietę. Toteż, Fitzu Osbernie, mój werdykt stanowi przeciwko tobie. Uznaję, że okupujesz ten zamek bezprawnie. Zapłacisz damie znaczną grzywnę w złocie za niesprawiedliwość, której się wobec niej dopuściłeś. Zbierzesz swoich ludzi i jutro o świcie opuścicie Clifford pod groźbą mojego wielkiego niezadowolenia. - Zmarszczka na jego czole pogłębiła się. - Czy mój werdykt jest jasny?

Gervase skłonił się, przyjmując to, co nieuniknione.

- Absolutnie jasny, Wasza Wysokość. Ja również muszę przyznać, że nie zawsze traktowałem tę oto damę sprawiedliwie.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Zdumiona słowami Gervase'a Rosamund poczuła wielką ulgę, choć wciąż prześladował ją żal z powodu wszystkiego, czego się właśnie dowiedziała.

- Doskonale. Sądzę, że na tym możemy zakończyć rozprawę. A teraz chętnie napiję się wina, o ile zechcesz mnie ugościć, pani. Potem muszę ruszać w drogę. - Henryk uśmiechnął się z satysfakcją do Mortimera, ignorując nieruchome spojrzenie Fitz Osberna. - Czy pojedziesz ze mną do Hereford, Hugh? Zaoszczędzi nam to czasu. Będziemy mogli po drodze porozmawiać o sprawach bezpieczeństwa na pograniczu.

Jeśli nawet Hugh żałował, że nie może odrzucić tego zaproszenia, w każdym razie nie pokazał tego po sobie.

- Pojadę, Wasza Wysokość.

Henryk wstał.

- W takim razie moja praca jest zakończona.

Jednak dla Rosamund i Gervase'a nie był to jeszcze koniec.

Obydwoje mieli wrażenie, że runęła oddzielająca ich bariera. Gdy wszyscy pozostali podnieśli się i rozeszli, oni pozostali na swoich miejscach, przedzieleni długością stołu. Ich spojrzenia nie mogły się od siebie oderwać. Nawiązało się między nimi milczące porozumienie, więź, której nie mogli już dłużej ignorować. Obydwoje świadomi byli siły, która niczym rzeczny nurt przyciągała ich do siebie i której dotychczas bezskutecznie próbowali się opierać. Rose pojęła, że dotychczas błędnie rozumiała jego motywy, nie zdając sobie sprawy z przyczyn jego zachowania. Gervase dostrzegł, że stanęła w jego obronie, gdy uznała, że król osądza go niesprawiedliwie. Podczas tej długiej chwili milczenia wrogość między nimi prysła.

W końcu jednak król przysłał po Gervase'a, a Rosamund poczuła na ramieniu dłoń matki. Musieli zająć się innymi sprawami. Wiedzieli jednak, że nie mogą tego tak zostawić.

On miał wobec niej dług honorowy - musiał odwdzińczyć się jej za współczucie, ona zaś pragnęła przeprosić go za swoją ignorancję.

Praca króla w Clifford również nie była jeszcze zakończona. Fitz Osbern nie zdziwił się szczególnie, gdy znalazł się w ustronnym miejscu sam na sam z Henrykiem.

- Czy chcesz mojej rady, Ger? - zapytał król przyjaźnie, jakby zaledwie przed chwilą nie wydał niekorzystnego dla niego werdyktu.

Fitz Osbern uśmiechał się szyderczo. Zachowanie Henryka wzbudziło jego podejrzliwość. Zastanawiał się, jaki tym razem plan zrodził się w jego przebiegłym umyśle.

- Chyba nie, Wasza Wysokość. Twoja rada może okazać się dla mnie zbyt kosztowna. Właśnie odebrałeś mi trzy zamki.

- Ha! Cóż znaczą te trzy zamki dla człowieka o twoim majątku i pozycji. Nawet nie zauważysz tej straty, a sprawiedliwości musi stać się zadość. Gdybym wydał wyrok przeciwko lady Rosamund, moja żona miałaby mi wiele do powiedzenia.

- A więc oczerniłeś mnie, by zadowolić żonę?

Na twarzy króla malowała się radość intryganta.

- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz, Ger. Eleonora i tak postawiłaby na swoim i niemądrze byłoby sprzeciwiać się jej, ale nie wszystko jeszcze stracone. Teraz, przyjacielu, powiem ci, co ja bym zrobił na twoim miejscu.

- Co?

Henryk, zupełnie niezbity z tropu, wyłożył mu swój plan:

- Wyjedź stąd jutro, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem. A potem, zanim lady Rosamund zdoła zorganizować jakąś obronę, wróć i zacznij oblegać zamek. Nie utrzyma się długo. Możesz prowadzić z nią negocjacje i zagrozić, że ją zagłodzisz. To powinno wystarczyć. Albo możesz przekupić komendanta, żeby otworzył ci bramę. Zdaje się, że on chętniej słucha ciebie niż jej. - Henryk skrzywił się, patrząc na sir Thomasa, który ustawiał jego eskortę w szyk na ciasnym dziedzińcu. - Jeden szybko przeprowadzony atak pozwoli ci odzyskać zarówno zamek, jak i dziewczynę. Przyrowadź księdza z najbliższej wioski i weź z nią ślub. Przywiąż ją do drzwi kościoła, jeśli nie da się inaczej. Nie jest brzydka i sam zastanawiałbym się, czy nie ściągnąć jej do swego łóża, gdyby nie... - Jego wzrok przesunął się w stronę Eleonory, która niecierpliwie czekała na niego w pobliżu. - Mógłbyś trafić o wiele gorzej. Przecież potrzebujesz dziedzica.

Gervase wpatrywał się w króla jak osłupiały, nie wierząc własnym uszom.

- Czyż nie jest to dobry plan?

Fitz Osbern zastanawiał się jeszcze przez chwilę.

- Nie mogę oblegać lady Rosamund w jej zamku, a ona nie zgodzi się na ślub ze mną - rzekł w końcu. - Już ją o to pytałem.

- Ja ci nie każę pytać jej o zgodę. Po prostu zrób to! Gdy już klamka zapadnie, problem będzie rozwiązany. Założę się, że ona nie ma nic przeciwko temu, żeby mieć cię za męża. - Henryk wybuchnął cichym śmiechem. - Od razu stanęła w twojej obronie.

- Łatwo powiedzieć, ale trudniej zrobić! Z pewnością nie jest to rycerski uczynek.

Król wzruszył ramionami.

- Jeśli odmówi, to możesz zagrozić, że sprowadzisz tu Ralpa de Morgana.

- Ostatnim razem, kiedy próbowałem jej grozić, rozbiła obóz tuż za bramą i nie chciała się stamtąd ruszyć.

Henryk uśmiechnął się szeroko.

- W takim razie życzę ci szczęścia. Szkoda, że nie mogę zostać i popatrzeć, co z tego wyniknie.

- A jeśli podążę za twoją radą, Wasza Wysokość, i wrócę tu z żołnierzami, czy ty również przyprowadzisz swoje oddziały i zgnieciesz mnie za próbę przejęcia Clifford?

Henryk jednak naciągał już rękawice.

- Powiedziałem ci tylko, co ja bym zrobił. Działanie, Ger, jest najlepszą odpowiedzią. Jak sądzisz, w jaki sposób udało mi się zdobyć Eleonorę, gdy uwolniła się wreszcie ze szponów Ludwika? Ze wszystkich konkurentów do jej ręki ja miałem najmniej władzy i prestiżu, ale pragnąłem jej. Zmiotłem ją z nóg. Nie pozwól, by cokolwiek stanęło ci na drodze i nie daj jej czasu do namysłu, bo zacznie wynajdywać powody, dla których powinna cię odrzucić. Poza tym, Ger, wolałbym mieć w tym zamku ciebie niż ją, więc udam, że niczego nie widzę. Jeśli tylko zdołasz zachować tu

pokój, to ja nie będę się wtrącał. Masz na to moje słowo.

Gervase zastanowił się raz jeszcze.

- A jeśli sprzeciwię się twoim rozkazom i po prostu zostawię ją w Clifford? Skoro ona właśnie tego chce...

Zimny błysk w oczach nie pozostawił Gervase'owi wątpliwości co do opinii króla na temat takiego rozwiązania.

- Chcesz zostawić zamek na pograniczu w rękach kobiety? Tego z pewnością bym sobie nie życzył. Kazałem ci wynieść się z Clifford teraz, żeby stało się zadość wymogom rycerskiego honoru i uśmiechom królowej. - Ujął wodze konia i na odjeźdźnym dodał jeszcze: - Powiem ci jednak tak, Fitz Osbern: będę bardziej niż niezadowolony, jeśli do mojego powrotu zamek nie znajdzie się znów w twoich rękach. Nie lubię nieposłuszeństwa. Więc jeśli chcesz zakosztować mojej sprawiedliwości w królewskiej wieży... - Poklepał go po ramieniu.

- Nie wyglądasz na promieniejącą szczęściem - zauważyła Eleonora.

- Jestem szczęśliwa, oczywiście - odrzekła Rosamund niepewnie.

- Wiesz, jaka jest moja rada, Rose. Chyba oszalałaś, jeśli rzeczywiście chcesz się go pozbyć.

Rosamund zastanowiła się przez chwilę.

- Król kazał mu wyjechać. Nie mogę przecież błagać, żeby został, nawet gdybym tego chciała.

- Ja bym tak zrobiła.

- Nie mogę! Wątpię, czy po jutrzejszym dniu kiedykolwiek jeszcze go zobaczę.

Eleonora pochyliła się do niej konspiracyjnie.

- On będzie cię nawiedzał w snach, Rose. I założę się, że zobaczysz go znów całkiem niedługo. Widziałam, że Henryk udzielał mu rad, a to zawsze jest niebezpieczne.

Rosamund wydawała się zdumiona.

- Sądzisz, że on tu wróci?

- Jeszcze nie wszystko między wami skończone. - Eleonora odwróciła się z uśmiechem.

Rosamund musiała przyznać jej rację.

Nie wszystko było skończone między nią a lordem Monmouth.

- A więc wyjeżdżasz, lordzie Hugh? Jedziesz razem z królem?

Petronilla obawiała się tej chwili, ale ponieważ była bardzo rozsądną kobietą, zmusiła się do pożegnania z człowiekiem, któremu z jakiś nieznanych powodów udało się podbić jej serce. Próbowiła ukrywać przed sobą rozczarowanie, ale na myśl, że za godzinę już go tu nie będzie, czuła dziwną pustkę. Tak wiele pragnęła mu powiedzieć, a jednak nie potrafiła znaleźć słów.

Najlepiej było zachować się spokojnie i rzeczowo.

- Tak, pani - odrzekł Hugh łagodnie, jakby dostrzegał jej wewnętrzny konflikt. - Król prosił mnie o to. Nie mogę mu odmówić.

- Zapewne czujesz się zaszczycony, że król ma ochotę naradzić się z tobą. Oczywiście będzie mi bardzo przykro, kiedy wyjedziesz.

- Mnie również jest przykro wyjeżdżać.

- Z pewnością cieszy cię powrót do domu. Wątpię, czy jeszcze cię zobaczę. - A jednak powiedziała to, czego najbardziej obiecywała sobie nie mówić.

Hugh zamknął jej dłonie w swoich, pokrytych odciskami, po czym jedną po drugiej podniósł do ust. Na jego twarzy malowała się powaga i akceptacja tego, co miało nadejść.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Nell.

- Ciebie też. Do widzenia, Hugh. Dobrej podróży.

Ujął wodze i wskoczył na siodło. Petronilla patrzyła na to z wrażeniem, że ziemia usuwa jej się spod stóp. Dlaczego nie mogli znaleźć odpowiednich słów teraz, gdy tak wiele mogłyby znaczyć? Podczas przechadzek brzegiem rzeki czy wzdłuż palisady nie mieli takich trudności. Dlaczego tak wielki ból sprawiał jej widok de Mortimera odjeżdżającego w stronę bramy?

Poczuła przygniatającą samotność, próbowała się jednak przekonać, że to wkrótce minie, a wilgoć na jej policzkach pochodzi tylko od zimnego wiatru.

Z pewnością wkrótce o nim zapomni.

Musiał wyrównać dług honorowy, ona zaś winna mu była przeprosiny, toteż przyszedł do niej tego wieczoru. Wiedziała, że przyjdzie, a gdyby się nie pojawił, wówczas sama znalazłaby go w ponurej zachodniej wieży. Zbyt wiele rzeczy pozostało między nimi niewypowiedzianych. Rosamund nie była pewna, czy uda im się znaleźć jakieś słowa, które mogłyby naprawić sytuację.

Czym była więź, którą obydwoje poczuli, gdy Henryk oznajmił swoją decyzję? Nie potrafiła jej nazwać ani nigdy wcześniej nie doświadczyła niczego podobnego, ale nie dało się tego nie zauważyć. Ta więź istniała między nimi od początku, od pierwszego dnia, i nie ograniczała się tylko do fizycznego pożądania. Czyż trzeba było Eleonory, by Rosamund uświadomiła sobie jej istnienie? Być może tak: nie miała przecież żadnego doświadczenia w miłości, wiedziała tylko, że wewnętrzne rozterki pozbawiają ją apetytu i snu.

On chyba czuł to samo. Z pewnością musiał być świadomy, że za każdym razem, gdy znajdowali się w jednym pomieszczeniu, wydawało się zbyt małe dla nich obydwojga. Musiał czuć, że powietrze między nimi wibruje. A może jednak nie, może to było tylko jej wrażenie?

Jakiś trubadur na dworze earla Williama Salisbury'ego śpiewał słodkim głosem o tym, że miłość jest słodka i tym śpiewem wzbudził w młodej dziewczynie tęsknotę za uczuciem. Przypomniała sobie słowa pieśni:

Miłość jest słodka i miękka,

Przemawia łagodnym głosem.

Miłość jest najwyższą rozkoszą,

Miłość potrzebuje odwagi.

Ha! Dla niej miłość nie była żadną z tych rzeczy. Przypomniała sobie kolejne

wersy pieśni:

*Miłość jest wielkim cierpieniem i troską,
Kto kocha, jest nieszczęśliwy i spędza dni na rozpacz.*

To już bardziej przypominało rzeczywistość, o ile to, co czuła do Gervase'a Fitz Osberna, rzeczywiście było miłością. W każdym razie to uczucie przysparzało jej wielu rozterek i niepokojów.

Teraz jednak miał wyjechać. Przecież sama tego chciała! Cóż jeszcze mogło się zdarzyć między nimi? Zadrżała, próbując wyobrazić sobie własną przyszłość. Wiedziała, czego pragnie, ale nie była pewna, czy wystarczy jej odwagi, by podążać za tymi pragnieniami.

A potem pojawił się w jej komnacie. Czekwała na niego. Stał pośrodku, wciąż w odświętnej szacie. W blasku świec lśnił łańcuch wysadzany klejnotami. Powoli spojrzała mu w twarz. Żadne słowa nie przychodziły jej do głowy, poczuła tylko, że znów łączy ich ta sama więź, która pojawiła się w wielkiej sali. Ale teraz byli sami.

Gdy wyciągnął rękę, podała mu swoją jak zaczarowana. Jego głos był miękki i łagodniejszy, niż się spodziewała.

- Wyjeżdżam jutro na rozkaz Henryka.

Stał nieruchomo, nie próbował nawet pocałować jej palców w oficjalnym geście pożegnania. Obróciła rękę w jego dłoni i przytrzymała jego palce.

- Gervase, nie wiedziałam o twojej żonie.

- Nie! - Jego ton stał się ostrzejszy. - Nie mówmy o tym teraz.

Zdawało się, że oboje nie wiedzą, co powiedzieć.

Gervase przyciągnął ją nieco bliżej, po czym dotknął jej twarzy. Stał tak blisko, że mógł bez trudności przesunąć palcem po jej policzku i ustach. Po plecach Rosamund przebiegł dreszcz. Wstrzymała oddech. Wyczuł to i opuścił rękę.

- Czy ty się mnie boisz?

Szybko stłumiła panikę.

- Nie - rzekła ochryple.

- Nie musisz się mnie bać. Nie wiem, co to jest, to coś między nami, ale wiem, co muszę teraz zrobić. - Pochylił głowę i pocałował ją najpierw łagodnie, ze słodyczą, którą opiewał trubadur, a potem gwałtowniej.

Rosamund poczuła, że krew w jej żyłach rozpala się.

- Szkoda, że nie mogło być inaczej. - Miała wrażenie, że te słowa, które wyszeptał tuż przy jej ustach, zostały wyrwane siłą z głębi jego serca.

Pocałował ją raz jeszcze i mocno przytulił. Westchnęła lekko i pochyliła głowę, chcąc oprzeć czoło o jego ramię, on jednak puścił ją nagle i odsunął się. Poczowała się dziwnie osierocona. Czy to był koniec? Czy tak już miało być zawsze? Czy dziki sokół miał zniknąć z jej życia na dobre? Przeraziła ją ta perspektywa. Wyciągnęła ręce i zacisnęła palce na rękawach jego szaty.

- Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie tak!

Z przerażeniem słuchała swojego głosu. Wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję.

- Rose!

- Znam konsekwencje.

- Sądzę, że nie.

- Jestem niedoświadczona, Gervase, ale nie jestem naiwna. Wiem, co się dzieje między mężczyzną a kobietą.

Jego oczy, odbijające światło świec, sprawiały wrażenie, jakby płonęły wewnętrznym światłem.

- To nie jest droga honoru dla mężczyzny wobec kobiety, którą szanuje. To nie jest droga dla nas.

- A jeśli kobieta sama tego chce? Jeśli ja tego chcę? - Potrząsnęła głową, widząc, że on zamierza zaprotestować. - Zostań, Gervase! Przekonajmy się, czy to, co jest między nami, jest prawdziwe, albo temu zaprzeczmy. Ja nie potrafię zaprzeczyć.

- Ja też nie. - Otoczył jej dłonie swoimi i ucałował.

Rosamund pociągnęła go za sobą do sypialni. Zamknęła drzwi i zatrzymała się z

ręką opartą na haczyku.

- Wciąż jeszcze możesz zmienić zdanie. Uszanuję to i odejdę, choć nie będzie to łatwe.

- Nie zmieniam zdania - rzekła cicho, przechylając głowę na bok.

W łagodnym uśmiechu Gervase'a nie było ironii.

- W takim razie zdaje się, że znów muszę się jakoś uporać z tymi koronkami.

- Teraz jednak nie musisz używać noża. Pomogę ci.

Po chwili suknia zsunęła się na podłogę. Rosamund stała pośrodku sypialni w samej koszuli. Gervase zbliżył się do niej i ucałował ją w czoło.

- Czy chcesz, żeby świeca się paliła?

- Nie - powiedziała z dreszczem niepokoju.

Zgasił świecę i ułożył Rose na poduszkach. Jedyne blask ognia na palenisku oświetlał łóżko i mężczyznę, który miał do niego wejść. Rosamund dostrzegła czerwono-złote refleksy na jego ramionach i piersi. Ściągnął szatę i nogawice i rzucił je niedbale na kufer. Dostrzegła ciemne włoski porastające jego pierś i jej oddech stał się płytki. Cóż ona najlepszego uczyniła?! Jednak było już za późno, by się wycofać. Zebrała się na odwagę i zapraszająco rozłożyła ramiona.

Gervase usiadł na krawędzi łóżka. Patrzyła na jego sylwetkę, obrysowaną złotym światłem.

- Chyba było to nam przeznaczone od pierwszej chwili - powiedział cicho, po czym pochylił się i ucałował jej piersi przez cienkie płótno. - Twoje serce bije równie mocno jak moje. Nie skrzywdzę cię. Czy zaufasz mi, Rosamund?

- Tak - wykrztusiła, choć usta miała zupełnie wyschnięte. - O ile zechcesz wybaczyć mi mój brak doświadczenia.

- To nie ma znaczenia, pani. Moje doświadczenie wystarczy dla nas obojga.

W ustach każdego innego mężczyzny te słowa brzmiałyby jak próżne przechwałki, ale z Gervase'em Fitzem Osbernem było inaczej. Gdy jego usta zaczęły przesuwać się po jej miękkiej skórze, aż sięgnęły do tasiemek koszuli, Rosamund podziękowała Najświętszej Paniencie za jego znajomość rzeczy.

- Pamiętaj, to nie jest kapitulacja - oznajmiła impulsywnie, obawiając się, by nie uznał jej za słabą kobietę.

- Ani przez chwilę tak nie myślałem. Rosamund de Longspey nigdy się nie poddaje. - Zaśmiał się cicho z ustami przy jej piersi. - A z mojej strony to nie jest podbój.

- Wiem, że nie - przyznała.

Potem nie mówili już wiele. Rosamund przestała kontrolować swoje reakcje. Przez najbliższą godzinę miała należeć do niego i czerpać z tego radość. Bez wątplenia był doświadczony; doskonale wiedział, co zrobić, by przyśpieszyć bicie jej serca i rozpalic krew. Jego palce, szorstkie i pokryte odciskami od miecza, pieściły ją z niezwykłą wprawą i delikatnością. Była zdumiona, że udało jej się porzucić wszelki wstyd. Leżała naga w jego ramionach, drżąc ze szczęścia. W końcu Gervase oparł głowę na poduszce obok niej i powoli uspokoił oddech. Nie wypuszczając jej z ramion, przetoczył się na bok i skrył twarz w jej włosach.

- Jesteś piękną kobietą, Rose. Najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziałem. Następnym razem będzie lepiej.

- Nie będzie następnego razu - wymruczała, opierając policzek o jego pierś, pogodzona z tym, co nieuniknione.

Serce przepelniał jej smutek, żal i poczucie utraty, ale udało jej się zachować spokojny ton. Między nimi nie było miejsca na poczucie winy. Z własnej woli oddała mu dziewictwo, a on okazał, jak bardzo je ceni. Dał jej wszystko, czego mogłaby sobie życzyć.

Znów ją pocałował, po czym wysunął się z łóżka i okrył ją troskliwie. Chciała go zatrzymać, ale wiedziała, że nie może tego uczynić. Bez słowa patrzyła na niego, gdy się ubierał. W końcu pochylił się nad nią i pocałował raz jeszcze.

- Muszę iść. Zostań z Bogiem, Rose.

Zaraz potem zniknął.

Rosamund leżała bezsennie, patrząc, jak ogień na palenisku zmienia się w popiół, i zastanawiała się, czy popełniła największy błąd w całym swoim życiu. Za jej

pozwoleniem Gervase wprowadził ją w świat rozkoszy, o jakiej nawet nie marzyła, czytając rycerskie opowieści i słuchając pieśni trubadurów. Całe jej ciało drżało.

Następnym razem będzie lepiej, powiedział... A teraz odszedł, odrzucił ją ostatecznie. Byli od siebie oddaleni bardziej niż kiedykolwiek. Takie było ich przeznaczenie.

Westchnęła ciężko, myśląc, że powinna docenić dobre strony sytuacji. Miała swój zamek i mogła się wreszcie uwolnić od wizji związku z Ralphem de Morganem, ale nie widziała przed sobą miłości ani nadziei. Pozostało jej tylko wspomnienie pocałunków Gervase'a i tego, co znaleźli w swoich ramionach.

Czy to wystarczy jej na całe życie?

Gervase z rozdartym sercem pakował swoje rzeczy do kufrów. Mógł się tym zająć Owen, ale Fitz Osbern chciał skupić się na jakimś zajęciu. Na samą myśl o Rosamund de Longspey krew zaczynała przepalać mu żyły.

Rosamund nie przyznała się do żadnych uczuć wobec niego. Nie usłyszał od niej słów miłości. Jak mógł jej powiedzieć, że ją kocha, skoro w dalszym ciągu zamierzał odebrać jej zamek, który teraz uważała za swój, skoro zamierzał wrócić tu z wojskiem?

Uśmiechnął się krzywo. Następnym razem będzie lepiej, powiedział... Cóż za bezmyślne słowa. Nie będzie następnego razu.

Nie, na Boga! Będzie następny raz, jeśli tylko on będzie miał cokolwiek w tej sprawie do powiedzenia. Jednak Rosamund była dumną kobietą. Czy istniał jakiś sposób, by zdobyć jej serce?

Rozdział dziesiąty

Zamek przebudził się do życia jeszcze przed świtem. Dzień wstawał szary i pochmurny. Padał deszcz. Nie była to odpowiednia pogoda na podróż, ale zgodnie z nakazem króla Fitz Osbern musiał opuścić posiadłość.

Na dziedzińcu słyhać było brzęczenie uprzęży i skrzypienie siodła. Konie przestępowały z nogi na nogę, a obok nich krzatali się zmarznięci żołnierze. Od czasu do czasu któryś zaklął pod nosem, szarpiąc mokrymi palcami splątane rzemienie. Ich pan był nienaturalnie zamyślony i wydawał rozkazy krótko i lakonicznie. Widząc, że jego twarz jest posępna jak chmura gradowa, w pośpiechu zjedli śniadanie i załadowali wozy, nie chcąc mu się narażać.

Fitz Osbern zatrzymał się przed sir Thomasem de Byronem, wyraźnie niezadowolonym ze zmian w Clifford.

- Jesteś dobrym dowódcą, de Byton.

- Tak, panie.

- Skutecznie wypełniałeś rozkazy.

- Tak, panie.

Fitz Osbern zastanawiał się przez chwilę.

- Pod moją, hm... nieobecność lady Rosamund obejmuje władzę.

De Byton z niechęcią pociągnął nosem.

- Posłuchaj mnie, człowieku. - Fitz Osbern pochylił się nad nim groźnie. - Masz słuchać jej poleceń i wypełniać je bez opieszałości, a także robić, co w twojej mocy, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Jeśli usłyszę, że tego nie czyniłeś, a sprawdzę to z pewnością, odpowiesz za to przede mną. Czy to jest jasne?

De Byton przełknął ślinę i odrzekł boleściwym głosem:

- Tak, panie.

- Masz się nią opiekować. Odpowiadasz za jej życie.

Komendant skłonił się, z jego twarzy niczego nie można było wyczytać. Gervase przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową i podszedł do Owena,

który trzymał jego konia. Nie miał tu nic więcej do roboty. Zrobił, co mógł, by zostawić Rose bezpieczną.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem dam, ale nigdzie nie było ich widać. Bramy zamku otworzyły się ze skrzypieniem. Nie miał już żadnego pretekstu, by się dłużej ociągać. Przejechał przez zwodzony most i skierował konia na południe, w stronę Monmouth. Za jego plecami żołnierze uformowali się w szyk.

Deszcz dudnił coraz mocniej. Gervase czuł dojmujące poczucie straty. Odetchnął głęboko i skupił się na bieżącej chwili. Powinien się cieszyć, że Rosamund nie przyszła pożegnać go przed wyjazdem. Cóż mógłby jej powiedzieć po ostatniej nocy? Odebrał jej dziewictwo, a potem zostawił bez pożegnania. Musiała to uznać za odrzucenie. Jakże inaczej mogła to zrozumieć? Głupio uczynił, zostawiając ją w ten sposób. Bezgranicznie głupio.

Z drugiej jednak strony, jaki miał wybór? Król wyraźnie nakazał mu opuścić Clifford. Wyjeżdżał więc, moknąc na deszczu, posłuszny królewskim rozkazom. Rady Henryka nie miały tu żadnego zastosowania. Być może król zmusiłby Rosamund do małżeństwa, ale Gervase'owi takie wyjście zupełnie nie odpowiadało. Zmieć ją z nóg, mówił Henryk, nie zostawiaj jej czasu na myślenie. Lecz nie był to dobry pomysł. Gdyby spróbował czegoś takiego z Rosamund, mógłby tylko dostać w twarz.

Potał ręką czoło. Raz już odrzuciła jego ofertę małżeństwa. Mógł znów zapytać ją ostatniej nocy, ale jakoś nie wydawało mu się to odpowiednie. Bez wątpienia znów spotkałby się z odmową.

Naraz, pośród tego samopotępienia, zaświtała mu pewna myśl. Może jednak intryga wymyślona przez Henryka nie była taka zła? Czyż on, Fitz Osbern, nie był żołnierzem doświadczonym w planowaniu kampanii? Dlaczegoż nie miałby teraz zorganizować kampanii, by zdobyć miłość Rosamund de Longspey?

Czy tego właśnie chciał? Och, tak. Nie miał co do tego żadnych wątpiwości.

Nie mógł jednak oblegać zamku. Chciał, by sama otworzyła mu bramę, by otworzyła przed nim ramiona i powitała go w swoim łozu słowami miłości, a nie wyrzutami.

Koń spłoszył się od trzepotu skrzydeł przelatującego nisko gołębia. Gervase mocniej pochwycił wodze. Miał sporo do zrobienia. Najpierw trzeba było pojechać do domu, do Monmouth. Jeśli jego plan miał mieć jakieś szanse powodzenia, to należało zabrać stamtąd kilka rzeczy. Wiedział, czego dokładnie potrzebuje. Bezsenna noc okazała się owocna. A potem... A potem trzeba było nadać wydarzeniom bieg, który miał mu zapewnić ostateczne zwycięstwo.

Żaden Fitz Osbern nie może zgodzić się na to, by przechytrzyła go rudowłosa kobieta, która sięga mu ledwie do ramienia!

Dopiero gdy stukot kopyt o zwodzony most ucichł, Rosamund westchnęła głęboko i wspięła się na blanki. Rumieniec na jej policzkach nie pochodził od wiatru. Nie mogła stanąć z Gervase'em twarzą w twarz. Nie miała pojęcia, co mu powiedzieć po ostatniej nocy. Co on sobie o niej pomyślał? Dlatego, wściekła na siebie, wybrała wyjście tchórza i zaczęła, aż wyjedzie.

Stała teraz w milczeniu, patrząc w dal, na horyzont, na którym zniknął oddział żołnierzy. Jej welon zwilgotniał od deszczu, ale nie zważała na to. Czuła się bardzo samotna. Nie odezwała się do matki, która dołączyła do niej na murach, odwróciła tylko nieco głowę w jej stronę. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak nieszczęśliwa.

Petronilla była równie pochmurna. Stała nieruchomo, przytrzymując płaszcz przy szyi. Rosamund zauważyła zaróżowione policzki i wilgotne oczy matki i poczuła się winna, że zajęta była dotychczas wyłącznie sobą. Nie tylko ona cierpiała z powodu straty.

- Z jakiego powodu czujesz się nieszczęśliwa?

- Z żadnego. - Petronilla podciągnęła futrzany kołnierz płaszcza aż po czubek nosa. - Pewnie dlatego, że stoję na tym deszczu. - Patrzyła prosto przed siebie, ale Rosamund wiedziała. Otoczyła matkę ramieniem i uściśnęła.

- Może jednak powinnaś pojechać do Lower Broadheath i zatrzymać się po drodze w Hereford. - Zdobyła się na uśmiech, ale na nic się to nie zdało.

- Nie. Zostanę z tobą, Rose. To mój obowiązek.

- Masz również obowiązki wobec własnego szczęścia i własnych pragnień.

- Przy boku de Mortimera nie znalazłabym szczęścia - oświadczyła Petronilla śmiało. - On nie ma zamiaru znów się żenić. Zbyt wygodnie żyje mu się bez obowiązków.

- Powiedział ci to? - zdziwiła się Rosamund.

- Nie, nie musiał, ale widzę, że jest bardzo zadowolony z własnego życia. Nie mógł się już doczekać powrotu do Hereford. Zresztą któż mógłby go za to winić. Ma wnuki, które dostarczają mu rozrywki.

- Ach, przykro mi. - Rosamund poczuła żądło w słowach matki. Ona sama nie tylko nie potrafiła znaleźć sobie męża, ale również nie dała matce wnuków do rozpieszczania.

- Rose, nie to chciałam powiedzieć. - Matka chyba czytała w jej myślach. - Zupełnie nie to miałam na myśli. Po prostu nasza mnie melancholia. Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Może nie chciałaś tego powiedzieć, ale to prawda - przyznała Rosamund. - Nie pociąga cię lord Hugh? Nic do niego nie czujesz? Byłam pewna, że jest inaczej.

- Tak - wymamrotała Petronilla w futro.

- Czy ty go kochasz?

Petronilla skurczyła się jeszcze bardziej i wzruszyła ramionami.

- Nic nie wiem o miłości.

Rosamund roześmiała się cicho.

- Ja też nie. To już jest nas dwie.

Obydwie zamilkły.

- Mogłabym go kochać - stwierdziła w końcu matka - ale ponieważ nasze ścieżki zapewne nigdy więcej się nie przetną, to nie ma się nad czym zastanawiać. Prawda?

- Nie, nie ma się nad czym zastanawiać.

Żadna z nich nie miała nic więcej do powiedzenia. Grupa żołnierzy była już ledwie widoczna i za chwilę miała skryć się za kępą drzew. Deszcz zelżał i przeszedł

w mżawkę. Rosamund dostrzegła, że od grupy oddzielił się jeden z jeźdźców. Wiedziała, kto to; rozpoznała czarnego ogiera i charta. Pod wpływem impulsu podniosła rękę, choć nie miała pewności, czy on to zauważy. Zauważył jednak i odpowiedział podobnym gestem. Nawet z tej odległości dostrzegła błysk światła na metalu. Podniósł miecz w oficjalnym salucie, a potem pojechał za swoimi ludźmi.

- Pojechał - zauważyła Petronilla.

- Tak. Czy mogłam zrobić coś, czego nie zrobiłam?

- Nie. To nie byłoby zgodne z twoją naturą.

Rosamund przysunęła się bliżej i otarła policzek o ramię matki, po czym rzekła szczerze:

- Gdybym mogła cofnąć czas, wszystko zrobiłabym inaczej.

Zamek był bardzo cichy i wydawał się zimny. Rosamund miała nad nim pełną władzę, ale nie przyniosło jej to zadowolenia. Silne zachodnie wiatry niosły z sobą burzowe chmury. Deszcz znów zaczął zalewać dziedziniec. Sir Thomas odnosił się do niej zdumiewająco przyjaźnie i wypełniał wszystkie jej rozkazy. Chwilami miała niemal wrażenie, że Fitz Osbern... Nie, nie, on nie miał już nic wspólnego z Clifford. Najlepiej byłoby, gdyby zupełnie przestała o nim myśleć.

Nie była jednak w stanie przestać myśleć o swoim dzikim sokole. Tęskniła za nim ogromnie i ta rana nie chciała się zagoić. Czuła się samotna. Jak to możliwe, by tak mocno tęskniła za mężczyzną, który celowo zwiódł ją, kazał jej wierzyć, że jest zwykłym łotrem i prostakiem - i to tylko po to, by opuściła swoją własność i wróciła do Salisbury? Za mężczyzną, który wziął ją w ramiona, rozebrał, całował i dał jej przyjemność, jakiej nigdy wcześniej sobie nie wyobrażała.

W samotności płynęły łzy. Czasami Rosamund brała do ręki jedyną pamiątkę, która po nim pozostała, i wygładzała ręką poplamiony pergamin. Zostawił go w zachodniej wieży, wiedząc, że ona z pewnością tam zajrzy. Na pergaminie, czarnymi, kanciastymi literami wypisane było krótkie pożegnanie.

Rose!

To, co zaszło między nami, nie było niehonorowe. Twój dar poruszył mnie niewymownie. To wspomnienie zawsze pozostanie moim największym skarbem.

Nie wyjeżdżam z własnej woli, lecz słowo królewskie jest prawem.

*Twój sługa,
Gervase Fitz Osbern*

Wściekła na siebie, znów zaszlochała. Inkaust rozpląnął się w kleksy.

Czasami w środku dnia czuła przymus, by pójść do zachodniej wieży. Otwierała drzwi i stała w pustej komnacie, ale nie przynosiło jej to pociechy. Wszystkie izby zostały czysto zamiecione. Tylko meble świadczyły o tym, że ktoś tu mieszkał w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Zupełnie jakby nigdy go tu nie było.

Rozdział jedenasty

Łomotanie do drzwi bawialni obudziło Rosamund. Wyrwana ze snu, usiadła i sięgnęła po szatę. Usłyszała ziewanie i szuranie nóg Edith, a potem pytanie, czy zamek się pali. Ledwie świtało. Przez okna do izby wpadało pierwsze szare światło. Rosamund zadrżała na myśl o kolejnym wilgotnym dniu.

- Co się dzieje?! - zawołała, narzucając na siebie szatę.

- To sir Thomas, pani. Mówi, że musisz przyjść i popatrzeć.

- Na co?

Edith wzruszyła ramionami.

- Mówi, że to pilne, i pewnie tak jest, skoro wyrywa nas z łóżek, kiedy nawet jeszcze kogut nie zapiał.

Mamrocząc coś pod nosem, poszła rozpalić ogień. Rosamund narzuciła na ramiona płaszcz i przykryła potargane włosy kapturem. Skoro sir Thomas domagał się jej obecności, to widocznie była ona konieczna. Nikt lepiej od niej nie wiedział, jak kiepska jest obrona zamku. Obawiała się, że to Walijszczy znów próbują atakować Clifford. Oczywiście, walijskie plemiona nie były dobrze uzbrojone i udałoby się przed nimi obronić, ale mimo wszystko...

Sir Thomasa już nie było. Drżąc z zimna, przeszła przez wielką salę. Żołnierzy, którzy tam zwykle spali, już nie było, co jeszcze wzmogło jej obawy. Omijając lodowate kałuże, ostrożnie szła przez dziedziniec w stronę wartowni, w której błyskały światła pochodni. Wspięła się na mury, trzęsąc się od zimnego wiatru, ale najsilniejszy dreszcz wstrząsnął nią dopiero wtedy, gdy spojrzała na płaski pas terenu między bramą a drogą.

- Boże wszechmogący!

- To Fitz Osbern, pani. - Sir Thomas wyłonił się z ciemności przy jej boku.

W jego głosie brzmiała ponura satysfakcja.

- Widzę - prychnęła.

W szarym świetle na tle nieba rysowały się znajome chorągwie ze srebrnym

smokiem na czarnym tle. Emocje omal jej nie zadławiły. A więc wrócił! Miała go znów zobaczyć, choć nie spodziewała się, że będzie to tak wyglądało. Pochyliła się, starając się jak najwięcej dostrzec w półmroku.

Przed jej zamkiem rozłożył się niewielki oddział. Wzniesiono już namioty. Nieco dalej stały spętane konie, przestępując z nogi na nogę i parskając. Rosamund wiedziała, że po drugiej stronie zamku, między murami a rzeką, również muszą być jakieś oddziały. Od prawej strony niósł się stuk młotów. Jeśli się nie myliła, jej goście budowali wieżę oblężniczą. Owszem, nie myliła się. Zauważyła mężczyzn ciągnących zwalone drzewa. Na ziemi leżały sterty skór, którymi żołnierze zamierzali osłonić wieżę na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy obrzucić ją płonącymi strzałami. Przy ogniskach widać było ruch. W nozdrza Rosamund uderzył zapach pieczonej baraniny. Głosy niosły się coraz wyraźniej. Gdzieś tam, pośrodku zamieszania, znajdował się Gervase Fitz Osbern.

Jej kochanek, jej wymarzony przybył tu, by jeszcze raz okraść ją z jej własności.

- Przecież król powiedział, że jego roszczenia są bezprawne i kazał mu stąd wyjechać! - Sama nie wiedziała, która z jej emocji jest w tej chwili najsilniejsza: wściekłość, że Fitz Osbern nie usłuchał króla, czy niekontrolowana radość z tego, że był tak blisko. A może podziw dla jego przebiegłej taktyki, która pozwoliła mu usłuchać litery prawa, a potem, ledwie król odwrócił się plecami, wrócić i znów pochwycić to, co uważał za swoje? Wyobrażała sobie jego uśmiech. W końcu jednak zwyciężyła wściekłość. - Przecież Henryk kazał mu stąd wyjechać - powtórzyła.

- No to wyjechał - zauważył sir Thomas z uśmiechem satysfakcji - nie można temu zaprzeczyć. A teraz wrócił.

- Rozpoczął oblężenie. - Rosamund zostawiła wszystkich żołnierzy w stanie gotowości i idąc do magazynu, po drodze wstąpiła do komnat matki.

- Co takiego? - Petronilla z niedowierzaniem zamrugła oczami.

Wciąż siedziała w łóżku i oparta o poduszki, popijała piwo.

Edith szperała w skrzyni, szukając sukni.

- Fitz Osbern rozpoczął oblężenie. - Rosamund zatrzymała się przy łóżku,

zaciskając dłonie w pięści. Jej oczy błyszczały w świetle świec. - Jesteśmy otoczone. Mamy wodę, ale nie dotrą do nas żadne dostawy. On chce nas zgłodzić albo zaatakować. Uwierzyłabyś, że zaczął już budować wieżę oblężniczą?

Petronilla szeroko otworzyła oczy.

- Nie wierzę.

- To idź i sama zobacz. A jeśli oczy mnie nie zmyliły, to widziałam również chorągiew de Mortimera. Jeden wart drugiego. - Znów zaczęła krążyć po komnacie.

Hrabina powoli sączyła piwo, skrywając uśmiech.

- Naprawdę? To zupełnie niedorzeczne.

- Wygląda na to, że zupełnie się tym nie przejmujesz.

- Ani przez chwilę nie wierzę, że Gervase chce ci uczynić krzywdę.

- Gervase, tak? Widzę, po której stronie jest twoja sympatia. On chce mi odebrać zamek!

- Moja sympatia, jak to określiłaś, jest w całości po twojej stronie, droga Rose. Nawet jeśli Gervase chce przejąć zamek, to z pewnością nie za cenę twojego życia. Nie wierzę, by miał przypuścić krwawy atak.

- To po co mu wieża oblężnicza? Ten dobry humor przejdzie ci po tygodniu spędzonym na skąpych racjach żywnościowych, gdy z głodu zaczniemy jeść szczury ze stajni!

- Ja nie zamierzam jeść szczurów.

- Czy sądzisz, że bohaterski lord Hugh przybędzie ci na ratunek?

- Mam taką nadzieję. - Rumieniąc się lekko pod bystrym okiem córki, Petronilla ze śmiechem odrzuciła kołdry. - Wiesz, że tak nie myślę. Czy jesteś pewna, że nie chcesz się poddać albo przystać na negocjacje?

- Na pewno nie. Dlaczego się uśmiechasz?

- Tak się tylko zastanawiałam. Czy jemu chodzi o zamek, czy o ciebie?

Rosamund spojrzała na matkę.

- Oczywiście, że o zamek. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Petronilla wybuchnęła śmiechem, natomiast jej córka podeszła do drzwi.

- Gdy już przejdzie ci to niewytłumaczalne rozbawienie, to może zechcesz porozmawiać z Pennardem o racjach żywnościowych na czas oblężenia. Znajdziesz mnie w magazynach.

Policzyła beczki i zapasy, które miały im wystarczyć, i wpadła w jeszcze większą złość. Jak śmiał! Pozornie usłuchał króla, potulny jak cielę, a potem rozbił obóz pod jej zamkiem, by zmusić ją do posłuszeństwa! Była pewna, że jeśli oblężenie zakończy się zdobyciem zamku, to jej obecność tutaj będzie ostatnią rzeczą, na jaką Fitz Osbern mógłby mieć ochotę. Natychmiast spakuje jej rzeczy na wozy i wyśle ją do Salisbury. No cóż, nie zamierzała mu tego ułatwiać.

Skrzywiła się, patrząc na suszone baranie udźce, wiszące na rzędzie haków w piwnicy. Na razie zapasy były spore, mogła bronić się długo i udowodnić mu, że nie jest kobietą, którą można lekceważyć. Wstąpiła w nią nowa energia. Przerwała na chwilę liczenie i przegubem dłoni otarła pajęczyny z twarzy. Dobrze wiedziała, co rozbawiło jej matkę. Petronilla sądziła, że Fitzowi Osbernowi zależy przede wszystkim na niej, i może rzeczywiście tak było. Z pewnością nie obawiała się śmierci z jego rąk, była jednak przekonana, że jego uczucia do niej ograniczają się do powierzchownego przyciągania. Nigdy przecież ani słowem nie wspomniał o miłości.

Zadowolony z rozlokowania oddziałów, Gervase strząsnął okruchy z palców i opróżnił kufel piwa. Mężczyźni dokoła niego również kończyli śniadanie, przygotowując się do nowego dnia. Teraz trzeba było czekać. Znał stan zapasów w zamku Clifford; sam przecież zadbał o dostawy mąki, szynki i piwa. Znał również słabe punkty zamku i wiedział, w których miejscach drewniana palisada jest najbardziej podatna na atak z zewnątrz. W ciągu kilku tygodni mógł zmusić ich do kapitulacji.

I tu właśnie był pies pogrzebany. Bez względu na rady króla zmuszanie kobiety, którą kochał, do poddania, nie leżało w charakterze Fitz Osberna. Nie mógł tego zrobić. Jakże miałby skazać Rosamund de Longspey na głód - nie miał bowiem wątpliwości, że ona będzie stawiać mu opór - a zaraz potem powiedzieć, że kocha ją

ponad wszystko na świecie i że chce się z nią ożenić nie po to, by mieć dobrą gospodynię w zamku, lecz dlatego, iż ku swemu wielkiemu niezadowoleniu odkrył, że życie bez niej traci smak niczym mięso bez soli? Kochał ją i nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej, a jednak oddzielały ich mury zamku Clifford oraz upór obydwu stron.

Patrzył na te mury, jakby siłą woli mógł sprawić, by runęły. No cóż, poszedł za radą Henryka i rzucił Rosamund rękawicę, ale oblężenie zamierzał prowadzić na własnych warunkach.

- I co teraz? - Hugh przysiadł na stołku obok niego i sięgnął po skórzany bukłak z piwem. - Chyba nie zamierzasz jej zagłodzić?

- Nie, jeśli nie będę musiał. Rozumiem, że tobie też na tym nie zależy. - Gervase podniósł wzrok.

Na twarzy przyjaciela malowała się frustracja.

- Nie za bardzo - przyznał Hugh posepnie. - Pogoda nie jest dobra na oblężenie.

- Byłem zdziwiony, że zaoferowałeś mi wsparcie, ale oczywiście jestem ci bardzo wdzięczny. Przypuszczam, że masz w tym swoje motywy. - Widząc, że twarz przyjaciela poczerwieniała, Gervase zaczął otwarcie z niego kpić. - Sam już z pewnością odkryłeś, że wdowa, mimo łagodnego spojrzenia, również lubi rządzić. Jeśli nie będziesz ostrożny, szybko znajdziesz się w jej łóżu, a może nawet zmusi cię do małżeństwa.

- O to właśnie chodzi. Zdaje się, że ona nie chce żadnego mężczyzny w swoim łóżu.

Hugh zamilkł ponuro, zastanawiając się nad oporem Petronilli. Ostatnio czas bardzo mu się dłużył. Odwiedził swój przytulny dom w Hereford i w otoczeniu służących gotowych zaspokoić wszystkie jego potrzeby, przyjaciół i rodziny odkrył, że zwykle rozrywki przestały mu przynosić zadowolenie. Owszem, skutecznie zajmowały czas, ale myślami Hugh był gdzie indziej i rodzina niewiele pożytku miała z jego towarzystwa.

Złożyli to na karb wieku. Hugh nieświadomie obnażył zęby, przypominając

sobie rady, jakie usłyszał: nie powinien zanadto obarczać się pracą dla króla i zgadzać na patrolowanie całego pogranicza w imieniu Henryka. W końcu, zirytowany, musiał powiedzieć synowi ostrzejszym niż zwykle tonem, że wiek mu jeszcze nie dolega i żeby tamten zachował swoje rady dla siebie, po czym wyszedł z komnaty, pozostawiając dziedzica rodu Mortimerów z otwartymi ustami, i po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie że jest samotny.

Teraz przesunął palcami po wilgotnych włosach i skupił uwagę na najpilniejszych sprawach.

- Przypuszczam, Ger, że nie możesz tak po prostu przyznać się do porażki i wrócić do domu.

- Nie.

- Kiedy Henryk się o tym dowie, zaraz przybędzie tu z całą armią.

- Henryk wybierał się do Anjou. Zamierzał zostawić Eleonorę w Londynie. Nie zobaczymy króla na pograniczu przez długi czas. - Gervase zerknął na przyjaciela. - Henryk sam zasugerował, żebym zdobył zamek i zmusił ją do małżeństwa. Zagroził mi srogą zemstą, jeśli tego nie uczynię.

- To w jego stylu. Najpierw działaj, a potem żałuj. Chociaż żal za grzechy nie pasuje do Henryka. - Hugh z niechęcią wydał usta. - Ja bym nie radził ci tego robić. A ty jakie masz zamiary?

- Nie będę jej do niczego zmuszał.

- W takim razie co?

Gervase skrzywił usta. Przywołał Owena, który krążył dokoła z osiodłanym i gotowym do jazdy koniem, i popatrzył na chłopca krytycznym okiem. Liberia giermka była nieskazitelna, smok na tarczy lśnił.

- Myślę, Owen, że jesteś wystarczająco bystry, żeby podołać zadaniu. Wiesz, co masz zrobić i co powiedzieć?

- Tak, panie.

- Weź to. - Gervase podał mu płaską paczuszkę.

- Ona mnie chyba nie uwięzi, panie? - Owen przesunął językiem po

wyschniętych ustach.

- Obiecuję, że jeśli to zrobi, to ja cię wyratuję. A jeśli stanie się coś gorszego, to powiem twojej matce, że poniosłeś godną śmierć w mojej służbie. - Twarz chłopaka pobieliała. Gervase zaśmiał się. - Nie, chłopcze, ona cię nie skrzywdzi. Mnie mogłaby wbić sztylet w plecy, ale ty nie masz się czego obawiać. Jedź już. - Pomógł chłopakowi wsiąść na konia i patrzył za nim, gdy ten jechał stępą w stronę zamku. Chorągwie jego niewielkiej eskorty trzepotały na wietrze.

- Nadal nic z tego nie rozumiem. - Hugh niecierpliwie zmarszczył brwi.

- To mały podstęp, który może się udać. Chociaż nie postawiłbym na to mojego dziedzictwa. Choć jednak...

Zauważył na murach drobną postać, która pochyliła się i popatrzyła w dół. Nawet z tej odległości nie sposób jej było pomylić z nikim innym. Wyobraził sobie płomienne włosy lśniące w szarym świetle i zaciekawiony błysk w oczach. Musiał zaryzykować. Jeśli okaże się, że Rosamund nie da się przekonać, to może jednak będzie musiał pójść za radą Henryka, ale to nie powinno być potrzebne. Przypomniał sobie smak jej skóry i pomyślał, że musi zdobyć serce Rose.

Rosamund przechyliła się przez blanki. A więc chciał pertraktować? Popatrzyła na trzech jeźdźców i charta. To nie był Fitz Osbern.

- Przynoszę wiadomość od mojego pana, lorda Monmoutha, dla lady Clifford! - zawołał chłopięcy głos.

- Owen? A dlaczego twój pan nie przyjechał tu sam?

- Mam ci przekazać wiadomość i zawieźć z powrotem odpowiedź, pani.

Wydawało się to zupełnie niewinne. Giermek Fitz Osberna, dwóch żołnierzy jako eskorta, by przydać posłańcowi wagi, i wszędobylski Bryn. Strój Owena był wyjątkowo czysty. Rosamund nakazała otworzyć bramy i zeszła na dół, by ich powitać.

- I cóż, Owen - powtórzyła - co Fitz Osbern ma do powiedzenia o tym zbójckim ataku na moją własność? Nie denerwuj się tak, chłopcze, nie zjem cię. W

każdym razie jeszcze nie teraz, jest za wcześnie na posiłek.

Owen z nieśmiałym uśmiechem zsiadł z konia i skłonił się nisko. Bryn podszedł do Rosamund i obwąchał jej spódnicę. Poglaskała go po łbie.

- Mam ci przekazać tę wiadomość, pani. - Chłopak przez chwilę milczał, przypominając sobie słowa. - Mój pan nie zamierza zdobywać zamku siłą, ale zdobędzie go tak czy owak. Wolałby to uczynić bez walki. Ze względu na relacje, które was łączą, oferuje ci swoje oddanie i usługi, jeśli zechcesz je przyjąć, i prosi o twoją rękę. Na dowód przysyła ci to.

Z uszanowaniem opadł na jedno kolano, wsunął rękę za pazuchę i wyjął paczuszkę tak ostrożnie, jakby zawierała jadowitego węża.

Rosamund patrzyła na podarunek. Już nie po raz pierwszy padły między nimi słowa o małżeństwie, tyle że wcześniej, gdy ona czekała na odpowiedź króla, miało to być pragmatyczne rozwiązanie nierozwiązywalnego na pozór problemu. Tym razem sytuacja była inna. Miała jasny wybór: mogła zgodzić się na małżeństwo lub zostać wypędzona z domu siłą. A może Fitz Osbern proponował coś innego? Rozwinęła paczuszkę i powiedziała:

- Lord Monmouth zaiste jest przebiegłym mężczyzną.

Trzymała w rękach parę pięknych rękawiczek. To był hołd, wyraźny znak, że Gervase uważał się za jej dłużnika po tym, jak broniła go w obliczu Henryka. Bardzo rycerski gest. A więc potrafił się dwornie zachować. Och, jakże doskonale potrafił ją zwieść!

Spojrzała na chłopaka ponuro.

- I tym twój pan chce zdobyć moją rękę i mój zamek? - Owen niepewnie przestąpił z nogi na nogę. - Za tę impertynencję powinnam zamknąć cię w wieży. - Zauważyła, że nerwowo przełknął ślinę i pożałowała swoich popędliwych słów. - Tyle że to nie twoja wina, prawda?

- Nie, pani.

W głębi serca uradowana, znów skupiła wzrok na rękawiczkach. Widywała wcześniej tak doskonałą robotę w domach kupców z Salisbury. Wysokiej jakości

skóra z Kordoby, bardzo cenna, pięknie uszyta i haftowana złocistym jedwabiem. Każda kobieta byłaby zachwycona takim podarunkiem. Wyobrażała sobie te rękawiczki na własnych dłoniach.

Utwardziła serce i z surową twarzą znów zwróciła się do Owena:

- Powiedz swojemu panu, że odrzucam jego wspaniałomyślną ofertę. Zamek i moja ręka są warte więcej niż para rękawiczek. - Podniosła z ziemi opakowanie, bardzo starannie zawinęła rękawiczki na powrót i podała je chłopcu.

Giermek skłonił się, wsiadł na konia i odjechał z wyraźną ulgą.

- Odmówiła?

- Tak, panie - opowiadał Owen. - Lady Rosamund powiedziała, że jesteś bardzo przebiegłym mężczyzną, ale jej zamek i ręka są warte więcej.

- Tak myślałem.

Gervase zabrał od niego paczuszkę i walcząc z wrodzoną niecierpliwością, starannie schował ją do podróżnego kufra w swoim namiocie. Nie stracił jednak nadziei. Nie spodziewał się przecież, że Rosamund de Longspey natychmiast rzuci mu się do nóg. Gdyby to zrobiła, nie byłaby tą kobietą, którą kochał. To był dopiero początek.

Miał nadzieję, że to jest właściwa ścieżka do serca lady Rosamund.

- Co oni tam robią? - zapytała Petronilla, dołączając do córki przy bramie.

- Nic.

To było denerwujące. Rosamund złożyła ramiona na piersiach i przymrużyła oczy, wypatrując jakiegoś ruchu w obozie, po czym nerwowo postukała palcami o ścianę. Jak miała z nim rozmawiać, dojść do jakiegoś kompromisu, kiedy on obozował na zewnątrz, a ona, wbrew własnej woli, siedziała w środku? Nawet wtedy, gdy mogli z sobą rozmawiać, kompromis był zupełnie niemożliwy. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Pomyślała z westchnieniem, że będzie musiała przywyknąć do tego, iż Fitz

Osbern siedzi przed jej zamkiem i nie robi nic. Zanosiło się na długie obleżenie. Jeśli jednak sądził, że ją w ten sposób osłabi, to bardzo się mylił.

- Dzień dobry, Owen - uśmiechnęła się Rosamund.

- Przywiozłem wiadomość od mojego pana oraz to. - Chłopak podał jej niewielką szkatułkę pokrytą skórą. - Mój pan mówi, że nie rezygnuje z nadziei na uzyskanie twojej zgody. Chciałby, byś to przemyślała jeszcze raz.

Zawartość szkatuły rozblęła w łagodnych promieniach słońca, zapowiadających nadejście wiosny. Klejnot był stary; zapewne pamiątka rodzinna, pomyślała Rosamund ze zdumieniem, i przechyliła szkatułę, wpatrując się w piękną oprawę. Broszka z czasów podboju normańskiego, wysadzana perłami i zdobiona emalią, stworzona przez zręczne palce. Ciężka złota oprawa wykończona była misternym ornamentem, a pośrodku znajdował się ciemnoniebieski szafir.

- Mój pan uważa, że szafir będzie pasował do twej urody, pani. - Owen z ręką na sercu powtarzał wyuczone słowa.

Rosamund podniosła głowę.

- Owen, co powiedział twój pan, gdy zwróciłeś mu rękawiczki?

Chłopak zarumienił się.

- Że tego właśnie się spodziewał, pani.

- Powiedz swojemu panu, że nie będę zastanawiać się powtórnie nad jego propozycją.

Z zalem oddała mu broszkę, choć w głębi serca oczarowana była tymi zalotami, o ile to były zaloty. Owen nie był już tak zdenerwowany jak za pierwszym razem i choć przyjął szkatułę, ku jej rozbawieniu nie chciał ustąpić.

- Mój pan prosi, byś zastanowiła się nad korzyściami, które mogłyby wyniknąć z zakończenia tego impasu.

- Ten impas dobiegnie końca dopiero wówczas, gdy twój pan odprowadzi swoich żołnierzy do Monmouth - odrzekła.

Nawet nie została na murach, by popatrzeć, jak Owen wraca do obozu. Zamyślona, wróciła do zamku w towarzystwie Petronilli, która słuchała całej

rozmowy, zastanawiając się, czy nie powinna się wtrącić. W końcu cisza stała się zbyt męcząca. Rosamund zatrzymała się w pół kroku.

- Powiedz to wreszcie, matko. Wiem, co myślisz.

- Wątpię, droga Rose. Chciałabym, by lord Hugh przysłał mi podobny prezent. Ta brosza była piękna - odrzekła Petronilla łagodnie. Widziała napięcie córki i wolała nie wypowiadać jasno swego zdania. Nie wspomniała również o tym, że jeden z członków eskorty dyskretnie przekazał jej list, który niosła schowany pod płaszczem i który zamierzała przeczytać później, w samotności. Dni dłużyły się jej równie mocno jak córce. Lord Hugh znajdował się tak blisko, ale nie mógł z nią porozmawiać. Chwilami miała ochotę wyjechać za bramę, by się z nim spotkać. Najpierw jednak należało rozstrzygnąć sprawę zalotów Gervase'a - z całą pewnością bowiem były to zaloty, choć Rose upierała się, że jest to tylko próba przekupienia jej.

- To tylko podstęp, by mógł zdobyć to, czego chce.

Petronilla pomyślała, że jej córka jest doskonale przewidywalna.

- Tak, sądzę, że tak. - Zaśmiała się cicho, zaskarbiając tym sobie wściekłe spojrzenie Rose. Któż by pomyślał, że lord Monmouth zmieni się w takiego romantyka? Nie była to jednak najlepsza chwila, by wspominać o tym Rosamund.

- Ten giermek znów tu przyjechał, pani - poinformował ją sir Thomas i odszedł, mamrocząc pod nosem coś o dziwnych zwyczajach niektórych szlachciców.

Serce Rosamund zaczęło bić szybciej. Przestała udawać, że jest zajęta i w nieprzystającym do jej godności tempie przebiegła przez dziedziniec, po drodze odwijając rękawy i poprawiając spódnicę. Nie zatrzymała się nawet, by zabrać płaszcz.

- Ciekawe, co przywiózł tym razem? - Czy to było bardzo niegodne z jej strony, że te chwile sprawiały jej przyjemność? Doceniała to, co przysyłał jej Gervase, a potem odsyłała to z powrotem i przez cały czas zastanawiała się, co będzie, gdy on zrezygnuje z prób przekonania jej. - Może jakaś egzotyczna błyskotka ze Wschodu? - Błyszczącymi oczami spojrzała na Owena, który wciąż siedział na koniu tuż za bramą.
- Kolejny klejnot albo sztuka jedwabiu, a może papuga?

- Nie, pani, żadna z tych rzeczy. Ten dar zastał przywieziony specjalnie dla ciebie z dóbr mojego pana w Monmouth.

Giermek z uroczystą miną zsiadł z konia, podszedł do niej i z ukłonem podał jej uzdę.

- Och!

Na drugim końcu uzdy znajdowała się drobna, prześliczna klacz, ciemnogniada, o wyszczotkowanej sierści i łagodnym spojrzeniu. Rzuciła łbem i prychnęła, po czym odskoczyła na bok, jakby była doskonale świadoma własnej urody.

- Och, nie!

Jak można było odrzucić taki dar?

- Tym razem nie mam żadnej wiadomości, pani. Mój pan powiedział, że ta klacz przemawia sama za siebie.

Wbrew wszelkim swoim intencjom Rose podeszła do konia. Powiodła dłonią po jedwabistym karku, poklepała zaokrąglony bark i zakochała się natychmiast.

- Nie mogę cię zatrzymać - szepnęła, opierając czoło o ciepły bok. - Niech go diabli porwą. Przysłał mi dar niemal niemożliwy do odrzucenia. Już cię pokochałam, ale nie mogę...

Klacz otarła nozdrza o ramię Rosamund, jakby prosząc ją, by zechciała jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję. Niewiele brakowało. Gervase pamiętał o jej stracie i doskonale wiedział, jak trafić do jej serca. Nawet gdyby klacz nie była tak ładna, ciężko byłoby odrzucić ten dar. Jednak Rosamund nie mogła okazać słabości. Pod powiekami poczuła łzy.

- Jesteś tak piękna, doskonała...

Uniosła spódnicę i uciekła do pustej bawialni. Łzy spływały strumieniem po jej twarzy. Petronilla, która pozostała na miejscu i nie wydawała się szczególnie przejęta, odesłała Owena z powrotem do obozu wraz z klaczą i kilkoma uprzejmymi słowami.

Podarunek w postaci klaczy przeważył szalę. Rosamund musiała stanąć twarzą w twarz z trudną rzeczywistością. Aż do tej chwili, wbrew wszelkim szansom, udawało jej się zachować kamienne serce i konsekwentnie odrzucać Fitz Osberna.

Składała podarunki na kark jego chytryści i przebiegłości, która kazała mu sprzeciwić się rozkazom króla i rozpocząć oblężenie. Teraz jednak, po raz pierwszy od czasu, kiedy jej klacz padła od walijskich strzał, rozplakała się serdecznie. Gervase pamiętał jej rozpacz i poczucie straty i przysłał jej jedną z własnych klaczy. Jak mogła pozostać nieporuszona w obliczu takiej troski? Czy jej duma była nie na miejscu? Może powinna porzucić opór i otworzyć bramę?

Z frustracją zacisnęła pięści. Co ją powstrzymywało? Dlaczego nie mogła uczynić tego, co nakazywało serce?

Jednak rozsądek wciąż powtarzał: skąd wiesz, czy po otwarciu bram on nie podziękuje ci arogancko za to, że zwróciłaś mu jego własność i w następnej chwili nie wypędzi cię stąd na zawsze? Nie masz żadnych gwarancji. Lepiej nie ryzykować i nie ufać propozycji małżeństwa. Skąd wiesz, że jego serce jest równie mocno zaangażowane jak twoje? Przecież nigdy nie wspominał o miłości.

Walczyła ze łzami.

- To nie może trwać dłużej, najdroższa Rose. - Petronilla odnalazła córkę w zamku i pocieszająco ujęła jej dłonie w swoje. - Jesteś zbyt nieszczęśliwa.

- Wiem, mam. - Odwróciła twarz, wiedząc, że wygląda okropnie.

- Więc co zamierzasz zrobić?

- Nie mogę przyjąć jego oferty małżeństwa.

- Dlaczego nie? Wydaje mi się, że to nie byłoby najgorsze z możliwych nieszczęść.

Rose zazgrzytała zębami. Jak na kobietę tak łagodną w obejściu hrabina potrafiła okazywać wyjątkowe zdecydowanie. Właściwie równie dobrze można jej było od razu powiedzieć prawdę.

- On nigdy nie powiedział, że mnie kocha.

- Och. Sądzę, że to ma znaczenie.

- Wątpisz w to? Wiesz przecież, czym jest małżeństwo bez miłości.

- Owszem, wiem. A czy ty kochasz jego?

Rose pociągnęła nosem. Znów miała ochotę uniknąć odpowiedzi, ale pod

przenikliwym wzrokiem matki poddała się wreszcie.

- Tak.

- No cóż, Gervase nie może wyznać ci miłości ani jej zaprzeczyć, dopóki nie dasz mu na to szansy. Przecież nie będzie ci opowiadał o swoich uczuciach przez herolda zza murów.

- Nawet jeśli stanę z nim twarzą w twarz, zapewne zaproponuje mi sojusz, spisany publicznie na pergaminie i podpisany w obecności świadków, niczym traktat pokojowy. O ile nie zmieni zdania i nie wyrzuci nas stąd.

Petronilla klasnęła językiem.

- W takim razie urządz wszystko tak, żeby nie mógł tego zrobić.

- Żeby czego nie mógł zrobić? Zaproponować sojuszu czy odesłać nas stąd?

- Jednego ani drugiego. Czy naprawdę wychowałam taką bezwolną córkę? Nie możemy tak dłużej tu tkwić, Rose. Będziecie sobie tak przysyłać i odsyłać prezenty, aż obydwójce zestarzejecie się i posiwiejecie, nie wspominając już o mnie.

Na te słowa Rose musiała się uśmiechnąć.

- Wybacz mi mój egoizm. Czy chcesz, żebym uzyskała dla ciebie pozwolenie na wyjazd? Jestem pewna, że Fitz Osbern zgodziłby się na to. Za tydzień mogłabyś już być w Lower Broadheath.

- Nie, nie tego chcę. Pragnę twojego szczęścia, Rose.

- A ja chcę miłości, a nie podarunków - rzekła Rosamund z żalem. - Chcę jego serca, bo oddałam mu własne.

- To powiedz mu to.

- Jak? Czy mam otworzyć bramę i rzucić się do jego stóp? Ja też mam swoją dumę.

- Myślę, że masz tej dumy zbyt wiele.

Matka rzuciła jeszcze jakąś uwagę o córkach, które nie wiedzą, co dla nich dobre, i wyszła, pozostawiając Rosamund sam na sam z własnymi myślami. Nawet gdyby mogła otworzyć przed nim serce, czy on wybaczyłby jej wszystko, co uczyniła?

W zakamarkach jej umysłu wciąż krążyła rada królowej Eleonory: Mężczyzna ma swoją dumę. Pozwól mu, by myślał, że sam dotarł do pożądanego rozwiązania sytuacji. Kobieta powinna użyć głowy i ciała, by usidlić mężczyznę, którego pragnie. Nawet tak zdeterminowanego mężczyznę jak Gervase Fitz Osbern.

Łzy Rosamund obeschły szybko. Przez dłuższy czas zastanawiała się nad radą królowej. Nie była tylko pewna, czy uda jej się wprowadzić tę radę w czyn.

- Ona nie chce połknąć przynęty, Ger. - Hugh z uczuciem poklepał klacz. - Myślałem, że ten koń załatwi sprawę.

- Ja też tak myślałem. - Gervase zatrzymał wzrok na kufrze, w którym spoczywały rękawiczki oraz brosza.

- Jak długo jeszcze będziemy musieli tu siedzieć? Ile jeszcze prezentów przygotowałeś dla niej? Bo jeśli masz ich więcej, to chyba będę musiał zostawić cię tu i wrócić do domu. Rzadko tam ostatnio bywałem.

- Nie mam już nic więcej. Nie będę próbował jej przekonać. Załatwimy to inaczej.

- Wreszcie. Północny róg jest najsłabszy. Czy myślałeś o podkopie? Chociaż ogień byłby szybszy.

- Jedno i drugie zabrałoby zbyt dużo czasu i nie jest konieczne. Odciągniemy ich uwagę w inne miejsce i zaatakujemy z przeciwnej strony. Ona ma za mało żołnierzy, żeby się obronić przy takiej taktyce. Nim mrugnie powieką, my już będziemy za murami.

- Widzę, że wszystko już zaplanowałeś.

Owszem, zaplanowałam. Nie był zdziwiony wynikiem dotychczasowych negocjacji, choć miał nadzieję, że klacz przeważy szalę. Szczerze mówiąc, poczuł rozczarowanie, ale z drugiej strony Rosamund nie byłaby tym, kim była, gdyby można ją było przekupić kosztownymi upominkami.

- A jeśli ktoś zostanie ranny?

- To ona rzuciła rękawicę. - Zauważył grymas niechęci na twarzy de Mortimera i

poklepał go po ramieniu. - Nie martw się, oszczędzimy kobiety.

- Muszę powiedzieć, że nie podoba mi się ten pomysł.

Gervase'owi też się nie podobał. A jeśli pomimo wszelkich zabezpieczeń Rosamund albo Petronilla zostaną ranne w potyczce? Nigdy by sobie tego nie wybaczył. Było to jednak możliwe. Nie miał również ochoty niepotrzebnie ryzykować życie swoich ludzi.

Dlaczego nie mogła zachować się rozsądnie i po prostu ustąpić?

Jednak na takie rozważania było już za późno. Podczas bezsennej nocy Gervase po wielekroć przeklinał swoje dylematy. Leżał ze zmarszczonym czołem, wpatrując się w ciemność. Niech diabli porwą króla i jego intryganckie porady. Zupełnie mu się to wszystko nie podobało.

W końcu uznał, że nie może tego zrobić. Rankiem, z zaciętą twarzą, kazał zwijać obóz. Rosamund de Longspey zwyciężyła. Rezygnował z oblężenia, a jeśli będzie musiał stawić czoło gniewowi Henryka, to trudno.

Petronilla wygładziła pergamin, poplamiony i przybrudzony, jakby przebył długą drogę. Poszarpane brzegi wyglądały tak, jakby arkusik został oderwany od większego dokumentu. Treść była zwięzła.

Do Petronilli, hrabiny Salisbury

Nell!

Niezmiernie żałuję, że rozdzieliły nas nieprzewidziane okoliczności. Zamierzałem trzymać się z dala od wszelkich romantycznych więzów, uznając je za niestosowne u człowieka w moim wieku. Moje małżeństwo z Joanną było dobre i nie szukałem niczego więcej. Mówię Ci to, bo być może sądziłaś, że pozbawiony jestem uczuć.

Oczy Petronilli rozszerzyły się ze zdziwienia. No cóż, to było jasne. Niemniej jednak poczuła się oczarowana.

Muszę powiedzieć, że doskwiera mi Twoja nieobecność. Polubiłem Twoje towarzystwo i nasze rozmowy. Brakuje mi przejazdów z Tobą wzdłuż rzeki Wye. Potrafisz mnie rozbawić. Lubię na Ciebie patrzeć. Każdy dzień spędzony bez Ciebie wydaje się za długi.

Jeśli uważasz, że jestem stary i mam swoje nawyki, to muszę się z Tobą zgodzić. Gdybyś jednak pozwoliła mi wyciągnąć Cię z przyjemnego stanu wdowieństwa, uczyniłbym to z największą przyjemnością. Wybacz, jeśli piszę zbyt bezpośrednio, ale za stary jestem, by owijać w bawełnę.

Petronilla zaśmiała się cicho, wyobrażając sobie de Mortimera piszącego te słowa ze zmarszczonym czołem. Nie, nie były kwieciste ani poetyczne, ale pochodziły prosto z serca i ku jej zdumieniu jej własne serce również zaczęło bić żywiej.

Mam nadzieję, że gdy znów się spotkamy, będziemy mogli szczerze porozmawiać. Poproszę Cię wtedy, byś za mnie wyszła. Mogę zapewnić Ci dom i wszelkie wygody, które uczynią Twe życie przyjemnym. Nigdy nie będę ignorował Ciebie ani Twoich pragnień. Możesz być pewna, że nigdy nie staniesz się dla mnie niewidzialna. Chciałbym Cię widzieć każdego ranka po obudzeniu i każdego wieczoru przy moim stole. Chciałbym, byś towarzyszyła mi każdego dnia, gdy będę gdzieś wyjeżdżał w swoich sprawach.

Pozostaję z uszanowaniem,

Hugh de Mortimer

Na pierwszy rzut oka był to zwykły list od zwykłego lorda z pogranicza albo od przyjaciela, który chciał się z nią ożenić, by mile spędzać razem czas, ale bezpośredniość bijąca z tych słów bardzo do niej przemawiała. W końcu Petronilla uznała, że Hugh w niezmiernie przebiegły sposób odwołał się do jej potrzeb i choć nie użył słowa „miłość”, uczucie przebijało z każdej linijki listu. Czy Hugh de Mortimer rzeczywiście ją kochał?

Tak, kochał ją. Musiał ją kochać, skoro chciał porzucić swe wygodne życie, by się z nią ożenić.

Rozkoszny dreszcz rozgrzał jej wychłodzoną krew. Czy to możliwe? Dlaczego miałaby się wyrzekać miłości tylko z tego powodu, że nie miała w niej żadnego doświadczenia? To znaczy, aż do tej pory, do czasu, gdy zwykły lord z pogranicza zaczął zajmować zbyt wiele miejsca w jej myślach. Może czas już był uczynić ten krok? O ile Hugh nie zmieni zdania, gdy to przekłete oblężenie wreszcie się skończy.

Po zamku zaczęły krążyć pogłoski - z początku nieśmiałe, potem jednak rozprzestrzeniły się gwałtownie niczym ogień po suchej trawie i jeszcze przed wieczorem wszędzie zapanowała cicha radość. Oddziały Fitz'a Osberna odstępowały od oblężenia i szykowały się do odejścia. Rozbierano wieżę oblężniczą. Ludzie zakładali się o pieniądze, że wkrótce po świcie wszyscy żołnierze znikną sprzed murów.

Rosamund usłyszała te plotki i również wyszła na mury, by popatrzeć. To była prawda.

Co się stało? Dlaczego zmienił zdanie? Nie wiedziała, ale to nie miało znaczenia. Ważne było tylko to, że jeśli nie zadziała wystarczająco szybko, on odjedzie i wszystko będzie stracone na zawsze. Nie miała już czasu na zastanawianie się, czy wystarczy jej odwagi, by podążyć za radą Eleonory. Musiała to uczynić, w innym bowiem wypadku czekało ją beznadziejnie nieszczęśliwe życie.

Rozdział dwunasty

Przed świtem, gdy żołnierze jeszcze spali, Gervase'a obudził Watkins w towarzystwie dwóch wartowników przytrzymujących między sobą chudą, wyrrywającą się postać.

- Panie, mamy jeńca. Próbował uciec z zamku. Sądził, że uda mu się przemknąć.

Gervase przecesał włosy palcami, przetarł twarz i przywołał ich w krąg światła pochodni.

- Gdzie go znaleźliście?

- Przekradał się między wartownikami. Przełaził przez palisadę. - Strażnik wskazał na rzekę. - Nie zauważylibyśmy go, gdyby nie to, że konie się spłoszyły. Jest nieduży i zręczny.

Gervase ujął więźnia pod ramię i obrócił go w stronę światła. Był to młody chłopak o bladej twarzy i ciemnych włosach. Nie należał do jego garnizonu. Zdawało mu się, że pamięta tę twarz.

- Jesteś z kuchni?

- Tak, panie.

- Nie pamiętam, jak się nazywasz.

- Tom, panie. - Chłopak otarł rękawem nos. Nie wydawał się zbytnio przestraszony.

- Uciekałeś?

- Tak, panie, do wioski. Moja matka tam mieszka. Już miałem dosyć tej głodówki.

- I zaryzykowałeś, że postrzelą cię moi żołnierze?

- Sądziłem, że mnie nie postrzelą, panie. Pozwalałeś mi się bawić ze swoim psem.

Gervase chrząknął, słysząc to naiwne stwierdzenie.

- W którym miejscu przeszedłeś przez palisadę?

- Tam - wskazał chłopak. - W tym dalszym kącie, tam palisada jest słabsza.

Opuściłem się na linie do rowu, który prowadzi do rzeki.

Gervase uśmiechnął się. Nawet chłopak kuchenny potrafił dostrzec słabsze punkty obrony Clifford. Należało coś na to zaradzić.

- Hm, a gdzie teraz jest ta lina?

- Wciąż wisi na palisadzie, panie. Pewnie ktoś ją znajdzie jutro. Puści mnie pan?

- Nie, jeszcze nie. Czy potrafiłbyś nas tamtędy wprowadzić do środka?

- Ja tam nie wrócę.

Między palcami Gervase'a zaślśniła moneta.

- Zastanów się. Nie wrócisz do domu z pustymi rękami.

Oczy chłopaka zaślśniły.

- Chyba tak, panie.

- Jesteś bardzo rozsądny. - Gervase skinął na Watkinsa. - Obudź ludzi, ale cicho.

A teraz, chłopcze, opowiedz mi, w których miejscach zamku są wartownicy i ilu ich jest o tej porze.

Tom przymrużył oczy.

- Jestem głodny.

- Zaraz cię nakarmię. Chodź.

To nie było trudne. O pierwszym brzasku garstka ludzi wraz z Tomem podkrađła się rowem do palisady. Jeden po drugim szybko wspięli się po linie i już po chwili byli w środku. Nastąpiła krótka potyczka, w której nikomu nie stała się prawdziwa krzywda - obrażenia ograniczały się do jednego zakrwawionego nosa i jednej pękniętej czaszki - po czym otwarto bramy, by wpuścić Fitz Osberna i resztę jego oddziałów. Panie de Longspey spały jeszcze, niczego nieświadome. Clifford znów stał się własnością Gervase'a Fitz Osberna.

On sam szybko rozporządził wojskiem, zwierzętami i bagażami. Nie zabrało mu to dużo czasu. Robił to już raz całkiem niedawno, zaledwie przed kilkoma tygodniami. Służba w kuchni, serowni i stajniach patrzyła na nowego władcę cynicznie, ale nie buntowała się otwarcie. Lepszy był Fitz Osbern, znany tu już jako sprawiedliwy pan, aniżeli jakiś nieznany lord. Do rana wszyscy żołnierze byli już na

kwaterach, a konie w stajniach. Kucharz piekł dziczyznę, by nakarmić większą niż zwykle liczbę domowników, sir Thomas znów przyjmował rozkazy od swego ulubionego pana, a Tom otrzymał obiecane monety i odszedł z szerokim uśmiechem, pożegnany klepnięciem w ramię.

W końcu Gervase wysłał Pennarda, by przyprowadził panie de Longspey do wielkiej sali. Zdumiony był, że Rosamund nie rzuciła się na niego już w chwili, gdy kazał otworzyć bramy swoim ludziom, ale wzruszył tylko ramionami. Niech robi, co chce. Widocznie w obliczu porażki wolała trzymać się od niego z daleka. Zastanawiał się czy sam nie powinien po nią pójść, ale uznał, że byłoby to niestosowne. Bawialnia należała do niej; nie chciał naruszać jej terytorium, na miejsce spotkania wybrał zatem wielką salę, z której, nie chcąc narażać Rosamund na większe upokorzenie, niż było to konieczne, wyrzucił najpierw wszystkich żołnierzy i służących. I tak widziała już jego żołnierzy na blankach; był pewien, że porażka będzie dla niej bolesna.

Czekał na nią z napięciem. Dlaczego jeszcze tu jej nie było? Powinna wpaść tu jak burza i zrobić mu wielką awanturę, oskarżając o wszelkie możliwe przestępstwa.

Hugh przechadzał się po sali za jego plecami. Gervase usiadł na krześle z wysokim oparciem i zastanowił się, czy nie posłać po wino, ale uznał, że lepiej nie. To nie była okazja do świętowania. Czekał, postukując palcami o rzeźbioną poręcz. Gdzie ona się podziewała? Czy specjalnie kazała mu czekać, żeby wzbudzić w nim złość?

W końcu poczuł, że dłużej nie wytrzyma tego napięcia. Zamierzał pójść na górę i poszukać jej osobiście, ale w tej samej chwili usłyszał miękkie kroki na kamieniach posadzki i na szczycie schodów pojawił się Pennard.

Hugh szturchnął go pod żebro. Obydwie, księżna i Rosamund, schodziły po schodach, wystrojone jak na bankiet. Gervase wpatrzył się w nie z podziwem. Był pewien, że zrobiły to celowo, by wyrzucić na nim wrażenie i uświadomić mu kontrast między nimi. Po tygodniu spędzonym za bramą nie wyglądał najlepiej.

No cóż, nie zamierzał dać im tej satysfakcji.

Nie mógł jednak oderwać oczu od Rosamund, gdy stanęła przed nim. Z

pewnością o to właśnie jej chodziło.

Gervase nie był poetycznym człowiekiem, w latach swej burzliwej młodości częściej miał pod ręką miecz niż książkę z francuskimi wierszami, jednak nie mógł nie dostrzec jej uderzającej urody, a także stroju, który jeszcze tę urodę podkreślał. Jej suknia miała kolor niebieskich dzwonek kwitnących wiosną i wyraźnie podkreślała kobiecą sylwetkę. Pas opinał szczupłą talię, a hafty na rękawach przyciągały uwagę do dłoni o pięknym kształcie. To była Rosamund de Longspey, adoptowana córka potężnego earla Salisbury, nie żadna byle dziewczka z pośledniej rodziny, lecz wykształcona młoda kobieta obdarzona wyrafinowanym gustem. Długi, przezroczysty welon przytrzymany był na miejscu wysadzaną klejnotami siatką, spod której wysuwały się związane wstążką włosy, sięgające jej do pasa.

Twarz miała bladą, a w podkrążonych oczach malował się ostrożny wyraz, jakby nie chciała, by Gervase przeniknął jej myśli.

- Panie, zdobyłeś mój zamek.

Zapomniał już, jak uwodzicielsko brzmiał jej głos, niski i zmysłowy. Najlepiej było mieć to z głowy jak najszybciej. Wiedział, że nie odzyska spokoju ducha, dopóki Rosamund nie zniknie z jego oczu.

- Jak widzisz, pani - odrzekł obojętnie, z surową twarzą, jakby rozmawiał z niesubordynowanym sierżantem. - To już koniec naszej znajomości. Odrzuciłaś moją ofertę przyjaźni, odrzuciłaś również propozycję małżeństwa, zakwestionowałaś mój honor, moją uczciwość i szczerłość. - Zacisnął zęby. Nie zamierzał prosić jej ponownie. Nie był żebrakiem błagającym o okruchy ze stołu damy. - Jutro stąd wyjedziesz. Dam ci eskortę do Salisbury, by zapewnić ci bezpieczeństwo w drodze. Nie próbuj mi się sprzeciwiać, bo osobiście wniosę cię do lektyki, przywiążę i dostarczę pod drzwi earla Gilberta. To jest moja decyzja. Masz dzisiejszy dzień, by spakować swoje rzeczy. Jeśli potrzebujesz jakiegś pomocy, to ją dostaniesz.

- Tak, panie. Będę gotowa o świcie.

Gervase zeszywniał. Jak to? Żadnej kłótni? Zdawało mu się, że jej twarz pobladła jeszcze bardziej, a usta zacisnęły się mocniej. Kostki dłoni zwiniętych w

pięści miała pobielale.

- Wiem, że zostałam pokonana - ciągnęła cicho. - Nie będę stała ci na drodze, panie.

Ku niezmiernemu zdumieniu Gervase'a jej oczy, zielone jak trawa na wiosnę, załśniły, a po policzkach popłynęły łzy. Rosamund przygryzła dolną wargę.

- Wybacz mi, panie - dodała z chwytającym za serce smutkiem.

Gervase wyciągnął do niej rękę.

- Och nie, pani, ja nie zamierzałem...

Ona jednak zignorowała ten gest i z jej piersi wyrwał się krótki szloch.

- Będę gotowa do wyjazdu o świcie.

Zanim kolejne łzy zdążyły popłynąć, odwróciła się i uciekła po schodach niczym błękitna chmura.

Zdumiony, przygnieciony poczuciem winy Gervase stał nieruchomo i patrzył za nią. To nie była Rosamund, jaką znał. Czy naprawdę do tego stopnia zdołał złamać jej ducha? Spojrzał na hrabinę, szukając jakiegoś wyjaśnienia.

- A czegoż się spodziewałeś? - stwierdziła Petronilla chłodno. - Traktowałeś ją obrzydliwie, lordzie Monmouth. Powinieneś się wstydzić tego, co uczyniłeś z tą energiczną dziewczyną. - Starannie omijając wzrokiem Mortimera, dygnęła, wsparła dłoń na ramieniu Fitz'a Osberna, pochyliła się blisko do niego i szepnęła: - Jeśli jesteś choć w połowie tak bystry, jak sędzę, Gervase, to uważaj na każdy swój krok i nie trać rozsądku. Będę się modlić do Przenajświętszej Paniienki o rozwiązanie tej sytuacji, ale najpierw muszę cię ostrzec: jeśli weźmiesz moją córkę za żonę, to zasłużysz sobie na wszystko, co dostaniesz.

Współczująco poklepała go po ramieniu i wymknęła się z komnaty. Lord Monmouth patrzył za nią zdenerwowany, zastanawiając się nad jej enigmatyczną radą. Uświadomił sobie, że policzki ma pokryte rumieńcem.

Hugh wybuchnął śmiechem.

- To miało być zwycięstwo, ale jakoś nie widzę w tobie radości.

- To prawda - przyznał Gervase. - Czuję się tak, jakby jakiś sąd uznał mnie za

winnego utopienia worka niechcianych kociaków!

Przez cały dzień, gdy Gervase pielęgnował w duszy swoje żale do nieprzewidywalnych kobiet i patrolował twierdzę, szukając słabych punktów, Rosamund nie wychodziła ze swojej komnaty. Nasłuchiwał jej energicznych kroków, głośniego śmiechu, wypatrywał smukłej postaci, błysku rudych włosów czy niebieskiej sukni na tle szarych kamieni, ale niczego nie zauważył ani nie usłyszał. Może to i lepiej, pomyślał, usiłując pozbyć się ciężaru z serca. Do jutra będzie po wszystkim i życie znów wróci na właściwe tory. Wolałby mieć przed sobą nacierających Walijczyków niż Rosamund de Longspey; z Walijczykami w każdym razie miałyby jakieś szanse na zwycięstwo.

A przecież zwyciężył!

Zazgrzytał zębami. Gdyby tylko mógł zapomnieć o tych oczach pełnych łez, gdyby mógł wyrzucić ją ze swego serca! Lecz to było niemożliwe. Rosamund żyła w każdym jego oddechu, w każdej decyzji, jej cień pojawiał się we wszystkich korytarzach. Czy to były te sławione przez wszystkich rozkosze miłości? Jemu samemu to uczucie przyniosło tylko nieznośny ból, gorszy niż rana od miecza.

Żołnierze pojawili się w wielkiej sali na wieczerzę, oczekując świętowania. Służba stawiała na stołach dzbany z piwem. Pennard zbliżył się do podwyższenia i skłonił się nisko.

- Czy mam podać jedzenie, panie?

- Zaczekamy na damy - odrzekł Gervase i między jego brwiami pojawiła się zmarszczka.

Hrabina z wdziękiem zajęła swoje miejsce, rozmawiając z de Mortimerem o jakichś błahych sprawach. Gervase wpatrywał się w schody. Nie miał ochoty na konfrontację, ale w końcu chyba mogli zjeść razem posiłek? Na schodach jednak nikt się nie pojawiał. Gdzie ona była?

Zgiełk głodnych żołnierzy stawał się coraz głośniejszy. Nie można było dłużej tego tolerować.

- Pennard, powiedz, proszę, swojej pani, że chciałbym... - Urwał i ugryzł się w

język. Może to nie było najlepsze podejście. - Gdybyś zechciał zaprosić panią na posiłek, byłaby tu bardzo mile widziana - zastanawiał się przez chwilę. - Poproś ją tu, Pennard, i powiedz jej, że to prośba, a nie rozkaz.

- Tak, panie - skłonił się ochmistrz i zniknął.

Po chwili jednak wrócił sam, wyraźnie niespokojny.

- No i cóż?

- Moja pani mówi...

- Co powiedziała? - Gervase pochylił się nad stołem i w jego głosie pojawił się groźny ton.

- Mówi, że nie będzie jadła posiłku we własnej jadalni ze złodziejem.

- Tak powiedziała? - powtórzył Fitz Osbern niebezpiecznie cichym głosem i jego cierpliwość prysła jak bańka mydlana.

Czyż nie dał jej każdej możliwej szansy? Czyż nie wykazał się świętą cierpliwością i zrozumieniem? Większość mężczyzn do tej pory już dawno zamknęłaby ją w wieży i przestała zawracać sobie nią głowę. Przez cały dzień prześladował go obraz jej łez i drżących ust, a teraz prowokowała go, jakby nie była więźniem we własnym zamku i jakby nie miał prawa domagać się od niej posłuszeństwa. Jej odmowa była dla niego obrazą.

Bez słowa wstał z za stołu i wszedł na schody. W ruchach zachował resztki godności, jakiej należałoby się spodziewać po lordzie Monmouth, ale jego oczy płonęły.

- Och, mój Boże - powiedziała Petronilla lekkim tonem.

Hugh rzucił jej ostrożne spojrzenie.

- Co wiesz o tej sprawie, pani?

- Ja? A skąd ja miałabym cokolwiek wiedzieć? Moja córka podejmuje własne decyzje.

- Zdawało mi się, że się uśmiechasz.

- Ależ skąd - zaprzeczyła fałszywie.

- I co teraz będzie, Nell? - Hugh popatrzył na głodnych żołnierzy.

- Sądzę, Pennard - powiedziała hrabina do ochmistrza - że powinieneś natychmiast podać kolację. Lord Hugh zastąpi pana i panią. - Następnie zwróciła się do de Mortimera. - Wydaje mi się, że kilka łez oraz odrobina oporu powinny w zupełności wystarczyć.

Hugh zaśmiał się cicho i w jego oczach błysnął podziw.

- Tak po prostu?

- Mam nadzieję - westchnęła Petronilla. - Naprawdę mam taką nadzieję. Dłużej już nie wytrzymam tego napięcia.

RS

Rozdział trzynasty

Zastukał, ale nie czekając na odpowiedź, natychmiast otworzył drzwi z takim rozmachem, że zaskrzypiały, i dwoma krokami znalazł się w komnacie. Uderzyło go, że była teraz urządzona bardzo po kobiecemu, zupełnie inaczej niż wtedy, gdy należała do sir Thomasa de Bytona. Teraz było tu bardzo wygodnie. Obok wyściełanego zydla stało krzesło z rzeźbionymi poręczami i oparciem. Gobeliny na ścianach zasłaniały plamy wilgoci. Na palenisku płonął ogień. Okiennice były już zamknięte, a w powietrzu unosił się lekki zapach przyprawionego wina.

Szary kot podniósł łeb i popatrzył na niego podejrzliwie, Gervase jednak przestał już zauważać otoczenie. Przełknął ślinę. Czego się spodziewał? Z pewnością oporu, a być może łez, ataku złości, zupełnego braku rozsądku. Z tym wszystkim potrafiłby sobie poradzić. Przywołałby Rosamund do porządku i zażądałby, by zachowała przynajmniej pozory dobrego wychowania i zeszła na posiłek.

Jednak nic nie przygotowało go na to, co ujrzał.

- Witaj, panie.
- Pani! - wykrztusił z trudem.
- Czekałam na ciebie.

Stał w miejscu jak sparaliżowany. Oddech zamarł mu w płucach jak przed walką na śmierć i życie. Rosamund obeszła go dokoła i za jego plecami zamknęła drzwi, po czym z wdziękiem naląła wina do dwóch pucharów.

Czekała na niego. Zacisnął zęby. Widział ją już w prostej sukni, zajętej domowymi obowiązkami, a także przemoczoną na wylot od deszczu, brudną, zakrwawioną po upadku z konia, elegancko ubraną na powitanie Henryka i królowej. Widywał ją wściekłą, zaciętą w uporze, arogancką i zalaną łzami. Wszystko naraz albo pojedynczo. Jednak takiej jej jeszcze nie widział.

Gorączkowo szukał jakiegoś wyjaśnienia. Zasadzka! To było jedyne, co przychodziło mu do głowy. Czy to była celowo uknuta intryga? Jak miał zareagować? Przestał się jednak nad tym zastanawiać, bo naraz wydało mu się, że to nie ma żadne-

go znaczenia. Serce biło mu głośno, krew szybciej popłynęła w żyłach i całe ciało zareagowało podnieceniem.

Stała przed nim, z wdziękiem podając mu puchar. Jej suknia, z jedwabiu lekkiego jak puch, spływała na podłogę. Gorset pokryty był tysiącami drobnych zakładek, które doskonale podkreślały jej figurę. Nie to jednak było najważniejsze, choć Gervase znał już wszystkie te wypukłości i wgłębienia. Przede wszystkim jego uwagę przyciągnęła jej twarz, blada i zdumiewająco spokojna. Patrzył na nią, jakby był niedoświadczonym chłopcem, którego po raz pierwszy w życiu oczarowała kobieta. Doskonały owal, prosty nos, miękkie usta, które w tej chwili uśmiechały się do niego. Zielone oczy patrzyły prosto w jego twarz, odbijając światło świec. Leciutki rumieniec zabarwiał jej szyję i policzki. Rozpuszczone włosy, mieniające się złotem, czerwienią, wszelkimi odcieniami rdzy i brązu, miękko spowijały jej postać, opadając aż do pasa.

Czy miał pozwolić, by ta piękna kobieta zniknęła z jego życia i wpadła w ramiona Ralpa de Morgana? Nie, w żadnym razie! Nie musiał się zastanawiać nad odpowiedzią. Chciał ją zatrzymać przy sobie, wziąć z nią ślub, chciał, by zawsze uśmiechała się do niego tak jak w tej chwili. Zdawał sobie sprawę, że ona świadomie go uwodzi, ale to nie miało znaczenia. Kochał ją, choć z jej strony mógł to być tylko wybieg pozwalający jej odzyskać ten przeklęty zamek. Podczas oblężenia, siedząc za murami, uświadomił sobie, że bez niej jego życie staje się pasmem cierpień. Rosamund znalazła drogę do jego serca i teraz to nie ona, lecz on był jej więźniem.

Widział, jak jej rumieniec pogłębia się, i gotów był się założyć, że on również nie jest jej obojętny.

- Czy wypijesz ze mną, mój panie? Czy zechcesz wznieść toast za swoje zwycięstwo nade mną?

Poczuł suchość w ustach. Zachowywał się w sposób godny Owena, który nawet nie próbował ukrywać swojego oczarowania panią na Clifford. A więc sądziła, że tak łatwo może go zdobyć? Udowodni jej, że się pomyliła. Nie miał zamiaru pozwolić, by wyszła górą z tego starcia. Nie mógł poddać się bez oporu; okazałby brak charakteru.

Nie potrafił jednak odmówić i przyjął puchar z jej ręki, ale nie wypił od razu.

- Powiedziałaś, pani, że nie będziesz jadła ze złodziejem we własnej sali.

Usta Rosamund wygięły się w czarującym uśmiechu.

- To prawda, nie powiedziałam jednak, że nie zechcę napić się wina z tym samym złodziejem w mojej bawialni.

Pod maską układowego zachowania serce Rosamund biło mocno. To była kulminacja jej intrygi. Nie musiała długo przekonywać Toma, by odegrał wyznaczoną mu rolę. Zachecony perspektywą przygody, a także zapłaty, którą zapewne otrzymał od obu stron, skrupulatnie wypełnił wszystkie polecenia. Gdy oddziały Fitz'a Osberna przeszły przez palisadę, żołnierze Rose udawali jedynie, że się bronią. Nie było sensu niepotrzebnie przelewać krwi. To byli jej ludzie, nie mogła narażać ich na niebezpieczeństwo dla własnego kaprysu. Potem jeszcze tylko trzeba było stanąć twarzą w twarz z lordem Monmouth. Cóż to była za scena! Rosamund odkryła, że ona również ma wielki talent do odgrywania ról. Bez trudu doprowadziła się do łez, które zmiękczyłyby serce samego diabła.

Czy jednak zmiękczyły serce Gervase'a? Wszystko teraz zależało od równowagi sił. Eleonora twierdziła, że każdy mężczyzna ma swoją dumę i pragnie mieć poczucie kontroli nad sytuacją. I właśnie to Rosamund starała się osiągnąć. Gervase sądził, że zdobył zamek dzięki własnej przebiegłości. Nie musiał przyjmować go jako daru podsunętego mu pod nos na złotym talerzu. Jeśli uda jej się doprowadzić plan do końca, nie straci ani zamku, ani Fitz'a Osberna.

Nigdy dotychczas nie knuła intryg. Najważniejsze było wyczucie czasu i zachowanie zimnej krwi pod jego przenikliwym wzrokiem, ale musiała też być gotowa na szczerą, na obnażenie przed nim serca. Bez tego zwycięstwo nie miałoby żadnej wartości. A jeśli chciała powiedzieć mu, co jej gra w duszy, to musiała również narazić się na odrzucenie. Bardzo obawiała się porażki, ale wiedziała, że musi to uczynić. Musi wyznać mu miłość, która nie pozwalała jej zaznać spokoju. A jeśli on również ją kocha, to też musi jej to powiedzieć. I tu był właśnie pies pogrzebany! Czy zgodziłaby się za niego wyjść, gdyby jej nie kochał? Nie! Na samą tę myśl

przechodził ją lodowaty dreszcz.

A jednak teraz, gdy stał w jej bawialni, nie była już tego taka pewna. Obydwoje znaleźli się w ślepym zaułku.

Gardło miała zupełnie wyschnięte. Gervase ubrany był jak najświetniejszy dworzanin, we wspaniałą szatę z ciemnego jedwabiu, obrzeżoną futrem. Przywdział tę szatę, by uczcić ją przy posiłku, którego nie chciała z nim zjeść. Jego ciemne włosy, gęste i mocne, lśniły jak sierść klaczy. W szarych oczach upstrzonych złotymi drobkami nie było w tej chwili ani odrobiny arogancji. Widziała go już w działaniu, w chwilach odpoczynku i przy zabawie, gdy jeździł konno i gdy polował z sokołem. Widziała go nagiego i pokrytego potem. W każdej sytuacji wyglądał imponująco. Czegóż więcej kobieta mogłaby oczekiwać od mężczyzny?

Podawała mu puchar z winem, nim opuściła ją odwaga. Gdy jego palce dotknęły jej palców, poczuła żar na skórze. Życ z nim, dotykać go, widzieć go każdego dnia, dzielić z nim łożę, urodzić mu dzieci. Czy to by jej nie wystarczyło?

- Powiedziałaś, że nie zjesz posiłku ze złodziejem we własnej sali, przy własnym stole - stwierdził głosem nabrzmiałym emocjami.

A więc ukryte ostrze w jej słowach dosięgło celu i przywiodło go tutaj, do jej komnaty. Usta Rosamund drgnęły lekko. Teraz była już całkowicie pewna, że zwycięstwo będzie należeć do niej.

- To prawda, nie powiedziałam jednak, że nie zechcę napić się z tym złodziejem wina w mojej bawialni.

Jego brwi drgnęły niepewnie.

- Nie, nie powiedziałaś tego.

- Ani nie powiedziałam, że nie zechcę dzielić z nim łoża.

Zdumiona własną odwagą, czekała na jego odpowiedź.

Śmiało odrzuciła całą dumę i ofiarowała mu się jako dar, niczym potrawę zaserwowaną na złotym półmisku. Paw, pieczony paw, przybrany barwnymi piórami. A on stał i patrzył na nią bez słowa. Twarz miał poważną, opanowaną, zupełnie nieprzeniknioną. Rosamund miała ochotę wybuchnąć złością. Zaryzykowała

wszystko. Rzuciła mu rękawicę. Chyba nie zamierzał teraz odwrócić się i wyjść? Czy upokorzyła się na próżno? To oznaczałoby, że straciła wszystko: zamek, dumę, godność. Cała jej pewność siebie uleciała. Spuściła oczy, by nie widzieć potępienia w jego wzroku.

Raczej wyczuła, niż zobaczyła, że stanął tuż obok niej. Jego dłoń zamknęła się na jej przegubie.

- Powiedziałaś, że wypijesz ze mną.

- Tak.

- Więc wypijmy. Wypijmy za... - zawahał się z cieniem uśmiechu.

- Za co?

- Za szczęśliwe zakończenie oblężenia, oczywiście.

Nie o to jej chodziło.

- Doskonale. Wypijmy za sukces.

Podnieśli puchary i obydwójce wypili.

- A skoro jesteśmy tego samego zdania... - Gervase wyjął puchar z jej ręki i odstawił wraz ze swoim na skrzynię, a potem położył dłonie na jej ramionach i przyciągnął ją bliżej.

Rosamund poczuła, że oddech więźnie jej w płucach.

- Cóż takiego, pani?

- Nic, panie.

- Długo już czekałem, żeby cię dotknąć. - Pochylił głowę i pocałował ją lekko. -

Właśnie tak. - Znów ją pocałował. - Chciałem zrobić jeszcze to...

- Tak - szepnęła Rosamund.

- Wydarzenia nas rozdzieliły. - Gervase przycisnął usta do jej czoła.

- Tak - szepnęła znów.

- Czy tego właśnie chcesz?

- Tak - powtórzyła niecierpliwie. Czyż jej pragnienia nie były oczywiste? Czy chciał, by zaczęła go błagać? Nawet na to była gotowa. - Pocałuj mnie jeszcze, Gervase. Czekałam na to przez całe wieki.

Uniósł brwi i na jego twarzy błysnął uśmiech.

- Zawsze podziwiałem w tobie odwagę, z jaką przeciwstawiasz własną wolę mojej woli. A dzisiaj, moja piękna Rose, bardzo chętnie usłucham twoich rozkazów. Tego właśnie pragnąłem, siedząc tam za bramą. - Ukrył twarz w jej włosach. - Kazałaś mi czekać na siebie przez całe dwa tygodnie.

- I czy warto było czekać?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Gervase!

- Pozwól mi na siebie patrzeć. Pozwól mi kochać cię całym moim ciałem i umysłem.

- Myślałam, że... - To wyznanie zaskoczyło ją. - Co powiedziałaś?

- Kocham cię - powtórzył poważnie.

- Opuszczasz mnie? - zapytała.

W blasku świec nie dostrzegając w jej oczach obawy, ale wyczuł niepewność w głosie.

- Nie. - Przetoczył się na plecy i przyciągnął ją do siebie.

Czasami fizyczna siła przydawała się na coś. Jej włosy rozsypały się i nakryły ich oboje.

- Moje komnaty w zachodniej wieży nie są jeszcze gotowe.

- Czy nie nakazałeś Pennardowi przygotować ich, gdy tylko postawiłeś nogę w tym zamku?

Wyczuł jej uśmiech.

- Nie. To jest jedyne łóżko w tym zamku, w którym mogę się dzisiaj wyspać.

- Jakie to wygodne!

- Prawda? Dla nas obojga.

Jej palce przesunęły się po jego brzuchu i powędrowały do uda, gdzie natrafiły na starą bliznę. To była rana, która dokuczała mu jeszcze w dniach, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- Czy zabiłeś swojego przeciwnika? - zapytała sennie.

- Hm...?

- Twoja noga. Mówiłeś, że zabiłeś wroga.

Teraz dopiero przypomniał sobie, o co jej chodziło.

- Nie. To blizna po upadku z konia.

- Cieszę się.

Zauważył troskę w jej sennym głosie i zdecydował się na szczerość.

- Zabijałem ludzi, Rose. Z pewnością o tym wiesz.

- Wiem.

- Jednak tylko wtedy, gdy było to konieczne, by samemu przeżyć. Albo w bitwie.

- Wiem. Wiem, że nie jesteś okrutnym bandytą, za jakiego cię uważałam. - Jej głos stał się niewyraźny.

Usypiała już.

- Cieszę się, że to słyszę, moja najdroższa. - Objął ją mocniej. - Śpij teraz, Rose. Jutro czeka nas długi dzień.

Poczuł jej ciepły oddech przy swoim ramieniu.

- Czy będziesz tutaj, kiedy się obudzę?

- Tak. - Jej oddech pogłębił się, a mięśnie rozluźniły. Obrócił głowę i pocałował ją w skroń. - I każdego innego dnia, aż do końca twojego życia.

Obiecał, że będzie tu, gdy ona się obudzi, ale nie było go. Smuga jasnego światła wpadała do komnaty przez okno i złociła nogi łóżka. Było już późno. Rosamund obudziła się i powoli wracała do przytomności. Przeciągnęła się leniwie. Dopiero po chwili wróciły do niej wspomnienia i uniosła się na łokciu. Włosy, niczym złocista zasłona, opadły na jej nagie ramiona. Łóżko obok niej było puste i zimne. Kiedy stąd wyszedł? Pamiętała tylko, że spała i budziła się co jakiś czas pod dotykiem jego silnych dłoni.

Przycisnęła ręce do ust i przypomniała sobie to, co najważniejsze. Powiedział, że ją kocha. Co prawda, powiedział to w gorączce namiętności, kiedy żadne z nich nie

zważało na słowa, ale co teraz? Dlaczego *nie* został, by obudzić się razem z nią? Dlaczego go tu nie było? To nie wróżyło niczego dobrego.

Wyszła spod kołder, narzuciła na ramiona luźną szatę i z westchnieniem zaczęła rozczesywać włosy. Drzwi otworzyły się i do środka weszła nienaturalnie milcząca Edith z tacą. Twarz pokojówki była bez wyrazu. Z pewnością cały zamek już wiedział, że Gervase spędził noc w komnacie Rosamund.

Edith postawiła tacę i oparła dłonie na biodrach.

- Cóż takiego? - zapytała Rosamund.

- Mój pan, lord Fitz Osbern, mówi, że musisz jeść, pani, i prosi, byś po śniadaniu przyłączyła się do niego na przechadzkę po murach. Prosił jeszcze, byś się ciepło ubrała. Wieje zimny wiatr z północy.

Rosamund buntowniczo wydeła usta. A więc Gervase już zaczął wydawać jej rozkazy!

Jej uwagi nie uszedł zadowolony uśmiešek na ustach pokojówki.

Gervase czekał na swoją ukochaną. Wiedział, że jeśli chcą zbudować wspólną przyszłość, to muszą sobie wyjaśnić jeszcze wiele spraw. I oto nadeszła lekkim krokiem, z wysoko uniesioną głową, przytrzymując ręką spódnicę.

Jej dziki sokół czekał na nią w załomie murów. Widziała go na tle zamglonych walijskich wzgórz. Musiał usłyszeć jej kroki na kamieniach albo wyczuć jej bliskość, bo jego ciało napięło się i natychmiast obrócił twarz w jej stronę.

- Nie było cię, gdy się obudziłam - powiedziała, starając się, by nie brzmiało to jak oskarżenie. - Tęskniłam za tobą. Dlaczego chciałeś spotkać się ze mną tutaj?

Niecierpliwie pochwycił jej dłonie i przycisnął do ust.

- Żeby mnie nie kusiło, by zerwać z ciebie suknię i znów wrócić do łóżka - odrzekł bardzo poważnie. - Czy zechcesz mnie wysłuchać, Rose?

Usiadła, opierając się o stertę drewnianych bali. Dłonie wciąż miała splecione z jego dłońmi.

- Nie postępowałem z tobą tak ostrożnie ani troskliwie, jak powinienem, i wciąż jest mi z tego powodu wstyd. To z powodu Matildy... nie, to nieprawda. Problem był

w całości mój. - Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się nagle. - Pamiętam ją tutaj. Była wtedy młodą żoną, zadowoloną z małżeństwa. A potem ty pojawiłaś się na jej miejscu jako pani na Clifford. Twoja obecność wzbudzała we mnie niechęć. Wydawało mi się, że nie masz prawa tu być, na miejscu Matildy, skoro to twoja rodzina była odpowiedzialna za jej śmierć. A mimo to czułem do ciebie przyciąganie. To była sytuacja nie do zniesienia.

- Och, Gervase - szepnęła Rosamund. - Nie zdawałam sobie sprawy, że tak to widzisz, ale nigdy tak naprawdę nie należałam do rodziny de Longspeyów.

- To prawda. I moja winą jest również to, że nie potrafiłem tego przyznać. Jak dla mnie, byłaś wystarczająco blisko de Longspeyów. - Uśmiechnął się krzywo. - Chyba nie myślałem zbyt logicznie. Przede wszystkim chciałem odzyskać Clifford.

Rosamund zebrała się na odwagę. Musiała poznać prawdę.

- Czy kochałeś Matildę?

Jego palce mocniej zacisnęły się na jej dłoni.

- Nie kochałem jej - odrzekł z wahaniem. - Było to małżeństwo zaaranżowane przez mojego ojca. Obydwoje byliśmy wtedy bardzo młodzi. Nie, nie kochałem jej. A co do tego, czy ona mnie kochała... Wydaje mi się, że widziała we mnie bohatera, a ja pozwoliłem jej zginąć.

- Nie mów tak. - Rosamund podniosła jego dłoń do ust. - Myślałam, że ją kochałeś.

- Po prostu czułem się winny. Matilda zginęła, gdy ja wyjechałem do Monmouth w sprawach ojca. A ty przywołałaś do mnie niechciane wspomnienia. Poza tym, skoro nie potrafiłem kochać Matildy, to jak mogłem pokochać dziewczynę z rodziny de Longspey? Zresztą w życiu żołnierza nie ma miejsca na miłość. Nie chciałem sobie pozwolić na luksus uczucia, ale przede wszystkim dręczyło mnie poczucie winy, że czuję do ciebie to, czego nie czułem do żony.

- Rozumiem - szepnęła Rosamund z krwawiącym sercem i odwróciła wzrok. - Przykro mi, że moja obecność tutaj sprawiła ci tyle bólu.

Gervase objął ją mocno.

- To był mój błąd w osądzie. Nie winięm ciebie. - Odsunął się od niej i na jego twarzy zajaśniał szczerzy uśmiech. - Wcześniej odrzuciłaś moje dary. Czy przyjmiesz je teraz? - Uśmiechnął się, widząc jej uniesione brwi. - Wybierałem je bardzo starannie. Zaloty to piekielna harówka, szczególnie gdy dama nie chce dać się przebłagać. - Na jego twarzy pojawiły się rozbawienie i niecierpliwość. Sięgnął pod płaszcz i wyjął broszę. - Pojechałem po nią do Monmouth. Należała do mojej babci, która uciekła od rodziny, by poślubić mężczyznę, którego kochała. Był to prawdziwy lord-rabuś. Znalazłoby się takich wielu w mojej rodzinie. O ile jednak wiem, nigdy tego nie żałowała. - Przypiął broszę do płaszcza Rosamund. - Dostała ten podarunek od człowieka, za którego wyszła. Czy zechcesz teraz przyjąć go ode mnie?

- Tak.

- Klacz jest w stajniach. Powinna się trochę poruszać. Pamiętałem, jak rozpaczałaś po stracie swojej klaczy i chciałem pomóc ci uleczyć tę ranę.

Do serca Rosamund zaczęło zakradać się ciepło.

- Już ją pokochałam. Nie masz pojęcia, jak trudno mi było ją odesłać.

- A te rękawiczki mają rozgrzewać twoje dłonie. - Ucałował każdy jej palec po kolei i wsunął na nie rękawiczki.

- Pasują doskonale - uśmiechnęła się.

- Tak. I to już koniec moich zalotów. Czy tylko mi się wydaje, czy też nadal widzę wątpliwości w twoich oczach, moja piękna Rose? Gdy będziesz moją żoną, przekonasz się, że zwykle mówię szczerze.

- Twoją żoną?

- Wyjdiesz za mnie, Rosamund. Dotychczas za każdym razem odmawiałaś, a teraz po prostu nakazuję ci to.

Zaparło jej dech. Jak śmiał jej rozkazywać! Powinna odmówić mu dla samej zasady, ale nie była w stanie tego zrobić.

- Czy wiesz, że moje serce należy do ciebie?

- Nie - rzekła ze zdziwieniem.

- To prawda. Siedziałem za tymi przeklętymi murami, marząc o tym, bym mógł

cię zniechęcić, i wtedy właśnie przekonałem się, że to ty jesteś źródłem mojego szczęścia. Gdy cię nie było przy mnie, zastanawiałem się, co robisz. Nie potrafię być z dala od ciebie. Trubadurzy opiewają słodycz miłości. Ja przekonałem się, że miłość to przede wszystkim okropna udreka, ale kocham cię z całego serca.

- Nie wiedziałam o tym.

- Czy nie powiedziałem ci tego ostatniej nocy? Z jakiego innego powodu mężczyzna miałby podążać za kobietą, która kwestionuje każdy jego ruch, łamie każdy jego nakaz? Nikt nigdy nie podkopywał mojego autorytetu tak jak ty. A ty mnie jeszcze pytasz, czy cię kocham.

Uśmiech w jego oczach przekonał Rosamund, że mówi prawdę.

- Widzisz, nikt mnie dotychczas nie kochał, więc nie sądziłam, że ty mógłbyś mnie pokochać. Myślałam, że owszem, chcesz mnie mieć za żonę, ale miłość to zupełnie co innego. A to, co powiedziałeś ostatniej nocy...

Położył palce na jej ustach, uciszając ją.

- Sądziłaś, że pragnę cię, ale cię nie kocham.

- Tak. Myślałam, że może po prostu zrobiło ci się mnie żal.

- Miałbym żałować Rosamund de Longspey? Nigdy nie spotkałem kobiety, nad którą trudniej byłoby się użalać. A skoro rozmawiamy szczerze, to powiem ci jeszcze, że walczyłem z tym uczuciem, ale poległem na całej linii. Nie masz pojęcia, jak trudno było odwrócić się do ciebie plecami i odjechać, ale królewski rozkaz nie dawał mi wyboru.

- Czy właśnie dlatego wróciłeś?

- Nie mogłem cię stracić. Henryk rozkazał mi wziąć zamek siłą i zmusić cię do małżeństwa, ale tego również nie mogłem zrobić. Gotów już byłem poddać się i wrócić do domu.

- Eleonora twierdziła, że powinnam zwabić cię tu z powrotem - przyznała Rosamund. - Więc to zrobiłam.

Gervase odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, który spłoszył wrony siedzące na nadrzecznych drzewach.

- Tak mi się zdawało, że to musiała być zasadzka, ale nie żałuję niczego.

- Ja też nie.

- Więc tak jak mówiłem, moja piękna, samowolna Rose, wyjdiesz za mnie.

- Wyjdę za ciebie - powtórzyła.

Przytrzymał jej dłonie przy swojej piersi i uśmiech zniknął z jego twarzy. Czowała pod ręką bicie jego serca. Bardzo poważnie, jakby stał przed księdzem i świadkami, oświadczył:

- Biorę cię za żonę, Rosamund de Longspey - po czym pocałował ją. - No i już. A teraz ty to powiedz, Rose.

Powtórzyła więc te słowa.

- Biorę cię za męża, milordzie.

Jedynymi świadkami tej ceremonii były krążące nad nimi wrony.

No cóż, pomyślał Hugh, Gervase odzyskał władzę nad zamkiem i nad damą. Hugh jeszcze nigdy nie widział kobiety mniej zgodnej i łatwej we współżyciu, ale między tymi dwojgiem iskrzyło tak silnie, że można było od tych iskier pozapalać wszystkie łuczywa w wielkiej sali. On zaś mógł już wracać do domu do Hereford. Zadrzał, siedząc w wilgotnej komnacie i nakładając buty. Wszystko w tym zamku wydawało się pokryte wilgocią i mchem. Perspektywa powrotu do domu stawała się coraz przyjemniejsza. Tęsknił już za komnatą, w której nie hulałby przeciąg, i za posiłkiem, który dotarłby na stół ciepły.

Przed oczami wciąż widział twarz Nell. Gdyby odważył się dać jej jakiś sygnał, nawet subtelny, to może zdobyłaby się na przekroczenie niewidzialnej linii i po raz pierwszy w życiu podjęła decyzję ku własnej satysfakcji. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie ich wspólną przyszłość. Uczucia, które wyraził w liście, pochodziły prosto z serca. Nie zamierzał wyjeżdżać z Clifford, dopóki nie przekona się, jaka była jej reakcja, i to właśnie chciał uczynić teraz.

Nakazał swoim ludziom siodłać konie i przygotować się do wyjazdu za godzinę, a sam poszedł jej poszukać. Hrabina również go szukała; spotkali się przy stajniach. Wydawała się bez tchu.

- Hugh, wyjeżdżasz?

- Nell. - Skłonił się, nie spuszczając z oczu jej twarzy. - Za godzinę.

- Pewnie z radością wracasz do rodziny.

Był pewien, że Petronilla nie wyjaśni mu, po co przyszła do stajni. Była mistrzynią uników, ale zdawał sobie też sprawę, że pod jej chłodnymi, uprzejmymi słowami kryje się coś więcej.

A ponieważ miał mało czasu i zasadniczo był człowiekiem czynu, pochwycił ją za ramię i wciągnął w głąb stajni.

- Lordzie Hugh!

- Musimy porozmawiać, Nell. Co zamierzasz teraz zrobić? Czy mam ci powiedzieć, jak moim zdaniem będzie wyglądać twoje życie, jeśli temu nie zapobiegiesz? - Przystała się wrywać. - Zostaniesz tutaj, w Clifford. Ger i twoja córka urządzają sobie wspólne życie zgodnie z twoim życzeniem. Oboje są jednak tak uparci, że znajdziesz się między młotem a kowadłem. Wszystkie decyzje będą podejmowane bez ciebie, a ty będziesz tylko świadkiem ciągłych utarczek i pogodzeń. Będziesz patrzeć na wydarzenia, ale sama nie będziesz brała w nich udziału. Czy tego właśnie chcesz?

Wstrząśnięta Petronilla zamrugła oczami.

- Nie - odrzekła odważnie. - Wyjadę do Lower Broadheath.

- I będziesz mieszkać sama.

- Edith pojedzie za mną.

Ku swej satysfakcji zauważył zmarszczkę na jej czole. Wszystko szło zgodnie z planem. Nie zamierzał łagodzić ataku.

- Edith dotrzyma ci towarzystwa... Czy to ci wystarczy, by odpędzić samotność?

- Mogę podróżować, odwiedzać krewnych i...

- Nie. Powiem ci, co możesz zrobić, Nell. - Jej usta rozchyliły się. - A właściwie wolę ci to pokazać. - Pocałował ją żarliwie.

- Hugh... - Westchnęła, mocno przytrzymując się jego szaty.

- Petronillo - powtórzył kpiąco. - Powiedz, że ci się to nie podobało.

- Nie mogę tego powiedzieć.

- No cóż, w takim razie... - Znów ją pocałował, a potem mocno objął.

Stali tak przez dłuższą chwilę, aż koń de Mortimera wyjął łeb z worka z owsem, by sprawdzić, co się dzieje. Wtedy dopiero odsunęli się na bok. Hugh pociągnął Petronillę w stronę niskiego parapetu, obrócił twarzą do siebie i przytrzymał za ramiona.

- Teraz popatrz na mnie i posłuchaj. Powiem ci, co zrobisz. Pojedziesz ze mną do Hereford. Zostaniesz u mnie w domu przez dzień lub dwa, poznasz moich synów i ich rodziny. Potem ja odwiozę cię do Lower Broadheath, a tam sama podejmiesz decyzję. Będziesz mogła pozostać w swoim zamku i wybrać samotne życie albo rozważyć życie ze mną. - Modlił się, by uczyniła właściwy wybór.

W jej oczach pojawił się błysk radości.

- Czy chcesz mi zaproponować ucieczkę od starości, Hugh? - Uśmiechnęła się do niego tak słodko i ufnie, że nie wahał się ani przez chwilę.

- Proponuję ci moje serce i moją miłość, pani, a także dom miejski w Hereford, który spodoba ci się bardziej niż ten zamek.

- Zawsze chciałam mieć dom w Hereford. - W jej oczach błysnęły łzy, ale z ust nie zniknął uśmiech. Westchnęła, jakby wielki ciężar spadł jej z serca. - A czy ty zechcesz przyjąć w rewanżu moje serce?

- Tak - odpowiedział z powagą, po czym roześmiał się głośno - ale musisz za mnie wyjść, choć jestem tylko prostym lordem z pogranicza.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Przysięgam, że nigdy więcej nie wyjdę za mąż. - Podniosła do ust jego twarde palce. - Lecz oto postanowiłam złamać tę przysięgę. Tak, drogi Hugh. Odkryłam, że lordowie z pogranicza mają wiele zalet. Wyjdę za ciebie.

Siedzieli ze splecionymi dłońmi, a dokoła nich w promieniach światła wirowały drobinki kurzu.

- A co z Rosamund? Ciekawa jestem, co na to powie - rzekła w końcu Petronilla bez większego zainteresowania.

- Rosamund jest zakochana po uszy i nawet nie zauważy tego, co ty zrobisz. Nie będzie miała nic przeciwko temu. Czy moje plany ci odpowiadają?

- Tak.

To była najlepsza i najprostsza odpowiedź. Hugh nie próbował nawet ukrywać triumfu. Na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech.

- Czy jest coś jeszcze, co mogę dla ciebie zrobić? Czy możesz być gotowa do wyjazdu za godzinę?

- Tak. Jest coś jeszcze, Hugh.

- Co takiego?

- Pocałuj mnie jeszcze raz.

RS

Epilog

Hugh i Petronilla wyjechali, ale zgiełk na dziedzińcu nie ustawał. Uzbrojeni żołnierze ładowali broń i sprzęt na wozy. Zaprzęgano konie. Rosamund już wielokrotnie widziała podobne sceny.

Naraz, jakby trafił w nią piorun, uświadomiła sobie, że tym razem to żołnierze Fitz Osberna zbierają się do odjazdu. Gervase zostawiał ją w niecałą godzinę po tym, jak wyznał jej miłość i rozkazał, by za niego wyszła.

Obserwowała zamęt dokoła z lodowatą samokontrolą, jakby znajdowała się w oku cyklonu, oddzielona od rzeczywistości. Nic nie mogło się przedrzeć przez skorupę bólu, którą się otoczyła. Nikt, kto na nią patrzył, nie odgadłby, jakie emocje kłębią się w jej duszy: przerażenie, dojmujące poczucie straty, niewypowiedziane cierpienie.

Powiedział, że ją kocha, że się z nią ożeni. Ani przez chwilę w to nie wątpiła. Tymczasem jego ludzie zbierali się do wyjazdu. Czy to właśnie czekało ją w przyszłości? Czy była naiwna, sądząc, że skoro Gervase ją kocha, to pozostanie na zawsze u jej boku? Że będzie siedzieć obok niego, wraz z nim zarządzać dobrami na pograniczu i razem podróżować, tak jak Eleonora z Henrykiem? Może miłość dla Gervase'a sprowadzała się do praktycznej strony rzeczywistości? Tak, najpewniej tak było. Gervase zamierzał wrócić do Monmouth czy do Anjou, czy też gdziekolwiek indziej, gdzie akurat potrzebował pojechać, i chciał ją tu zostawić, by zarządzała Clifford w jego zastępstwie. No cóż... Z pewnością było to niezmiernie praktyczne rozwiązanie.

Poczuła, że nienawidzi tej twierdzy.

Jak miała bez niego żyć?! Upomniała się surowo, myśląc, że to tylko na krótki czas. Będzie ją odwiedzał, patrolując swoje ziemie. Ona zaś zostanie doskonałą gospodynią zamku, wypełni rolę, którą on jej wyznaczył. Dlaczego zatem miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod stóp, że wpadała w otchłań bez dna?

Czy naprawdę chciał odjechać zaledwie kilka minut potem, jak obsypywał ją

prezentami i pocałunkami? Ależ oczywiście! Przecież nie ukrywał swoich intencji. Uświadomiła sobie, że gdy poprosił ją o spotkanie na blankach, był ubrany w strój podróżny. Gdyby nie była tak zaabsorbowana własnymi myślami, natychmiast zwróciłaby na to uwagę. A teraz musiała pogodzić się z bólem i pożegnać się z Gervase'em, zachowując dumę, nie okazując swoich prawdziwych uczuć.

Znalazła go w tłumie. Rozmawiał z Watkinsem i przypinał do pasa miecz. Powoli zbliżyła się do niego z wrażeniem, że jej twarz zastygła w sztywną maskę.

- Wyjeżdżasz - powiedziała spokojnie.

- Tak. Przed końcem miesiąca muszę przewodniczyć sądowi w Monmouth - wyjaśnił, nie przerywając załadunku ciężkiego wozu.

Wykrzyknął do woźnicy coś o luźnej uprzęży. Z każdym jego słowem przygnębienie Rosamund stawało się coraz większe. Miała ochotę zapytać, kiedy znów go zobaczy, ale wiedziała, że te słowa nie przejdą jej przez gardło. Aby powstrzymać napływające do oczu łzy, skupiła wzrok na Owenie, który siodłał ogiera Gervase'a.

- Czy wrócisz do Anjou tej wiosny? - Odpowiedź na to pytanie dałaby jej przynajmniej ogólną orientację w jego planach.

- Być może. - Wziął płaszcz z rąk giermka, po czym wreszcie skupił na niej spojrzenie. - Zamierzasz tu stać i gadać przez cały dzień?

- Wiem, że śpieszy ci się.

- Tak. Muszę dotrzeć do Monmouth jeszcze dziś przed zmierzchem, a nie w przyszłym tygodniu.

- W takim razie musisz już jechać.

- No cóż, ja jestem gotów, pani. A tam czeka twoja klacz, osiodłana i zaprzęzona. Czeka na ciebie, a ty wciąż tu stoisz. Chyba nie zmieniłaś zdania? Wszystko już ustaliliśmy i nie możesz teraz zmienić decyzji!

- Czy ja zmieniłam zdanie?

Gervase westchnął z desperacją.

- Edith spakowała już twoje rzeczy. Są na wozie. Brakuje tylko ciebie.

- Mam jechać z tobą?

- A jak myślałaś?

- Że zostawisz mnie tutaj.

- Rosamund! Ukochana! - Na jego twarzy zaświtało wreszcie zrozumienie. - A czy ty chcesz tu zostać? Tak szybko chcesz się mnie pozbyć?

- Nie, ale myślałam... myślałam, że nie chcesz, bym jechała z tobą. Nic o tym nie wspomniałaś.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Gervase pochwycił ją wpół, przyciągnął do siebie i podniósł jej twarz, zmuszając, by na niego spojrzała.

- Nie sądziłem, że muszę to mówić, pani, ale jeśli chcesz, bym powiedział głośno, to proszę bardzo: zabieram cię do Monmouth. Już, zaraz. Czy myślałaś, że zostawię cię tutaj? Moja matka rzuci ci się na szyję ze szczęścia, jeśli zechcesz za mnie wyjść i dać jej wnuki. Będziesz mogła bez końca rozprawiać o sukniach i welonach z moją siostrą. Ksiądz w Monmouth da nam ślub i urządzimy wielkie wesele. - Westchnął i zauważył zdziwienie na jej twarzy. - Oczywiście, jeśli tego sobie życzysz, pani - dodał.

- Myślałam, że wrócisz tu kiedyś, by mnie poślubić, i że pošlesz wówczas po ojca Stephena.

- Miałbym wziąć z tobą ślub tutaj?! Wśród tych przeciągów i robactwa? Jeść zimne potrawy na ucztę weselnej? Nie wspominając już o tej kupie gnoju... Nie! Weźmiemy ślub w Monmouth. Tam szczury są mniejsze. Tutaj zostawiam sir Thomasa. Jest z tego bardzo zadowolony. - Skrajem rękawa otarł łzy z jej policzków. - Nie zostawię cię tu, Rose. Naprawdę tak myślałaś? Będziemy mieszkać razem.

- W Monmouth?

Odgadł powód jej niepokoju. Jego usta drgnęły, jakby chciał się roześmiać, ale zmienił zdanie.

- Nie sądzę, żebyś dobrze się czuła, mieszkając pod jednym dachem z moją matką, ani ona z tobą. Lady Maude jest zupełnie niepodobna do twojej matki. - Wsunął jej dłoń pod swoje ramię i poprowadził ją na drugą stronę dziedzińca. -

Możesz sobie wybrać dowolny z moich zamków.

Rosamund udawała, że zastanawia się przez chwilę, choć nie musiała tego robić. Jej radość była wielka. Skinęła głową.

- A czy będą mogła pojechać z tobą, gdy wybierzesz się do Anjou?

- Tak. Nawet na koniec świata, jeśli tylko zechcesz. - Troskliwie owinął jej szyję futrzanym kołnierzem i poprawił welon. Pocałował ją w skroń i poprowadził w stronę klaczy. - Twoje rzeczy są spakowane. Siadaj na konia, Rose. Wróciłem tu po ciebie tylko dlatego, że nie mogłem bez ciebie żyć, a teraz zabieram cię z sobą. Nie mogę pozostawać daleko od kobiety, którą kocham.

Rosamund wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, a potem pozwoliła się posadzić na konia. Serce miała lekkie. Jej dziki sokół należał do niej, a ona do niego.

